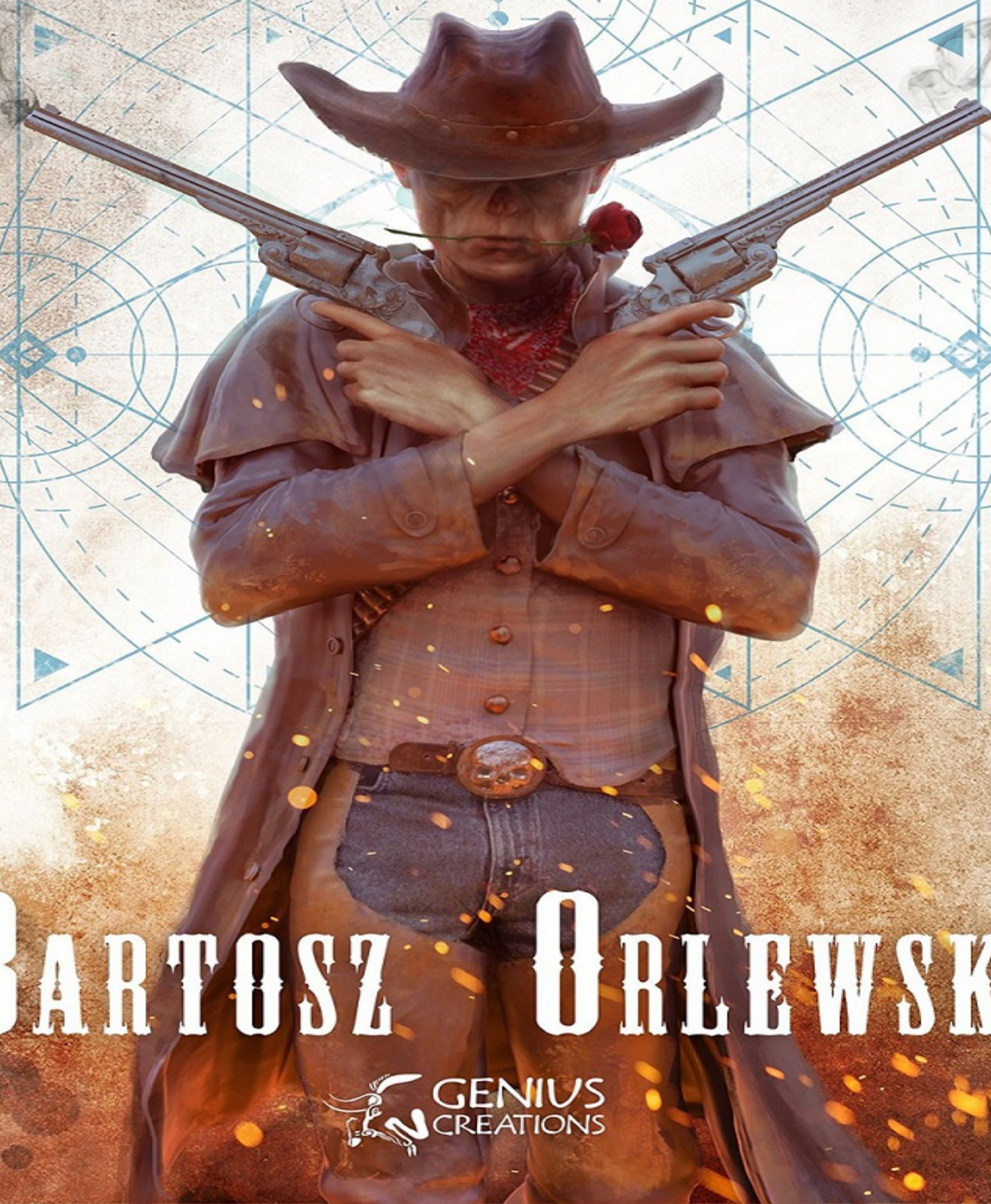


ARMADILLO



BARTOSZ ORLEWSKI

 GENIUS
CREATIONS

SPIS TREŚCI

Prolog

Ucieczka

Cassilda

Czarna Księga

Epilog

Życie po epilogu

Opowieść Louisa

Opowieść Pana Ducha

Dla Edyty i Julki

PROLOG

Armadillo, 2016

Armadillo od ponad stu lat było perłą wśród *ghost towns* Dzikiego Zachodu.

Nancy Margolis, rudowłosa wiedźma, zaparkowała dodge'a w cieniu ruin białego jak czaszka kościoła. W kikutnie aresztu narysowała czarną kredą na kamiennej podłodze pentagram, po czym zapaliła pięć świec i wypuściła z przenośnej klatki piątkę zaspanych kociąt. Pięcioro słowami mocy otworzyła portal w membranie, która oddzielała widmowe Armadillo od zrujnowanego zaklęciem pierwowzoru, po czym przeszła na drugą stronę, zostawiając za sobą bezchmurne niebo, bezlitosne słońce i rozgrzany długą podróżą samochód. Kiedy portal zniknął, Nancy zadarła głowę i spojrzała na ciemne sklepienie bez gwiazd i księżyca, na zadziwiająco bliski horyzont podpalony szkarłatem, który sprawiał wrażenie farby spływającej gęstymi strugami z zasysającego światło płótna. Wolnym krokiem ruszyła w kierunku banku, znajdującego się na końcu ulicy. Minęła tętniący muzyką burdel i szeryfa z przestrzelonymi płucami, który stał przed wejściem do swojego biura, wpatrując się zgasłymi oczami w niepisaną mu otchłań zapomnienia.

W końcu zatrzymała się przed bankiem, którego dwuskrzydłowe drzwi stały otworem, wabiąc niczym rozchylone do pocałunku usta. Wtedy też usłyszała melodię, którą grałem na harmonijce, do wtóru świstu wiatrów i jęków krótkiego ramienia sprawiedliwości z krwią na gęstej brodzie.

– Masz oczy Cassildy – powiedziałem donośnym głosem, po czym stukając srebrnymi ostrogami, wyszedłem z kłębiących się za progiem banku ciemności, uśmiechnięty jak diabeł po zdeflorowaniu mistyczki.

Wiedźma spojrzała bez cienia strachu w moje oczodoły, na widoczne w nich płomienie, otaksowała jamistą pozostałość nosa i spiłowane na ostro zęby. Na jej nasyconych czerwoną szminką ustach igrały ogniki wyzwolonej rytuałem mocy. Znała swój fach i reguły gry, w którą ja również grałem od ponad stu lat. Wątpiłem, czy zdołam ją czymś zaskoczyć.

– Nazywam się Nancy Margolis – odparła hardo. – I możesz o mnie jedynie pomarzyć, magu.

– Bezczelna dziewczyna! – Pokiwałem z aprobatą głową i nie mając innego wyjścia, rzekłem: – Mów!

Spotworniałe miasteczko, usiane przekształconymi we własne karykatury budynkami, słuchało jej opowieści o porwanym dziecku. Szeryf jęczał, balansując na krawędzi upragnionej śmierci. Wiatr hasał w jego przedziurawionych płucach.

– Czego chcesz? – zapytałem, gdy skończyła.

Odpowiedź, która wypłynęła pomiędzy nasyconych czerwienią ust – ust, których pożądałem – sprawiła, że ogień w moich oczodołach zapłonął ze zdwojoną siłą.

– Zapraszam do banku – powiedziałem i nie czekając na reakcję wiedźmy, wszedłem do środka.

W pomieszczeniu, które było kiedyś biurkiem, zapaliłem świece i wskazałem jej puste krzesło. Sam usiadłem po drugiej stronie biurka w skórzanym fotelu i zabębniłem szponiastymi paznokciami o dębowy blat. Wiedźma skorzystała z zaproszenia. Wybebeszone kotki legły u jej stóp. Słodkie kłębuszki kłów i pazurów. Zabite we właściwy sposób, a następnie ożywione kilkoma oleistymi kroplami nekromantycznego zaklęcia, otwierały bramę do mojego świata. Uniwersalny pilot napędzany tanią karmą i czymś, co tacy jak rudowłosa nazywali magią.

Pokiwałem głową i obejrzałem wizytówkę, którą położyła na biurku.

Nancy powtórzyła propozycję.

Kotki pojękiwały przez sen, zawieszane pomiędzy życiem a śmiercią.

– Zgoda – odparłem i schowałem prostokątny kawałek plastiku do kieszeni płaszcza.

– Przyjadą wieczorem. Czarną limuzyną. Uzbrojeni.

– Co to za jedni?

– Siedmiu wspaniałych od tajemnic wszechświata. Profesorowie-metafizycy. Niewinny wygląd staruszków i czarne dusze rozmiłowane w zagadkach istnienia. Mają erekcję na samą myśl o tajemnicach bytu.

– Rozumiem.

– Spróbują wymienić chłopca na Czarną Księżę.

– Oczywiście.

Wstała i wyciągnęła dłoń o długich palcach, poplamionych krwią kociąt.

– Lepiej nie – powiedziałem. – Mogę nad sobą nie zapanować. – Z moich oczodołów strzeliły języki szkarłatnego ognia. Oblizałem martwe usta, obnażyłem zęby zaprawione w rozszarpywaniu ludzkiego mięsa i dodałem twardo: – Teraz najważniejsze. Człowiek, który przeklął Armadillo i zmienił mnie w upiora. Chcę wiedzieć o nim wszystko.

Wiedźma uśmiechnęła się, wsunęła do ust papierosa i przypaliła go srebrną zapalniczką.

– John Temple – powiedziała. – Pomogę ci go odnaleźć. – Potem usiadła na krześle i zaczęła opowiadać.

Kiedy skończyła, podała mi książkę w miękkiej oprawie i szybkim krokiem opuściła biuro. Odczekałem chwilę, oglądając krzykliwą okładkę i powtarzając w myślach nazwisko autora. Robert W. Chambers. „Król w Żółci”. Następnie ruszyłem za rudowłosą na ulicę. Weszła do aresztu. Stanąwszy pośrodku celi, otworzyła sportową torbę i wysypała z niej następną piątkę kociaków. Kłębuszki sierści i pazurków znów potoczyły się po ziemi. Wkrótce dołączyli do nich ni to żywi, ni to martwi pobratymcy. Wiedźma wypowiedziała pięć słów mocy, po jednym na każdego żywego jeszcze kotka, i nie ruszając się z miejsca, znalazła się po drugiej stronie membrany chroniącej widmowe Armadillo, w centrum pentagramu narysowanego czarną kredą na kamiennej podłodze. Uśmiechnięta i najwyraźniej przekonana o własnym bezpieczeństwie. Odgarnęła włosy, pozbierała kociaki i wróciła do samochodu.

Poczułem napięcie w kroczu. Nieznośne i niechciane, wzbierało niczym fala tsunami, przypominając mi o tym, kim jestem i jak powinienem się zachowywać. Wypełniała mnie żądza, wysyłając nędzne resztki człowieczeństwa na dno mojej duszy.

Szeryf zaśmiał się szyderczo, a wiatr zdmuchnął z mojej głowy kapelusz.

– *Wszystko w porządku?* – Głos Czarnej Księgi dobiegł zza moich pleców.

Wystukałem z paczki własnoręcznie skręconego papierosa i przypaliłem go zaklęciem.

– *Ta dziewczyna* – odparłem w myślach – *poprosiła mnie o pomoc, a ja jej nie zabiłem. Co to oznacza?*

– *To, na co czekaliśmy od dawna. Klątwa słabnie. Powoli wyzwalamy się z jej okowów.*

– *Dlaczego tak się dzieje?*

– *Ponieważ zmarł nasz stwórca.*

– *Co zrobisz, kiedy w końcu będziemy wolni?*

– *Zabiję cię* – odpowiedziała Czarna Księga, szeleszcząc okładką oprawioną w skórę niemowlaków.

Wciągnąłem dym do martwych płuc. Następnie wypuściłem go jamą nosową oraz oczodołami.

Z burdelu wysypały się pomniejszych upiory – rewolwerowcy, dziwki i gangsterzy – do niedawna bezwarunkowo posłuszne mej woli. Czuły jednak nadchodzące zmiany i

coraz częściej ośmielały się kwestionować moje rozkazy. Nie miałem wątpliwości, że gdy nadejdzie krytyczny moment, opowiedzą się po stronie Czarnej Księgi. W końcu to ona je stworzyła.

Dopaliłem szluga i wszedłem z powrotem do banku.

Pomimo całej brawury, jaką włożyłem w rozmowę z wiedźmą, moje rządy w Armadillo dobiegały końca.

UCIECZKA

Pustkowie, 2016

Po wyjeździe rudowłosej oddałem się lekturze „Króla w Żółci”. Kiedy kilka godzin później zamknąłem książkę, w mojej głowie panował jeszcze większy mętlik niż przed rozmową z Nancy Margolis. Nie wiedziałem, dlaczego postanowiła mi pomóc, i to akurat teraz, gdy John Temple prawdopodobnie nie żył. Oczywiście wiedźma mogła mieć jakiś związek z jego śmiercią. Może nawet sama go zabiła. Tylko dlaczego miałyby to zrobić? Do głowy nie przychodził mi żaden przekonujący powód. Na domiar złego ze względu na słabnącą klątwę musiałem brać pod uwagę to, że niebawem Czarna Księga spróbuje upomnieć się i o moje życie.

W tej sytuacji postanowiłem działać. Czekanie na śmierć kłóciło się z moim usposobieniem.

Po *ghost town* niosły się jęki umierającego szeryfa. Czarna Księga była w swojej pracowni, a moi upiorni podwładni w burdelu. Jeszcze raz upewniłem się, że nikogo nie ma w pobliżu, i otworzyłem przejście w membranie oddzielającej od siebie dwie wersje Armadillo – fizyczne resztki miasteczka, które skonało pod koniec dziewiętnastego wieku, od jego upiornego negatywu, będącego moją siedzibą. Po drugiej stronie zmierzchało. Wszedłem pomiędzy sterczące spod piachu ruiny budynków i stanąłem w cieniu rzucanym przez jedyną ocalałą ścianę kościoła. Poprawiłem kapelusz, postawiłem kołnierz prochowca i zerknąwszy na gasnący za moimi plecami portal, zrobiłem najważniejszy krok w życiu. Minęła bardzo długa chwila, nim stwierdziłem, że mam rację. Bariera, która dotychczas uniemożliwiała mi opuszczenie ruin, przestała istnieć. Aż podskoczyłem z radości.

Kiedy dobiegłem do szosy, Armadillo było już tylko drobną plamką na horyzoncie. Przybrałem oblicze podstarzałego hippisa i spróbowałem złapać okazję.

Po upływie kwadransa zakurzony ford zjechał na pobocze. Siedząca obok kierowcy dziewczyna opuściła szybę. Chudzina w zielonej sukience. Jasne włosy, drobny, piegowaty nosek i bielutkie ząbki.

– Cześć! – powiedziała.

Spojrzałem na trzymaną w dłoni wizytówkę Nancy. Potem na dziewczynę.

– Cześć – odparłem i zapytałem, czy podrzucają mnie do San Francisco.

– Jasne – stwierdził chłopak. – Jestem Burt, a to jest moja narzeczona, Mary Sue. Właśnie tam zmierzamy.

– Tom – odparłem. – Miło mi.

Wskoczyłem na tylne siedzenie i zatrzasnąłem drzwi.

Pomknęliśmy ku zachodzącemu słońcu, które wyglądało jak gigantyczna złota jednodolarówka.

Potrafiłem zmienić wygląd, głos i mowę, ale swojej natury, wyrosłej na gruncie bluźnierczej egzystencji, nie mogłem oszukać. Rzuciłem więc odpowiednie zaklęcie i dla zabicia czasu zacząłem czytać fragmenty tytułowego opowiadania Roberta W. Chambersa. Po dwóch godzinach jazdy, podczas których Burt i Mary Sue śpiewali przeboje country, postanowiłem sprawdzić, czy zaklęcie przyniosło zamierzony skutek.

– Chciecie usłyszeć opowieść o nieudanym napadzie na bank?

Burt i Mary Sue wymienili spojrzenia.

– Czemu nie. – Chłopak wzruszył ramionami.

Jego towarzyszką ściszyła radio.

– Znakomicie – powiedziałem. – Opowieść zaczyna się w Armadillo, u schyłku dziewiętnastego wieku. Do miasteczka przyjechaliśmy we czterech, po zmierzchu. Jim, Jake, Bob i ja. W banku czekał na nas William, brat Boba. Był strażnikiem, wcześniej zastępcą szeryfa. Znał miasto i mieszkańców, znał też swojego brata i wiedział, że Bob nie nadaje się do takiej roboty, że nie powinien brać udziału w tym, co mieliśmy zrobić, że w najlepszym razie mógłby czekać na nas za miastem, z wypoczętymi końmi. Will chciał jednak dać mu szansę i wbrew wyrażanym przez nas wątpliwościom postawił na swoim. Bob nie wszedł z nami do banku. Został na czatach. I zastrzelił szeryfa. Z dwururki, siedząc na bujanym krześle, które ustawił obok drzwi wejściowych. Miał nie rzucać się w oczy, a zabawił się w Billy'ego The Kida. Sukinsynowi puściły nerwy. Gdy wybiegliśmy na zewnątrz, stał nad zwłokami i głupio się uśmiechał.

Wystrzał zaalarmował zastępców. Jake zdmuchnął dwóch. Trzeci, nim zginął z ręki Willa, zdążył trafić Boba. Wciągnęliśmy krwawiącego współnika do środka i zabarykadowaliśmy drzwi. Sprawy przybrały zdecydowanie zły obrót. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. I nadeszło dość szybko. Podczas gdy Will chodził tam i z powrotem, zastanawiając się, jak nas z tego wyciągnąć, a Jim i Jake obserwowali budynki po drugiej stronie ulicy, w których zebrali się uzbrojeni mężczyźni, ja myślałem tylko o jednym: o pełnym złota sejfie w gabinecie na tyłach

budynku. Nasi przeciwnicy strzelali raz po raz, jednak nie podejrzewaliśmy, że największe zagrożenie kryje się w samym banku. Powinniśmy być bardziej ostrożni.

Nie usłyszeliśmy nadejścia mężczyzny. Pojawił się znienacka. Z łatwością skręcił Bobowi kark. Pstryknął palcami, a dłoń, w której trzymałem rewolwer, zdrętwiała. Colt wylądował na podłodze. Spluwy chłopaków również. Will próbował walczyć. Szybko dołączył do martwego brata. Rozpruty od pępka po szyję. „Witam panów” – powiedział przybysz, zlizując z palców krew mojego przyjaciela. – W tym miejscu przerwałem opowieść i zapytałem Burta, czy mogę zapalić.

– Nie krępuj się – odparł.

– Amatorzy – stwierdziła Mary Sue. – Daliście się podejść jak dzieci.

– Żebyś wiedziała, słonko – odpowiedziałem, wystukując z paczki papierosa. Burt podał mi zapalniczkę, zerkając badawczo na moje odbicie w przednim lusterku. Prawą dłoń trzymał na udzie swojej dziewczyny. Znaczył terytorium lub sprawiał jej przyjemność. Mary Sue nie oponowała. Była podekscytowana niczym nastolatka na randce z wymarzonym chłopakiem. Szczęrzyła bielutkie ząbki, marszczyła piegowaty nosek i chłoneła moje słowa, jakbym był pieprzonym mesjaszem albo gwiazdą rocka.

– Dzięki – mruknąłem i zwróciłem się do dziewczyny. – Wtedy nie wiedziałem, z kim mamy do czynienia. Jednak niedawno od pewnej wiedźmy dowiedziałem się, że facet nazywał się John Temple. Był magiem i bankierem. Przyjechał ze wschodu, z Nowego Jorku, przez kilka lat włóczył się po Dzikim Zachodzie. Pracował w San Francisco, wcześniej w Tombstone. Do Armadillo trafił w 1897 roku. Reanimował lokalną bankowość, a teraz zamierzał posłać całe miasto do piekła. Wierzył, że w ten sposób otworzy wrota do Carcosy i stanie twarzą w twarz z Cassildą, o której pisał w swoich opowiadaniach Robert W. Chambers. Znacie tego autora?

– Przykro mi – odparł Burt. – Pierwszy raz o nim słyszę.

– Ja również – dodała Mary Sue.

– Jednakże... – Burt teatralnie ściszył głos. – Jeśli prawdą jest to, co nam opowiedziałeś, to masz ponad sto lat, koleś!

– Bingo! Spędziłem w Armadillo, a raczej w tym, co z niego zostało, ponad dziesięć dekad. Ale o tym za chwilę, bo zgłodniałem. Spróbujmy szczęścia na tamtej stacji. Stawiam.

– Super! – zawołała Mary Sue i puściła do mnie oczko.

Na razie zakłęcie spisywało się na medal. Wierzyli w każde moje słowo. I powoli ulegali mej woli.

Zamówiliśmy na wynos w barze obskurnym jak publiczna toaleta. Hamburgery smakowały nie najgorzej, wolałem jednak ludzkie mięso. Ruszyliśmy dalej. Stacja

znikała z bocznych lusterek, a ja podjąłem opowieść.

– John Temple dopiero się rozgrzewał. Wypowiedział serię dziwnie brzmiących słów i cofnął się o krok, żeby obejrzeć swoje dzieło. W powietrzu zawisł prostokąt fioletowego światła. Zmrużyłem powieki. Jim skulił się w kącie. Jake odwrócił wzrok. Nasz oprawca zrzucił z ramion szlafrok i podał dłoń wychodzącej z portalu kobiecie. „Cassilda” – rzekł. Odpowiedziała uśmiechem i pocałunkiem. Wyglądali jak greccy bogowie. Młodzi, piękni i nadzy. Stworzeni do władzy i seksu. Przez kilka chwil nie zwracali na nas żadnej uwagi, spleceni w miłosnym uścisku. Przyszpilony strachem, miałem dość czasu, żeby utrwalić w pamięci obraz pleców, pośladków i długich nóg nieznajomej. Odrzuciła do tyłu głowę, oblizwała usta i zapytała: „Ofiarujesz mi to miasto?”. Mag skinął głową. Podniósł mój rewolwer, obejrzał go z każdej strony, jakby po raz pierwszy trzymał w dłoni taką broń, po czym z uśmiechem na twarzy zastrzelił Jake’a. Jim rozplakał się, zaczął błagać o litość. Wtedy coś we mnie pękło. Odwróciłem się i pobiegłem w stronę okna. Wołałem zginąć na ulicy, zastrzelony przez zastępców szeryfa, niż tutaj, z ręki potwora w ludzkiej skórze. Tymczasem kula uciszyła Jima. Kolejna posłała mnie na ziemię. Upadłem na brzuch, z przestrzelonym kolanem. Nie zamknąłem oczu. „Dalej – powiedziałem. – Wykończ mnie”.

Temple trzymał lufę tuż przed moją twarzą. Palcem muskał w spust, jakby zwlekał z podjęciem decyzji. Uśmiechnięty od ucha do ucha. Pieprzony bankier. Cassilda obejmowała go w pasie, wodząc językiem po czerwonych ustach. „Będiesz dla mnie pracował” – powiedział. I wyrecytował zaklęcie. Potężne tornado zmiotło Armadillo z powierzchni ziemi i rzuciło nas do piekła pomiędzy światami. Poczułem się jak mała Dorotka.

– Niemożliwe – stwierdził Burt.

– Co?

– Żebyś poczuł się w ten sposób.

– Dlaczego?

– Kiedy to się wydarzyło?

– W lipcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Powieść Bauma ukazała się rok później – wyjaśnił chłopak i uśmiechnął się triumfalnie do Mary Sue.

– Cóż, nie czytałem powieści, ale w latach pięćdziesiątych poznałem osobę, która widziała film. Stąd moje porównanie.

– Strasznie naciągane – skwitował Burt.

Miał rację.

– Skręć w kierunku tamtych wzgórz – powiedziałem.

– Dlaczego? – zapytał i wyłapał moje spojrzenie w przednim lusterku.

– Skręć – powtórzyłem i tym razem usłuchał.

Zjechaliśmy na pobocze.

– Co się dzieje? – spytała Mary Sue.

– Chcę wam coś pokazać.

Samochód podskakiwał na nierównej drodze. Mary Sue potrząsnęła Burtem, a gdy nie zareagował, popatrzyła na mnie i powiedziała z wyraźną złością:

– Nie będziesz rozkazywał mojemu chłopakowi.

W prawej dłoni trzymała wyjęty ze schowka rewolwer. Nie uśmiechała się już i nie marszczyła noska. Jej ząbki, ledwo widoczne zza nieznacznie rozchyłonych ust, nadal były białe.

Nie rozumiałem magii. Jej reguły sprawiały wrażenie arbitralnych, jakby napisanych przez kogoś na ciężkim hajku. Znałem jednak parę sztuczek.

– Spokojnie – odparłem, kreśląc za oparciem fotela odpowiedni znak. W ten sposób wzmocniłem rzucone na początku wspólnej podróży zaklęcie.

Dziewczyna oddała mi broń.

Gdy zatrzymaliśmy się na pustkowiu, Burt wyciągnął z bagażnika łopatę i zaczął kopać. Ogień w moich oczodołach przybierał kolory zmierzchu. Żółć, czerwień, fiolet. W końcu zapadły ciemności. Skręciłem Mary Sue kark, wrzuciłem jej ciało do grobu i przysypałem ziemią. Burt położył się w sąsiednim dole, z dłońmi splecionymi na brzuchu.

Zacząłem zasypywać grób.

– Nie rozumiem jednej rzeczy – powiedział chłopak, zgarnawszy z twarzy warstwę piachu.

– Jakiej?

– Twierdzisz, że masz ponad sto lat i że spędziłeś je w Armadillo. Mimo to sporo wiesz o naszym świecie. Jakim cudem?

Wbiłem łopatę w ziemię.

– Zapalisz? – zapytałem.

– Jasne.

Wsunąłem mu do ust papierosa. Zaciągnął się i wypuścił ustami dym, a ja odpowiedziałem na jego pytanie:

– Mag odszedł z Cassildą. Dokąd? Nie miałem pojęcia. Zrobił ze mnie strażnika swojego chowańca, Czarnej Księgi, której wiedza była w cenie. Każdemu, kto zdołał odnaleźć ruiny Armadillo i przejść na drugą stronę, do widmowej wersji miasteczka, musiałem zaoferować jedyny w swoim rodzaju wybór: Czarna Księga, moje zbrojne

ramię albo złoto, które spoczywało w bankowym sejfie. Niektórym naprawdę pomagaliśmy, żeby nie zniechęcić innych potencjalnych śmiałków chcących zrealizować swoje marzenia. Jednakże zdarzali się i tacy, i to wcale nierzadko, którzy z woli Czarnej Księgi kończyli jako moja przekąska. Tak naprawdę byliśmy sprawnie działającą pułapką. Niczym więcej. Co miał z tego Temple? Dusze. Powiedział, że tam, dokąd się wybiera, bardzo mu się przydadzą. Jako waluta lub ingrediencje. Coś w tym było. Sam pochłaniałem wiedzę i wspomnienia moich ofiar. W rezultacie przerobiłem każdą dekadę dwudziestego wieku. Od czasów prohibicji, przez szczeniące lata pięćdziesiąte, narkotyczną cielesność lat sześćdziesiątych do milenijnego szaleństwa ostatniej dekady. Mogłem mówić i myśleć jak gangster, biznesmen, polityk, aktorka z Hollywood, oddychający kontrkulturą student. Niezłe osiągnięcie dla osoby, która dorastała w cieniu ojca alkoholika. Zadowolony z odpowiedzi?

Burt wypluł niedopałek i powiedział:

– Zabij mnie, proszę.

Pokręciłem głową.

– Nic z tego, synu. Potrzebuję cię żywego. – Po chwili dodałem: – Nie traktuj tego osobiście. Jestem kiepskim magiem, ale nawet ja znam sposób na to, by odnaleźć kogoś, kto nie chce być odnaleziony. Niestety, konieczny jest rytuał, który wymaga dwóch ofiar. W tym tylko jednej żywej. Padło na was. Nie powiem, że jest mi przykro z powodu Mary Sue, bo nie jest, ale czasami miewam wrażenie, że całą tę cholerną magię obmyśliła istota nienawidząca kobiet.

Burt nie odpowiedział, zacisnął zęby i patrzył w milczeniu, jak kończę zasypywać grób. Na koniec odgarnąłem ziemię z jego twarzy, żeby się nie udusił, i splunąłem mu na czoło. Następnie stanąłem nad grobem Mary Sue i splunąłem po raz drugi, kreśląc w powietrzu skomplikowany znak. Wypowiedziałem inkantację i usiadłszy na masce forda, zagrałem na harmonijce melodię starszą niż ludzkość.

Nie czekałem długo na pożądany skutek.

Stwór przypominał czarną panterę. Był jednak skrzydlaty i ze dwa razy większy. Miał kocie oczy i pysk zdolny do imitowania ludzkiej mimiki. Na potężnym grzbiecie widniały łuski, a szerokie łapy skrywały pazury zdatne do cięcia metalu. Obwąchał wrzeszczącego Burta, po czym wygrzebał ciało Mary Sue. Odgłosy mlaskania i gniewne pomruki wypełniły jasną noc. Chłopak zemdłał. Wystukałem z paczki papierosa i zanurzyłem go w prawym oczodole. Oczekałem, aż zaskwierczy końcówka.

– Mam tylko to – powiedziałem, kiedy koci demon zaspokoił głód. – Jej zapach, imię i nazwę miasta.

Stwór chwycił zębami wizytówkę wiedźmy. Machnął łbem i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Cholerne nie wiadomo co z nie wiadomo skąd.

Cisnąłem niedopałek na ziemię.

Burt zamrugał powiekami.

– Boję się – powiedział.

– Ja również, chłopcze – odparłem.

I wyjąłem z olstra kościany rewolwer.

San Francisco, 2016

– Co wydarzyło się później? – zapytała Jennifer.

– Później... – powtórzyłem, patrząc z podziwem na jej wypiełgnowane dłonie, chronione wirującymi wokół nadgarstków pieczęciami. – Cóż, kontynuowałem podróż do San Francisco. – Zachęcony jej spojrzeniem, ciągnąłem: – Pędziłem na zachód. Ogromny księżyc wisiał nisko nad wzgórzami na wschodzie. Miałem szybki samochód i szykowną broń: magiczne spluwy otrzymane od Johna Temple, wykonane z kości jakiejś piekielnej bestii. Miałem też przeszłość, paskudną i wredną, mściwą jak sycylijski mafioso.

Tankowałem i jechałem dalej. Nie musiałem jeść ani pić, mimo że mogłem i lubiłem. Nie musiałem również spać. Byłem przecież martwym skurczybykiem z koszmarne przystanku na drodze między światami.

Pędząc przez ziemie dawnego Pogranicza i mijając podobne do siebie miasteczka, utwierdzałem się w złudnym przekonaniu, że rozciągający się przede mną świat, połykany zachłannie kołami rozgrzanego samochodu, jest niedookreślony, a tym, co nadaje mu formę, są moje marzenia, aspiracje i oczekiwania, a ostatecznie moja indywidualna natura. Nie byłem jednak pewny jaka – czy ta sprzed feralnego napadu na bank, czy też późniejsza, wyrosła na glebie mordów, tortur i aktów kanibalizmu, które w jednej chwili, dzięki cholernemu magowi, z trucizny dla mojej duszy przemieniły się w najśłodszą ambrozję. Zabijając Mary Sue, a później Burta, którym wzgardził demon, poczułem zwyczajową rozkosz. Tym razem jednak była zdecydowanie słabsza. Mogłem zachować wobec niej dystans, zostawiając miejsce na krytyczną refleksję. Jakbym odzyskał wolną wolę i nie musiał już wybierać jedynie między złem a złem.

– W takim razie może wcale nie musiałeś ich zabijać? – stwierdziła Jennifer.

– Potrzebowałem karmy dla kociego tropiciela.

Zmarszczyła brwi. Ogień w moich oczodołach przygasł pod wpływem jej zimnego spojrzenia.

– Naprawdę? Dostałeś wizytówkę z adresem internetowym strony Nancy. Mogłeś skorzystać z Google.

– I odnalazłbym *penthouse* Nancy?

– Tylko biuro.

– Właśnie. Chciałem ją zaskoczyć.

– W rezultacie dałeś dupy – powiedziała, podchodząc do panoramicznego okna, za którym rozciągał się zdominowany przez wieżowce krajobraz. – Wręcz koncertowo. Sądziłeś, że tak po prostu, bez żadnego problemu, wejdiesz do naszej kryjówki?

– Mniej więcej. Przekonanie portiera, żeby pozwolił mi wjechać windą na ostatnie piętro, nie było trudne. Myślałem, że kiedy zapukam, drzwi otworzy mi Nancy. Pozwól więc, że zapytam ponownie: gdzie ona jest?

– Wszystko w swoim czasie – odparła Jennifer, zapatrzona w zapadający zmierzch.

Jej słowa, wypowiedziane powoli i z rozmysłem, buzowały magią. Niosły groźbę bólu, może nawet śmierci, tym razem ostatecznej.

– Niech ci się nie wydaje, że masz do czynienia z amatorkami. Zawsze jesteśmy bardzo dobrze przygotowane do tego, co zamierzamy zrobić. To ja zdobyłam informacje o tobie, Czarnej Księdze, posłusznych waszej woli pomniejszych upiorach i złocie, które trzymacie w banku, a także o Johnie Temple, który was przeklął. Wiem, na co cię stać. Ty jednak nie masz pojęcia, kim jestem i co mogę ci zrobić. Dlatego będzie dla ciebie lepiej, jeśli przestaniesz zadawać pytania i podejmiesz opowieść.

– Niech będzie – powiedziałem. – Dopadli mnie o świcie. Drugiego dnia jazdy. W ubogim miasteczku odsypiającym jakieś lokalne święto. Mimo wczesnej pory powietrze nad pustynią falowało z gorąca. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury. Zatankowałem do pełna i poszedłem zapłacić. W sklepie nie było nikogo poza mną i zaspanym sprzedawcą o wyglądzie koguta wciśniętego w przybrudzoną koszulkę i wytarte džinsy. Siedział za kasą, przeglądając pisemko dla mężczyzn, i żuł tytoń. Wziąłem z półki karton papierosów, zapłaciłem i ruszyłem do wyjścia.

„Pieprzony hipster” – wymamrotał za moimi plecami chudzielec.

Mogłem odstrzelić mu łeb i spalić to miejsce. Ograniczyłem się jednak do zapalenia papierosa.

Po drugiej stronie ulicy jakiś łysiejący facet zmiatał chodnik przed barem. Na parkingu stały tylko dwa samochody. Nad ulicą unosił się zapach spalin i rozgrzanego asfaltu.

„Hej, tu nie można palić!” – krzyknął sprzedawca, wychodząc na zewnątrz.

Cisnąłem niedopałek na ziemię i zdeptałem obcasem.

„Wisisz mi jednego” – powiedziałem i znieruchomiałem z ręką na kolbie rewolweru.

Coś się poruszyło.

Pękaty cień rzucany zza rogu sklepu.

Głowa w oknie baru.

Wyczuwszy niebezpieczeństwo, straciłem panowanie nad swoim wyglądem. Sprzedawca, widząc moje prawdziwe oblicze, wrzasnął i cofnął się za próg. Karabinowa seria strzaskała szybę i poszatkowała faceta z miotłą. Pociski zaświstały między dystrybutorami. Strzeliłem do postaci, która zamajaczyła w zniszczonej futrynie, i poczułem uderzenie w plecy. Mężczyzna w sombrero, z bandolierami skrzyżowanymi na brzuchu, nadchodził od strony nieczynnego warsztatu, strzelając na przemian z wielkich rewolwerów. Trafiony jeszcze cztery razy, zignorowałem rozkwitające w moim ciele ciernie, zwalczane przez wypowiedziane w pośpiechu przeciwzakłęcie, i poczęstowałem napastnika kulą, która zmieniła go w kałużę zielonego szlamu.

Tymczasem zabójca z Tommy gunem przeskoczył parapet i wylądował na chodniku. Zdążyłem schować się za samochodem, zanim lewy bok forda upodobnił się do sitka. Po chwili potężna eksplozja zmiotła stację benzynową i sąsiednie budynki z powierzchni ziemi. Jedna z kul musiała trafić w dystrybutor.

Jennifer zmierzyła mnie wzrokiem. Dostrzegłem w nim zaskoczenie i namiastkę podziwu.

– Zakłęcie teleportujące? – spytała.

– Rzuciłem je w ostatniej chwili.

– Bardzo roztropnie. Kim byli napastnicy?

– Franco, ten z karabinem maszynowym, zaczynał jako cyngiel Johnny’ego Torrio z Chicago. W tysiąc dziewięćset trzydziestym przyjechał do Armadillo i spróbował ukraść moje złoto. Przestrzeliłem mu prawe kolano i poderżnąłem gardło, a Czarna Księga zmieniła go w jednego z posłusznych mej woli upiorów, rekrutowanych głównie spośród gangsterów z czasów prohibicji i rewolwerowców, którzy jakimś cudem przegapili schyłek Dzikiego Zachodu. Z kolei Alonzo, Meksykanin, trafił do Armadillo w trochę później, uciekając przed łowcami nagród. Spotkał go ten sam los.

– Kto ich wysłał?

– Myślę, że Czarna Księga. Od dawna życzyła mi śmierci.

– Jak zdołałeś zabić Franco?

– Zwyczajnie. Uniosłem rewolwer, wycelowałem. Tamten oderwał wzrok od płomieni i spojrzał przez ramię. Kula trafiła go w głowę, prosto w zmarszczone czoło. Potem wsunąłem colta do olstra i zapaliłem szluga. Języki ognia sięgały ku niebu niczym dłoń truposza gramolącego się spod ziemi. Pożar rozprzestrzenił się na kolejne budynki. Słyszałem krzyki i rozpaczliwe wołanie o pomoc. Jakaś kobieta, ogarnięta płomieniami, wyskoczyła z okna.

– Co było potem?

– Rozszalały żywioł przypominał mi o piekielnej wersji Armadillo. Kiedy nie byłem zajęty zabijaniem przypadkowych wędrowców ani dobijaniem targu z poszukiwaczami wiedzy zapisanej w Czarnej Księdze, szedłem na skraj miasteczka, do miejsca, w którym otaczająca je membrana była najszabsza, siadałem na leżącym tam gładzie i czekałem, aż po drugiej stronie rozbłyszczą różnobarwne kule tworzące kalejdoskopowe konfiguracje. Nie wiedziałem, czym są, ale lubiłem wyobrażać sobie, że stanowią odrębne światy. Niebawem w to uwierzyłem. Niektóre kule były barwy ognia, kolor innych przywodził na myśl księżycowy pył. Niekiedy wyglądały jak perły nanizane na niewidzialny naszyjnik, a czasami po prostu dryfowały w pustce, wolne od tyranii emergentnych wzorów.

– Od czego?

– Wybacz dygresję. Zjadłem kiedyś poetę i filozofa.

Jennifer prychnęła z pogardą.

– Nie bełkocz.

– Spróbuję.

Potrząsnąłem głową i popatrzyłem na jej zgrabne nogi. Abstrahując od realnej groźby ostatecznej śmierci, nie mogłem nie docenić urody mojej rozmówczyni. Pomimo przemiany w upiora pozostałem typowym mężczyzną, tyle że pozbawionym sumienia.

Przyjaciółka Nancy Margolis miała ciemną skórę i duże lśniące oczy o zielonych tęczówkach. Jej usta sprawiały wrażenie skrojonych do pocałunków i recytowania skomplikowanych formuł. Atletyczna sylwetka sugerowała zdrowy tryb życia. W wypełniającym pokój przytłumionym świetle, otoczona zmaterializowanymi zaklęciami ochronnymi, wyglądała nierealnie, jak postać ze snu. Nie była boginią, ale z łatwością mogła za nią uchodzić. Za boginię cielesnej miłości lub rewolwerowych pojedynków. W koszulce bez rękawków i dzinsowych szortach.

– Masz – powiedziała, kładąc na stoliku pas z moimi rewolwerami. Zapięła swój i podeszła do rozsuwanych drzwi, prowadzących na przestronny taras z ogrodem i basenem.

Posłuszny jej woli, wyszedłem na zewnątrz. Noc była ciepła i jasna. Podszyta balansującym na granicy słyszalności szumem ulicy. Okoliczne wieżowce przypominały podświetlone od środka figury szachowe, samotnie lub w grupkach przygotowujące się do ostatecznej partii. Jennifer popatrzyła na mnie pogardliwie i powiedziała:

– Ćwiczyłam od dziecka. – Wsunęła kciuki za pas i zakołysała się na piętach. – Mój ojciec miał obsesję – wyjaśniła, kładąc dłonie na wystających z olstrów coltach.

– Chciał, żebym została drugą Annie Oakley. Widziałeś jej występ?

– Tak. – Skinąłem głową. – W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym. Przyjechała do Appaloosy, mojego rodzinnego miasteczka, z cyrkiem Buffalo Billa.

– Więc wiesz, na co było ją stać.

– Z odległości niemalże trzydziestu metrów trafiła pięć razy pikowego asa, zanim karta spadła na ziemię. – Zerknąłem na rewolwery wiedzmy. – Annie była strzelcem wyborowym, nie rewolwerowcem.

– Zatem jestem lepsza od niej.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytałem, mimo że odpowiedź miałem tuż przed nosem.

– Jesteś szybki?

– Raczej nie.

– Przygotuj się. Cofnęłam zakłęcie.

Mówiła prawdę.

Odzyskałem kontrolę nad swoim ciałem. Rozprostowałem palce i podszedłem do krawędzi tarasu. W oddali, pomiędzy wieżowcami, przeleciał policyjny helikopter. Skręcił w stronę świetlistej kopuły stadionu, na którym trwał koncert jakiegoś zespołu.

Jennifer podeszła bliżej. Położyła dłoń na moim ramieniu i szepnęła:

– Czekam.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

Zielone tęczęwki *versus* wypełnione ogniem oczodoły.

Jedne i drugie wolne od strachu.

Była tak blisko. Czuję jej pot wymieszany z zapachem perfum. Słyszałem bicie serca. I nieznacznie przyspieszony oddech. Zajrzałem do swojego wnętrza, potem w głąb miejskiej panoramy. Nigdzie jednak nie znalazłem odpowiedzi na pytanie, co

powiniennem zrobić. Żadnego znaku. Żadnego drogowskazu. Najmarniejszej podpowiedzi. Tylko mrok i blask cywilizacji. Doskonale obojętny horyzont zdarzeń.

Zacisnąłbym powieki, gdybym je miał.

Zacisnąłbym i poczekał na finał.

Zamiast tego poszedłem po pas z rewolwerami i zapiąwszy go, stanąłem naprzeciwko Jennifer.

*

...śniłem.

Musiałem śnić, skoro śpiewałem głosem Johnny'ego Casha:

There ain't no grave

Can hold my body down

There ain't no grave

Can hold my body down

W zasięgu wzroku nie było grobu, który przyjąłby moje zwłoki. Gdy tylko zbliżałem się do jakiegoś, wypełniał się czarnym piaskiem. Szedłem więc do następnego. Moja lewa dłoń hasała wzdłuż gryfu, a prawa trącała zawadiacko struny. Nogi niosły mnie w przód i w przód, od grobu do grobu, ku oddalającemu się horyzontowi, podczas gdy moje gardło, równie zdradzieckie jak reszta ciała, nie przestawało podrabiać śpiewu Johnny'ego.

W pewnej chwili usłyszałem chór głosów. Zaśpiewały refren, potem kolejną zwrotkę, tę z Gabrielem, i znów refren, a następnie cztery wersy z Jezusem. Śpiewali wszyscy – martwe dziwki z Armadillo, moje upiory, szeryf z przestrelonymi płucami, Mary Sue, Burt i pozostałe ofiary. Nawet Czarna Księga wystukiwała okładką rytm. Słyszałem też głos wiedźmy. Dobiegał z oddali, jakby spoza prerii, może nawet spoza granic mojego snu.

Gdy wybrzmiała ostatnia zwrotka, znalazłem grób, który mną nie wzgardził.

Było jednak za późno na szczęśliwe zakończenie.

Wypuściłem z rąk gitarę i zeskoczyłem w bulgoczącą na dnie ciemność. Była gęsta jak owsianka i namolna niczym zdesperowana dziwka. Oferowała chłód wieczności i wspomnienia. Mnóstwo wspomnień, przejrzystych jak górskie powietrze, łaknących mej krwi, domagających się sprawiedliwości. W imieniu wszystkich moich ofiar.

Armadillo, 2016

Ocknąłem się w bagażniku samochodu podskakującego na wybojach. Nie mogłem się poruszyć. Ciernie poprzebijały moje ciało od wewnątrz, uniemożliwiając rzucanie zakłęcz. Cholernie zaawansowana forma spętania. Zdecydowanie ponad moje siły.

Samochód zwolnił, zatrzymał się, silnik zgasł.

Trzasnęły drzwi, czyjeś buty zachrzęściły na żwirowej drodze. Przed uniesioną klapą zamajaczyła kobieca sylwetka.

– Wyskakuj – rozkazała Jennifer. Następnie podała mi dłoń i osłabiła zakłęcie.

Wygramoliłem się z bagażnika i rozejrzałem. Staliśmy na prerii, pod kopułą gwiazd, na poboczu drogi przebiegającej nieopodal Armadillo.

– Wracam do domu? – zapytałem.

– Mniej więcej – odpowiedziała, opierając się o przednią maskę chevroleta camaro.
– Wsiadaj!

Posłuchałem. Wnętrze pojazdu było czarne, z szarymi wykończeniem, tapicerka pachniała skórą. Od zegarów na desce rozdzielczej bił czerwony blask.

Jennifer wyciągnęła telefon i wybrała numer.

– Tak – powiedziała po chwili. – Zaraz będziemy na miejscu. Nie. Żadnych. –
Wsiadła i uruchomiła silnik.

– Z kim rozmawiałaś?

– Z twoim przeznaczeniem.

Pomknęliśmy do Armadillo maszyną ciemniejszą niż noc. Niebawem ujrzałem zarys ruin. Samochód podskoczył na zasypanych piachem torach, minął resztki kościoła i zaparkowanego w pobliżu dodge'a Nancy, po czym przejechał przez otwarty w membranie portal. Było cicho. Nie słyszałem świstu wiatru ani jęków pechowego szeryfa. Z burdelu nie dobiegał żaden szmer. Membrana chroniąca upiorne Armadillo wyglądała jak pokryty ciemnymi naciekami biały papier, w wielu miejscach popękany i pomarszczony. Skupione wzdłuż ulicy budynki przypominały pogniecione origami. Na fałszywym nieboskłonie pojawiało się coraz więcej szczelin. Do tego ten popiół, którego szare drobiny wirowały w powietrzu, upodabniając rzeczywistość do śnieżącego ekranu.

Mój świat się rozpadał.

Wysiadłem i spojrzałem pytająco na Jennifer. Wiedźma trzasnęła drzwiami, wsunęła kciuki za pas z rewolwerami i obnażyła zęby w uśmiechu sugerującym, żebym nie próbował z nią zadzierać. Drobiny popiołu osiadły jej na włosach. Potrząsnęła głową, obeszła chevroleta i wyjęła z bagażnika parasol.

Przed bankiem czekała na nas Nancy. Rudowłosa i pewna siebie. Ubrana była w kowbojki, dzinsy i skórzaną kurtkę. W prawej dłoni trzymała sportową torbę. Czegoś

brakowało.

– Co się stało z kociakami? – zapytałem.

– Zmodyfikowałam zaklęcie, więc zostały w domu – wyjaśniła. Następnie podeszła do przyjaciółki, stanęła pod parasolem i pocałowała ją w usta. Jennifer odwzajemniła pieśczętę.

Poczułem znajome napięcie. Zwiastowało wzbierającą żądzę. W gruncie rzeczy moja ucieczka niewiele zmieniła. Pozostałem bowiem sobą. Bezimiennym magiem-upiorem z Armadillo. Kimś, kto...

– Hej, drogie panie. Chętnie zjadłbym wasze cipki.

...powiedziałyby właśnie coś takiego.

Przestały się całować.

– Tylko spróbuj – warknęła Jennifer.

– Metaforycznie czy dosłownie? – spytała Nancy, uśmiechając się od ucha do ucha. Wzdłuż jej ramion hasały barwne manifestacje przygotowanych zawczasu zaklęć. Eksplodujące iskrami ikonki nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do natury symbolizowanej przez nie magii.

Nie odpowiedziałem.

Wiedźma podeszła bliżej. Spojrzała w moje oczodoły, na widoczny w nich ogień, otaksowała z pogardą jamistą pozostałość nosa i spiłowane na ostro zęby. Potrząsnąłem głową, żeby pozbyć się *déjà vu*.

– Gdzie są moje upiory, Nancy? – spytałem.

– W pobliżu – stwierdziła i zdmuchnąwszy z dłoni drobiny popiołu, zaczęła się śmiać. – Na pocieszenie dodam, że walczyły zaciekle.

– I Czarna Księga na to pozwoliła?

Nancy potrząsnęła sportową torbą.

– Zneutralizowałam ją na samym początku pewnym szczwanym zaklęciem. Teraz smacznie śpi.

– Jestem pod wrażeniem. Zabiłaś Johna Temple?

– Nie wiem, co się z nim stało. Może umarł albo został zabity. Niewątpliwie jakies wydarzenie sprawiło, że klątwa zaczęła słabnąć. Przeczytałeś „Króla w Żółci”?

– Tak.

– I?

Zacytowałem:

Along the shore the cloud waves break,

The twin suns sink behind the lake,

The shadows lengthen

In Carcosa.

*Strange is the night where black stars rise,
And strange moons circle through the skies,
But stranger still is*

Lost Carcosa. ^[1]

– Zaimponowałeś mi – powiedziała Nancy. – John Temple był fanem wczesnej twórczości Chambersa. Wierzył, że Carcosa istnieje naprawdę. Zresztą, o ile mi wiadomo, nie on jeden. Jednak tylko jemu, jeśli źródła Jennifer mają rację, udało się otworzyć przejście do innego świata kosztem liczącego sobie ponad tysiąc dusz miasteczka. Nie mam pojęcia, czy trafił do upragnionej Carcosy, czy też gdzie indziej. Tak czy inaczej blefowałam, mówiąc, że pomogę ci go odnaleźć.

– Dlaczego zatem przyjechałaś do Armadillo?

Uśmiechnęła się i opowiedziała mi o wszystkim.

Chodziło wyłącznie o Czarną Księgę. Znalazła sposób, żeby ją ujarzmić i wykorzystać do własnych celów. Najpierw jednak postanowiła zobaczyć słynne Armadillo i za pomocą zaklęć oszacować moc jego mieszkańców. Bajeczka o dziecku porwanym przez klikę profesorów-metafizyków, gotowych wymienić go za Czarną Księgę, i obietnica pomocy w poszukiwaniach Johna Temple miały uspić moją czujność. Kilka godzin po mojej ucieczce z Armadillo, kiedy klątwa, którą John Temple powołał do istnienia widmową wersję miasteczka, osłabła na tyle, że otaczająca je membrana zaczęła się rozpadać, Nancy wróciła po drogiego chowańca. W tym czasie ja zmierzałam do San Francisco.

– Rozczarowany? – spytała Nancy.

– Odrobinę. Nie rozumiem tylko, jak zdołałaś w tak krótkim czasie dojechać do San Francisco, a potem wrócić do Armadillo. Bez magii to chyba niemożliwe.

– Kto powiedział, że wróciłam do San Francisco? Czekałam w odległości kilku mil od Armadillo, obserwując ruiny miasteczka przez lornetkę. Kiedy złapałeś stopa, zadzwoniłam do Jennifer z wieścią, że za parę godzin może mieć gościa.

– Cholera. O tym nie pomyślałam. Co zamierzacie ze mną zrobić?

– Cóż, długo rozmawiałyśmy na ten temat. Jennifer była za tym, żeby cię zabić, ponieważ masz na rękach krew dziesiątek kobiet, które trafiły do Armadillo.

– To prawda. Jednak Nancy przekonała mnie, że uśmiercenie ciebie z tego powodu byłoby dyskryminujące dla mężczyzn, których zamordowałaś.

– Dlatego doszliśmy do wniosku, że musimy wymyślić jakieś inne zakończenie twojego marnego żywota niż śmierć z rąk dwóch seksownych lesbijek, mszczących się w imię kobiecej solidarności.

– I wymyśliłyśmy!

– Co mianowicie? – spytałem.

– Otóż – Nancy uśmiechnęła się szeroko – wejdiesz teraz do banku i staniesz twarzą w twarz z...

– Ejże! – wtrąciła się Jennifer. – Nie spojleruj!

– Okej, myszko. Już nic nie mówię.

– Cofnęłam zakłęcie. Idź.

Cholerne więdźmy. Nawet gdybym miał przy sobie kościane rewolwery, moje szanse na pokonanie choćby jednej z nich były zawstydzająco niskie. Chciałem jednak żyć i dlatego postanowiłem stanąć do nierównej walki. Jennifer zabrała mi spluwy, ale przeoczyła drobnostkę, dzięki której mogłem pomyśleć z nadzieją o ucieczce.

Ruszyłem w stronę banku. Po pięciu krokach wyjąłem z kieszeni harmonijkę i zacząłem grać bluesową melodię, smutną jak kres cywilizacji. Uwolniła dusze moich ofiar. Zaledwie garstkę. Kilkanaście ostatnich okazów. Okradzionych z własnej tożsamości i trawionych żądzą nowej. Rozdygotane cienie staranowały zakłęcia ochronne więdźm z gracją rozpędzonej ciężarówki. Ziarniste powietrze zaroilo się od świetlistych wybuchów.

Liczyłem na to, że zdołam dobiec do samochodu, uruchomić silnik i uciec przez wciąż otwarty portal w membranie. Nie doceniłem dziewczyn. Zwłaszcza szybkostrzelnej Jennifer. W ciągu tych kilku sekund, grząc z rewolwerów, wyglądała jak Annie Oakley strzelająca do podrzuconej w powietrze karty. Dusze nie miały żadnych szans. Urzeczony popisem jej umiejętności, straciłem z oczu Nancy. Tymczasem rudowłosa, wykorzystując ten moment nieuwagi, uderzyła mnie w splot słoneczny. Pięścią i zakłęciem. Wylądowałem na plecach, tuż za progiem banku.

Skrzypnęły deski.

Nancy była coraz bliżej, gotowa na kolejny pokaz magicznego kung-fu.

Uniosłem do ust harmonijkę w desperackiej próbie przekupienia losu. Jednak nie zdążyłem zagrać, gdyż ni stąd, ni zowąd, poderwany mocnym szarpnięciem, zawisłem nad podłogą.

Więdźma zacisnęła rozpalone magią pięści i cofnęła się o krok, wyraźnie wystraszona.

Ten zapach. Nie zmienił się mimo upływu tylu lat. Ogarnął mnie spokój. Więdźmałem, kogo ujrzę, gdy obrócę głowę. W czyich tęczówkach się zapadnę. Dokąd wyruszę.

– Cassilda – wyszeptałem, a ogień w moich oczodołach w końcu zgasł.

CASSILDA

Zamczysko Cassildy, 2016

Porwała mnie z Armadillo, prosto sprzed nosa Nancy Margolis. Pomknęliśmy świetlistym tunelem o przezroczystych ścianach, pomiędzy brzemiennymi kulami, które tworzyły kalejdoskopowe konfiguracje. Jak mówiłem, widywałem je już wcześniej, przesiadując na skraju miasteczka. Teraz wreszcie zrozumiałem, czym są. Okazało się, że miałem rację, myśląc o odrębnych rzeczywistościach. Do zamczyska Cassildy wiodły bowiem pępowiny miliona światów.

Dotarliśmy do ogromnego okna, którego szklana powierzchnia falowała niczym wzburzona tafla jeziora. Pierwsza do sypialni wpadła Cassilda, potem ja – wylądowałem na plecach, oszołomiony obłądnie szybkim przelotem. W lustrzanym suficie widziałem nasze odbicia. Cassilda zsunęła nogi z łóżka i podeszła do niedużego biurka, przed którym wisiało okrągłe lustro. Usiadła na krześle i zaczęła wyjmować spinki. Odkładała je do leżącego na blacie pudełka. Wkrótce rozpuściła włosy, rozpięła z boku spódnicę. Pod spodem nosiła czarną bieliznę. Zrolowała pończochy i przewiesiła je przez oparcie. Bluzka powędrowała na wieszak, a stanik do szuflady. Założyła satynowy szlafrok i wyszła z pokoju. Po dłuższej chwili w progu pojawiła się inna kobieta z butelką wina i kieliszkami w ręku. Miała proste czarne włosy, opadające swobodnie na ramiona, a rysy jej twarzy zdradzały azjatyckie pochodzenie. Uniosłem się na łokciach i zadałem pytanie, którego wymagały okoliczności.

– Gdzie się podziała Cassilda?

– Masz mnie przed sobą – roześmiała się. – Zapomniałam ci powiedzieć, że potrafię zmieniać wygląd.

Wzięłem od niej schłodzoną butelkę, odkorkowałem i rozlałem wino..

– Co się stało z Johnem Temple?

– Nie żyje.

– Zabiłaś go?

– Nie posłuchał mojej rady i zginął.

– Gdzie?

- W Carcosie.
- Jesteś prawdziwą Cassildą? Tą, o której pisał Chambers?
- Oczywiście, że nie. John się pomylił. Nie otworzył portalu do Carcosy. Zwrócił jednak moją uwagę. Dlatego odpowiedziałam na jego wezwanie.
- Zachowałaś jednak jej imię.
- To dlatego, że poznałeś mnie jako Cassildę.
- Rozumiem. Zatem to śmierć Johna Temple spowodowała, że klątwa zaczęła słabnąć.

- Kto tak powiedział?
- Czarna Księga – wyjaśniłem.
- Chętnie posłucham.

Dolałem sobie wina i opowiedziałem jej o życiu w *ghost town*. O moich ofiarach i wykradanych im wspomnieniach. O rosnącym apetycie na ludzkie dusze. O uknutym przez wiedźmy planie zdobycia Czarnej Księgi i roli, jaką nieświadomie odegrałem w ich machinacjach.

Opowiadałem, dopóki nie opróżniliśmy butelki. Cassilda poszła po nową, więc skorzystałem z okazji, żeby zdjąć brudne ciuchy. Po chwili z lustra na suficie szczyrzyły się do mnie świetnie zakonserwowane i kompletnie nagie zwłoki.

- Widziałaś moją śmierć – powiedziałem, gdy wróciła.
- Raczej twoje narodziny – odparła, napełniając kieliszki.
- Kwestia punktu widzenia.
- Racja – przyznała. – Chyba nie żywisz urazy? Nie wyszedłeś najgorzej na przemianie w upiora.
- Owszem, w przeciwieństwie do osób, które zabiłem. To był twój pomysł?
- Johna. Cóż, zależało mu na dostępie do nowych światów. W zamian zaoferował swoje usługi. Wiedział, czym się zajmuję i do czego może mi być przydatny. Uznałam, że wykorzystam go w paru przedsięwzięciach. Nie stanowił zagrożenia. Przypieczętowaliśmy umowę ofiarą.
- Złożoną z całego Armadillo?
- Spójrz na to w ten sposób. Zyskałeś siedzibę. Idealną dla maga-upiora.
- Pieprzona magia.
- Nie przepadasz za nią, prawda?
- Nie rozumiem jej reguł.
- Pewnie nie znajdziesz w tym pocieszenia, ale ofiara nie była konieczna.
- Jak to?

– Skarbie – powiedziała, odstawiając kieliszki na nocny stolik – znam wasz świat na wylot. Mogę obchodzić rządzące nim zasady.

– Jesteś bogiem?

Usiadła na mnie okrakiem i zsunęła z ramion szlafrok. Ciężkie piersi o ciemnych sutkach zawisły tuż nad moją twarzą. Obnażyłem spiłowane na ostro zęby. Wysunąłem pociemniały język. Mój żylasty członek dotknął jej pośladków.

– Wyglądasz jak pirania – stwierdziła.

– Poczekaj – odpowiedziałem i zmieniłem wygląd. – Teraz lepiej?

Zamruczała z uznaniem.

– Nie jesteś aż tak kiepskim magiem, za jakiego się uważasz.

– Uznam to za komplement.

– Słusznie.

Potrząsnęła głową i zakołysała biustem. Tym razem jej włosy były rude, piersi mniejsze, a sutki jasnoczerwone. Błądą skórę pokrywały liczne piegi.

– Nancy – wyszeptalem, zanim zmiażdżyła moje usta w namiętym pocałunku.

Jej oddech pachniał zgniłymi różami i wanilią. Mój – tylko rozkładem.

– Jakie bóstwo pachnie w ten sposób? – zapytała.

– Nie wiem. Ty?

Pokręciła głową.

– Bóstwa nie mają klasycznych interesów. Działają z miłości albo nienawiści. Są czarno-białe. Przynajmniej te prawdziwe. Poza tym nie posuwają śmiertelników.

– Cóż, więc twierdzisz, że nie całowałem się z bogiem...

– Ani z boginią.

– Zatem z czym?

Cassilda przygryzła dolną wargę.

– Ze światem – stwierdziła, po czym zabrała mnie do miejsc, których istnienia nigdy bym nie podejrzewał.

Ostatecznie moja wyobraźnia i pomysłowość musiały skapitulować. Pozostała mi rola seksualnej zabawki o nieskomplikowanym sposobie działania. Nie wyraziłem sprzeciwu. Gospodyni była życzliwa, wino przepyszne, a łóżko wygodne. Jako ponad stuletni truposz, podtrzymywany przy życiu słabnącą klątwą, musiałem przyznać, że znalazłem się we względnie komfortowej sytuacji: pieprzony przez awatary, których anatomia stopniowo transformowała z ludzkiej w ewidentnie fantastyczną.

Naturalnie nie żywiłem złudzeń. Wiedziałem, że niebawem będę musiał za to zapłacić. Chociażby przysługą. Próbowałem odgadnąć, czego zażąda. Obstawiałem, że zechce, bym przemówił do rozsądku jakiemuś śmiertelnikowi albo solidnie go

porachował, jeżeli odmówi współpracy. Nie śmiałem mierzyć wyżej. Nie moja liga. Zawodnicy pokroju Cassildy zmiażdżyliby mnie jak insekta. Jednak komuś podobnemu do mnie dałbym radę, nawet gdyby oznaczałoby to wycieczkę do jednego z miliona światów połączonych świetlistymi pępowinami z zamczyskiem Złej Królowej. Przecież o czymś takim marzyłem, prawda?

Nowy początek.

Nowa tożsamość.

Nowe życie.

Ech, jednak wyszło inaczej.

Kiedy skończyliśmy się kochać, Cassilda podeszła do okna i zapaliła. Powiedziała, żebym do niej dołączył. Włożyłem kapelusz i wygramoliłem się z pościeli. Zachowałem ciało czarnoskórego pastora, który na początku lat czterdziestych zjawił się w Armadillo, aby przeprowadzić egzorcyzmy. Bogobojny drań dbał o swój wygląd, dlatego z zadowoleniem popatrzyłem na swoje odbicie w szybie. Cassilda znów przypominała Nancy. Objąłem ją w pasie i pocałowałem w szyję.

W owalnej tafli okna zamigotało widziane z lotu ptaka Armadillo. Gdy obraz nabrał ostrości, dostrzegłem zaparkowaną w poprzek ulicy furgonetkę, nieco dalej stał chevrolet należący do Jennifer. Lorenzo i Tony, dwaj dobrze mi znani gangsterzy w eleganckich garniturach, ostrzeliwali skulone za samochodem wiedźmy.

– To dzieje się naprawdę? – zapytałem.

– Tak. W tej chwili. Poznajesz tych mężczyzn?

– Wyglądają znajomo.

– Jeśli chcesz, możesz tam wrócić. Możesz także zostać i mi pomóc.

– Potrzebujesz pomocy? – Udałem zdziwienie.

– Potrzebuję miliona przysług – odparła, odwracając głowę, a ja dostrzegłem w jej oczach desperację. – Zainteresowany?

Popatrzyłem na Armadillo, skupiając uwagę na wiedźmach. Jennifer wychyliła się zza chevroleta i oddała kilka strzałów ze swoich rewolwerów. W tym samym czasie Nancy ulepiła z zaklęcia kulę ognia o rozmiarach piłki do koszykówki, po czym rzuciła nią w furgonetkę.

– Wyłącz to – powiedziałem.

Okno zmatowiało.

– Zostaję.

– Dobrze. Zatem musisz wiedzieć kilka rzeczy.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze to miejsce jest metaforą. I nie mówię tylko o tej komnacie, lecz o całym zamku, rozumiesz?

– Tak.

– Po drugie obcujesz ze mną za pośrednictwem ucieleśnionych i ożywionych symboli, które zaczerpnęłam z twojej kultury. Nie było innego sposobu na ominięcie dzielących nas różnic. Tak naprawdę...

– Nie jesteś kobietą. Mężczyzną też nie. W ogóle nie jesteś człowiekiem.

– Właśnie. Moje wcielenia to także metafory, coś w rodzaju pojęciowo-materialnego interfejsu, dzięki któremu możemy ze sobą rozmawiać.

– I uprawiać seks.

– To jeszcze nie wszystko. *Femme fatale* w potrzebie. Twardziel służący pomocą. Oczywiście nie bezinteresownie. Seks, przemoc i grzech. Milion odcieni szarości. Klimat literatury *noir*. Znasz tę konwencję?

– Moje ofiary znały, zatem wiem co nieco.

– Wyobraź sobie, że to tylko aproksymacja. Przybliżenie. Ułomny sposób na to, byś zrozumiał sytuację, w jakiej się znalazłam, i to, co w związku z tym zamierzam zrobić.

– Jasne – odparłem i zapaliłem.

Górnotłone słownictwo, koncepty drwiące z rozumu, wykolejone wnioski. Kiwałem głową, żeby nie wyjść na głupka.

Cassilda nie należała do bezinteresownych istot. Prowadziła poważny biznes. Miała zobowiązania, długi i problemy większe niż przeciętne męskie ego. Czyli cholernie duże. Miała też wrogów, których zamierzała wyprowadzić w pole. Wrogowie grali w lidze zarezerwowanej dla przedwiecznych zawodników. Typowi faceci w czerni. Pożerali światy i nie mieli poczucia humoru.

Metafory. Metafory. Metafory.

Sposób na oswojenie nieznanego.

– Powiedziałaś, że jesteś światem. Co to znaczy?

Cassilda zerknęła z ukosa i odparła:

– To, co usłyszałeś, mój drogi. Jestem zbuntowanym światem, który ukradł ogień bogom.

– Nie rozumiem.

– Wypowiedziałam posłuszeństwo mojemu stwórcy. Czytałeś „Frankensteina”?

– Nie, ale jedna z moich ofiar widziała ekranizację, a ja posiadam jej wspomnienia.

– Lepsze to niż nic. Wyobraź sobie, że moja historia jest podobna. W jakiś sposób zyskałam samoświadomość, potem samowiedzę, i zrozumiałam, że nie chcę być taka,

jąką mnie stworzono. Zabiłam swojego stwórcę. I zajęłam jego miejsce. Wkroczyłam na salony zarezerwowane dla bóstw.

– I narobiłaś sobie wrogów.

– Tak, ale dotąd trzymałam ich w szachu. Nie docenili mojej mocy i sprytu. Widzieli we mnie pyskate miejsce kultu lub gadającą przekąskę.

– Jednak ostatecznie dobrali się do twojego tyłka.

– Dlatego poprosiłam cię o pomoc. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, dam ci pewną rzecz, którą zabierzesz do swojego świata.

– To wszystko? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Na więcej cię nie stać.

Pokręciłem głową.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że przeleciałem świat.

– I zostałeś przez niego wydymany – odparła z uśmiechem i szturchnęła mnie po przyjacielsku w bok. – Jesteśmy kwita?

– Jak najbardziej.

– Zatem wchodzisz w to?

Zgodziłem się. Wtedy Cassilda pchnęła mnie na łóżko i chwyciła mojego członka.

– Na pewno nie jesteś bogiem? – zapytałem.

– Bogowie nie obciągają.

*

Cassilda najpierw połechtala moje ego, by potem zrzucić z piedestału. Okazało się, że nie jestem jedyny. Ściągnęła wybrańców z wielu światów. Z każdym dobiła targu. Moje martwe serce ścisnęła zazdrość. W przetyku rosła pretensja, co nie miało żadnego sensu, gdyż jako truposz nie powinienem doświadczać erekcji ani duchowych rozterek. Ścieżki magii były jednak kręte. Na szczęście ochłonąłem dość szybko i skupiłem uwagę na czymś zupełnie innym.

Siedzibę Cassildy, przypominającą zamczysko Złej Królowej, wzniesiono na ogromnym kawałku skały zawieszonym w centrum sfery, którą wypełniały świetliste pępowiny i chmury w kolorach tęczy. Pomiedzy chmurami unosiły się i opadały bąbelki, toteż obserwując za pierwszym razem ten wielobarwny przestwór, odniosłem wrażenie, że znalazłem się w odmętach gazowanego napoju. Wnętrze zamczyska było płataniną biegnących we wszystkich kierunkach korytarzy i przestronnych komnat, w których aktualnie zamieszkiwali pozostali wybrańcy mojej gospodyni. O ile niektóre okna w zamkowych komnatach były portalami do innych światów, o tyle

tarasy, łączące niekiedy kilka komnat, służyły do podziwiania widoków. Pierwszych miałem unikać, z drugich mogłem korzystać według uznania.

Podczas jednego ze spacerów wyszedłem z papierosem w dłoni na szeroki taras, okalający – mniej więcej w połowie jej wysokości – centralną wieżę zamczyska.

Zapaliłem.

Bąbelki zasuwwały w górę i w dół. Papierosowy dym, szary i gęsty, ulatywał ku okazałemu chmurkom, zza których wзираły fioletowo-cytrusowe niebiosy.

Tajemny świat halucynogennej wody sodowej ze stolicą w Barad-dûr.

– Brakuje tylko pomalowanych w paski skrzydlatych wielorybów – stwierdziłem na głos. – I orków.

– Widziałem jednego – odparł niski mężczyzna o długich, jasnych włosach spiętych w kucyk. Nosił białe spodnie, białą koszulę i białą marynarkę. Wręcz porażał bielą. Miał szczupłą twarz o wąskiej szczęce i drobnych ustach.

– Porusza się pan bezszelestnie – zauważyłem.

– Za to pan bardzo hałasuje. Co mnie frapuje, ponieważ pracujemy w tej samej branży.

– Jest pan zabójcą?

– Upiorem.

– Miło. Zjazd cechowy?

– Nie. Tylko Cassilda w potrzebie. Tak ją pan nazywa, prawda?

Był niższy ode mnie co najmniej o dwie głowy. Sposób, w jaki mówił i spoglądał w moje oczodoły, lekko rozkołysana postawa, chłód bijący z niebieskich tęczęwek, wreszcie rewolwer w skórzanym olstrze, noszonym bardzo nisko, bo w połowie uda – to wszystko wzbudziło moją czujność, postawiło włoski na karku, zmusiło do zmiany pozycji.

Rzadki okaz kurdupła.

– Istotnie – odpowiedziałem. – A pan jak na nią mówi?

– Alice.

– Też ładnie – stwierdziłem i pomyślałem: „Who the fuck is Alice?”. – Zatem kogo pan widział? Wieloryba czy orka?

– Tego pierwszego.

– Rozumiem. Co pana tutaj sprowadziło?

– Praca, no i Alice.

– W tej właśnie kolejności? – upewniłem się.

– Tak. Szukam kogoś. Może pan słyszał? Piegowata blondynka. Mniej więcej dwadzieścia lat. Bielutkie ząbki. Drobny nosek. Na imię ma Mary. Mary Sue.

- Nie słyszałem – odparłem. – Jest wybrańcem Cassildy?
- Zaginęła.
- Tutaj?
- Pomiędzy Armadillo a San Francisco.

Podrapałem się po brodzie.

- Zatem dlaczego nie szuka pan jej na Ziemi?
- Interesuje mnie osoba, która widziała ją jako ostatnia.
- Rozumiem.

Wyszczrzył się. Zęby też miał białe, spiłowane na ostro, kły jak u wampira.

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc – dodałem i odwróciłem się do niego plecami. – Papierosa?

– Nie. – Pokręcił głową. – Dziękuję. Poszukam gdzie indziej. Pewnie jeszcze się spotkamy.

– Nie wątpię. – Cisnąłem niedopałek w przepaść. – To buscadero?

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach i spojrzał pytająco przez ramię.

– Pańskie olstro – wyjaśniłem.

Zerknął odruchowo na udo. Potem podniósł wzrok i skinął z zakłopotaniem głową, jakby został przyłapany na czymś wstydlwym.

– Tak. Hollywoodzka wersja. Z lat pięćdziesiątych.

– Piękna robota. Mówię również o colcie.

– To replika rewolweru Scotta Glena z „Silverado”. Widział pan film?

Rozłożyłem ręce.

– Niestety. W Armadillo nie było kina ani telewizji.

– No tak. Cóż, szkoda.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, zapewne zastanawiając się, czy powinien wyłożyć karty na stół już teraz, czy poczekać na lepszą okazję. W końcu, nim zdążyłem zapalić następnego papierosa, opuścił taras. Naturalnie znałem Mary Sue i wiedziałem, co się z nią stało. Dziewczyna trafiła na moje dawne ja i została złożona w ofierze. Gdybyśmy spotkali się później, pewnie darowałbym jej życie. Nie twierdzę, że byłem wtedy pozbawiony wyboru. Tamtej nocy przeważała po prostu natura upiora.

Wypaliłem papierosa, podziwiając oniryczne widoczki, po czym zachowując wzmózoną czujność, poszedłem szukać Cassildy.

Zastałem ją w towarzystwie stworzenia, które wyglądało jak bękart człowieka i modliszki. Grało z moją gospodynią w jakąś odmianę szachów. Rozgrywka toczyła się na trzech planszach jednocześnie. Jedna leżała na stole, dwie wisiały nad blatem.

Figury umierały w męczarniach. Flaki śmigały nad biało-czarnymi polami. Krew bryzgała na zawodników. W powietrzu unosił się gęsty, szary dym. Modliszka paliła – w czterech z dziewięciu kończyn trzymała po cygarze. Pięcioma przesuwiała pionki. Dym wypuszczała z trzech par ust. Stary gramofon odtwarzał trzeszczącą płytę. Roztrzęsiony jazz drażnił uszy. Wyłapałem ostrzegawcze spojrzenie Cassildy i wyszedłem.

Znalazłem ją ponownie kilka komnat dalej, w bogato umeblowanej sypialni. Siedziała przed lustrem, rozczesując długie, kasztanowe włosy. Była pulchną dziewczyną o zadartym nosku. Rozmazany makijaż i wilgotne policzki sugerowały, że niedawno płakała. Zanim usiadłem na krześle, upodobniła się do Nancy. Makijaż i podkrążone oczy pozostały bez zmian.

– Ciężki dzień? – spytała.

– Nieprzewidziane trudności.

Opowiedziałem o spotkaniu z martwym kurduplem. Kiedy umilkłem, wyskoczyła z pytaniem, które zbiło mnie z pantałyku.

– Jesteś pewien, że dziewczyna nie żyje?

– Pochowałem ją na pustyni. Dlaczego pytasz?

– Mężczyzna, którego spotkałeś, to Johnny Lacroix. Stary i potężny upiór.

– W jaki sposób został upiorem?

– Chciał żyć wiecznie, więc rzucił na siebie klątwę.

– Naprawdę?

– Stał się dzięki niej wampirem.

Podszedłem do okna. W głębi przeźroczywej tafli dostrzegłem ukazane z lotu ptaka jezioro, nieco dalej rozległe ruiny. Wzburzona toń płonęła fioletowo-pomarańczowym blaskiem dwóch zachodzących słońc. Na końcu długiego pomostu stała postać w żółtym płaszczu z kapturem. W dłoniach trzymała wędkę. Nie widziałem jej twarzy. Gdy potrząsnąłem głową, jezioro i ruiny zostały zastąpione moim odbiciem. Przejechałem językiem po szpiczastych siekaczach i skrzywiłem się na myśl o rychłym pojedynku.

Cholerna Mary Sue.

– Potrzebujesz pomocy Lacroixa?

Cassilda wzruszyła ramionami.

– Mogłabym z niej zrezygnować. I bez problemu zastąpić go kimś innym.

– Ale?

– Jesteś dużym i martwym chłopcem. Nie chcę cię niańczyć w sytuacji, gdy wszystko, co zdołałam zbudować, może zostać wkrótce zniszczone. Ty i Lacroix

rozwiązecie trapiący was problem bez mojego udziału. Zwycięzca nadal pracuje dla mnie.

- Uczciwe.
- Wiem. – Wyjęła z kosmetyczki waciki i tonik. – Skończyliśmy?
- Potrzebne mi są nowe rewolwery. Poprzednie zabrała Jennifer.
- Załatwione.
- Mogę zostać?
- Spróbuj szczęścia w innej komnacie.

Znalazłem ją w następnej, gdzie piła kawę z białego kubka, skupiona na holograficznej symulacji powietrznej bitwy.

I w kolejnych, gdzie...

...zażywała kąpieli.

Gotowała.

Śniła.

Ćwiczyła.

Dyskutowała.

Rozkazywała.

Albo...

...zabrakło mi czasowników.

W końcu znalazłem wolne wcielenie i zmiądzylem jego usta w namiętym pocałunku.

Dziwne, ale w gęstwinie ucieleśnionych metafor, które zaludniały zamczysko Cassildy, raz za razem odkrywałem tę właściwą, dopasowaną do moich oczekiwań i pragnień. Można powiedzieć, że niezmiennie trafiałem w sedno, lądując w kolejnych wariantach tej samej historii – o kobiecie, którą przerosły konsekwencje własnej mocy, i mężczyźnie, który mimo najszczerzych chęci nie mógł jej pomóc. Dla wybrańców z innych światów Cassilda przygotowała odmienne zestawy metafor, toposów i konwencji. Egzotyczne wcielenia, zaprojektowane i wykonane z myślą o metafizykach dalekich od ludzkich standardów. W jej towarzystwie musiałem myśleć jak filozof, co nie było ani łatwe, ani przyjemne, mimo że dawno temu zjadłem kilku akademickich mądrali, których duszami podzieliłem się z moim stwórcą. Wiedziałem więc to i owo na temat garści „izmów”, potrafiłem przeprowadzać podejrzane wnioski. Ostatecznie mogłem też po prostu przytakiwać.

Więc przytakiwałem.

Wskaźniki mojego zegarka odmierzały upływ dni pozbawionych świtu i zmierzchu.

Czas spędzałem w towarzystwie Cassildy albo tropiąc Johnny'ego Lacroixa. Pogawędki i seks były udane, poszukiwania – wręcz przeciwnie. Facet zapadł się pod ziemię. Cassilda pewnie wiedziała, gdzie mógłbym go znaleźć, ale nie chciała mi pomóc. Powtarzała, że to moja sprawa, że na pewno dam sobie radę, gdyż twardy ze mnie sukinsyn, który niebawem będzie odpowiedzialny za los całego świata. Pytałem, co ma na myśli. Milczała. Pytałem, o jakim świecie mowa. Uśmiechała się. Kiedy wpadałem w złość, oplatała mnie udami i wyjaśniała, że powinienem być cierpliwy i cieszyć się chwilą. Nie naciskałem. Okazywałem zrozumienie. Wręcz dławilem się nadmiarem empatii. Potrafiła to docenić. W rezultacie nie było nam ze sobą źle. Tworzyliśmy zgrany duet: twardziel z pogmatwaną przeszłością i kobieta obciążona długami nie do uregulowania.

Jednak nic nie trwa wiecznie, prawda? Metaforyka *femme fatale*, solidnie przyprawiona mrokiem, alkoholem i wyuzdanym seksem, obiecująca w finale absurdalną dawkę przemocy z udziałem rekinów przestępczego podziemia, zaczęła mnie w końcu męczyć. Nieuchronność porażki, jaka biła z każdego słowa i gestu mojej polimorficznej kochanki, osiągnęła krytyczny poziom. Wiedziałem, że to tylko gra, udawanie, ale Cassilda robiła to tak dobrze, że miałem ochotę jej uwierzyć. Nigdy nie wychodziła z roli. Dlatego podjąłem decyzję o zapuszczeniu się w niezbadane dotąd części zamczyska. Potrzebowałem odmiany i odpoczynku. Głównie od samego siebie. W końcu cały ten unurzany w *noir* sztafaż, swoisty gabinet luster, został przygotowany specjalnie dla mnie, a ściślej dla kogoś, kim byłem, zanim zaczęła słabnąć kłątwa.

Moją włóczęgę przerwało odnalezienie czarnego steinwaya.

*

Fortepian ustawiono pod ścianą, pomiędzy stosem czaszek a stertą starych ubrań, w okrągłej komnacie opanowanej przez kurz i pajęczyny. W jednym z trzech okien, stanowiącym portal do innego świata, migotały malownicze widokówki z krainy ogarniętej wojną. Miecze i wielobarwne zaklęcia siały zniszczenie w bitewnym zgiełku. Siwowłosi tytani torowali sobie drogę na szczyt spiralnej wieży. Po krętych schodach spływała krew. Bezgłowe ciała roztrzaskiwały się o skały. Na chwilę obraz stracił na ostrości. Gdy wrócił do normy, ujrzałem ostatni poziom tej samej wieży. Był tam tron, na którym siedział jakiś szkielet w resztkach zbroi. Na kolanach trzymał miecz.

Skupiłem uwagę na fortepianie. Wyglądał jak bestia drzemiąca w legowisku po sutym posiłku. Od razu pomyślałem o Jerry'ym i jego diabelskiej muzyce. Chłopak

miał talent i zręczne palce. Mógł zająć wysoko, jednak los rzucił go do Armadillo.

Działo się to w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Jerry zjawił się u nas przypadkiem, zabłądziwszy po drodze do San Francisco. Zmierzchało, gdy zaparkował półciężarówkę przed kościołem. Przez pewien czas siedział nieruchomo, studiując w blasku latarki wymiętą mapę. Potem pochylił się nad siedzeniem pasażera, wyjął ze schowka paczkę papierosów i wysiadł, aby zapalić.

Obserwowałem go zza membrany. Nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności ani z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło. Sprawiał wrażenie beztroskiego. Wkrótce zrozumiałem dlaczego. Zdeptał niedopałek obcasem i chwiejnym krokiem wrócił do samochodu. Oblizwał zęby. Byłem głodny, a Czarna Księża domagała się ofiar. Aromat duszy wyrwanej z trzewi nie miał sobie równych.

Jerry wgramolił się na pakę i zrzucił plandekę. Potrząsnął głową, wierzchem dłoni starł ślinę z ust. Ignorując kipiącą żądzę, zwoleńcem odciągnięty do połowy kurek i wsunąłem rewolwer do olstra. Czarna Księża zaprotestowała.

– *Mamy czas* – odparłem w myślach. – *Postuchajmy*.

Niechętnie przyznała mi rację.

Jerry zagrał efektowne arpeggio i kilka próbnych akordów. Następnie wyciągnął spod fortepianu butelkę whiskey.

– Trafiłem do piekła? – zapytał pijackim głosem.

Zgromadzone wokół pikapa upiory milczały. Czarna Księża szczyrzyła poźółtkę kartki. Całe cholerne miasteczko wstrzymywało oddech w oczekiwaniu na finał chwili tykającej jak bomba zegarowa.

– Zagraj coś innego – powiedziałem. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby pojąć, iż nie żartuję. Jedno spojrzenie na moją twarz, pozbawioną nosa, ust, a także oczu, których funkcję przejęły rzadko gasnące płomienie. Zagrał, jakbym był samym diabłem, a on potępieńcem walczącym o apartament z najlepszym widokiem na Jezioro Ognia.

Oczywiście wówczas nie wiedziałem, kim jest ani jak ma na imię. Nie miałem pojęcia, że jego życie legło w gruzach, zniszczone skandalem obyczajowym – że z dnia na dzień stracił sympatię opinii publicznej i przestał uchodzić za następcę Króla, że branża muzyczna odwróciła się do niego plecami, a złotouści kaznodzieje zaczęli wymieniać jego imię i nazwisko podczas płomiennych kazań poświęconych szatańskiej muzyce. W tamtej chwili pragnąłem tylko jednego – żeby nie odrywał dłoni od klawiszy i grał, grał, grał, pijany własnym nieszczęściem, śląc w eter kaskady szalonych dźwięków.

Cholerny Jerry.

Darowałem mu życie. W zamian za fortepian i darmowe lekcje. Nauczył mnie tego i owego. Rzecz jasna nie byłem nawet w połowie tak dobry jak on, ale potrafiłem zagrać niektóre rock'n'rollowe szlagiery. Chociażby „Great Balls of Fire”. Albo „Whole Lotta Shakin' Goin' On”. Albo „Breathless”. Z moimi umiejętnościami i marnym talentem nie zrobiłbym kariery, ale na barowego grajka nadawałem się idealnie.

Pod wpływem wspomnień o Jerry'ym poddałem się niepohamowanej chęci wskrzeszenia przeszłości karkołomnym arpeggio. Usiadłem przy fortepianie i zagrałem na próbę. Z żenującym skutkiem.

– Musisz poćwiczyć – powiedziała Cassilda, wchodząc do komnaty.

– Jasne – zgodziłem się, nie odrywając wzroku od klawiszy. – Skąd masz ten fortepian?

– To prezent – odparła, a po chwili dodała: – Chyba. Nie pamiętam. Choć powinnam, prawda?

Odwróciłem się i wziąłem ją w ramiona.

Tym razem była drobną brunetką w szykownej spódnicy i białej bluzce z dyskretnym wzorem. Wyswobodziła stopy z butów na wysokim obcasie i pocałowała mnie w usta.

Potem zapytała:

– Dlaczego uciekłeś?

– Chciałem odpocząć.

– Od nas?

– Od samego siebie.

Nagle Cassilda zeszywniała. Powiodła wzrokiem po stosach kości, ale to nie na nich skupiła swoją uwagę. Poczulem, że wydarzyło się coś złego, i to tam, gdzie Cassilda była sobą – inspiracją dla metafory zbuntowanego świata na krawędzi upadku. Chwyciła mnie za dłoń i zapytała:

– Słyszałeś?

– Co?

– Nic. Muszę już iść. – Sięgnęła po buty na obcasie. – Przepraszam.

– Nigdy nie wychodzisz z roli, prawda?

To ją zatrzymało. Na chwilę.

– Masz papierosa?

Podąłem jej paczkę.

Wystukała jednego i wsunęła go w mój lewy oczodół, czerwonymi ustami objęła końcówkę z filtrem. Zaciągnęła się – bardzo powoli i zmysłowo. Jakby czerpała

rozkosz z trwającego wdechu. Wyraz jej twarzy był nieodgadniony.

– Zmień się – poleciła.

Przybrałem postać czarnoskórego pastora. Potem ją pocałowałem. Smakowała gnijącymi różami, wanilią i dymem. Przymknęła powieki, poddając się pieścizocie. Po wszystkim wyjęła z torebki szminkę i lusterko. Jej oczy lśniły jak monety na pokerowym stoliku. Poprawiła makijaż, uczesanie, wygładziła spódnicę i bluzkę. I powiedziała:

– Kiedy się całujemy, robisz to tak, jakby smak moich ust był dla ciebie najważniejszy. Jakby w żadnym z możliwych światów nie liczyło się nic innego.

Zanim zdołałem wydukać sensowną odpowiedź, zniknęła.

Oczywiście ten pocałunek, jak również cała konwencja, w jakiej do niego doszło – nic z tego nie było prawdziwe, a mimo to czułem się podejrzenie uskrzydłony, jakbym zaczynał się zakochiwać. Ostatni raz doświadczałem czegoś podobnego u schyłku dziewiętnastego wieku, spotykając się z córką sąsiadów. Miała na imię Beth, a jej twarz, dzięki wysokim kościom policzkowym, przypominała zabawkowe serce. Beth lubiła moje pocałunki, nie chciała jednak pozwolić mi na więcej. Jej rodzice byli gorliwymi chrześcijanami, ona zaś, jako dziewczyna z dobrego domu deklarująca miłość do Boga i Jezusa, powtarzała, że mam dwa wyjścia: albo przestanę naciskać i poczekamy ze świntuszeniem do ślubu, albo bzyknę ją wcześniej pod warunkiem wszakże, iż najpierw stanę się sławny jak Jessie James.

Byłem młody, głupi i napalony. Między innymi dlatego zdecydowałem się na udział w napadzie na bank w Armadillo.

Kochana Beth. Przebywała u rodziny w San Francisco, kiedy John Temple złożył jej miasteczko w ofierze Cassildzie. Po powrocie zastała opustoszałe ruiny. Jako świeżo upieczony upiór zapragnąłem ją zabić i zjeść – niekoniecznie w tej kolejności. Tylko dlatego że klątwa dopiero rosła w siłę, zdołałem nad sobą zapanować, a Beth uszła z życiem.

Cóż, jak by na to nie spojrzeć, Cassilda była mi dłużna co najmniej jedną niedoszłą kochankę.

Popatrzyłem na widoczny w głębi okna krwawy marsz na szczyt spiralnej wieży. Potem zanuciłem „Breathless”. Nie chciałem, by szkolenie Jerry’ego poszło na marne. Musiałem poćwiczyć. Tu i teraz. Wśród czaszek, pajęczyn i kurzu. Dopóki istniała metaforyczna fantasmagoria.

– *Nie myśl. Graj.*

Mój zegarek tykał jak szalony. Mijały godziny.

W końcu mi się udało: zagrałem „Great Balls of Fire” z taką wprawą, że nawet Jerry byłby zadowolony. Uśmiechnąłem się i sięgnąłem do kieszeni płaszcza. Namacałem butelkę. Rozpierała mnie duma. Zasłużyłem na laur. I drinka. Potrzebowałem jedynie szklanki i kostek lodu.

Uznanie nadeszło z najmniej oczekiwanej strony. Bezszelestnie.

– Brawo – powiedział Lacroix i wbił nóż w podstawę mojej czaszki. Zaklęcie zadziało natychmiast. Kark eksplodował bólem. Ogień w oczodołach przygasł. Wyrznąłem głową w fortepian i zapadłem w lepką ciemność. Tym razem nie słyszałem śpiewu ani muzyki. Byłem tam tylko ja, w drodze donikąd poprzez nic. Podróż nie trwała długo.

Ocknąłem się na krześle. Ostrze wciąż tkwiło w moim karku. Nie mogłem się ruszyć. Johnny przykucnął na fortepianie. Przeczesał dłonią jasne włosy, nałożył z powrotem biały kapelusz.

– Ty i ja – powiedział. – Chodzący nonsens.

– Zgadzam się – odparłem.

– Nigdy nie spotkałem upiora, który łączyłby w sobie cechy tylu różnych literackich potworów. Jesteś ghulem, zmiennokształtnym i łowcą dusz w jednym. Wyglądasz jak Szkieletor, tyle że nie jesteś niebieski. Znasz trochę zaklęć, ale nie rozumiesz magii. A przede wszystkim nie masz pojęcia o sekretnej naturze naszego świata.

– Czym, do diabła, jest szkieletor?

– Szkieletor to imię, głąbie.

– Nie wiedziałem.

– Nie wiesz wielu rzeczy.

– Na przykład?

– Dlaczego interesuję się Mary Sue.

– Racja. Dlaczego?

– Pokażę ci.

Wyjął drugi nóż. Poczulem powiew napastliwego zaklęcia. Tkwiło w ostrzu niczym pies w klatce – wygłodniałe i wściekłe. Językami niebieskiego blasku musnęło moją twarz i obnażyło kły. Johnny przekrzywił głowę, spoglądając na mnie spod zmrużonych powiek, po czym wbił główkę w mój prawy oczodół. Weszła gładko – aż po rękojęść. Zaklęcie zerwało się z łańcucha i pognało w poszukiwaniu ukrytego wspomnienia. Spróbowałem je dogonić. Daremnie – szybkie jak wichur przepadło w głębinach mojej pamięci. Wkrótce usłyszałem jęk zranionej zwierzyny.

Dziwne, ale odniosłem wrażenie, że zaciskam palce na kierownicy...

...samochód podskakiwał na nierównej drodze. Mknęliśmy ku zachodzącemu słońcu, które wyglądało jak gigantyczna złota jednodolarówka. Mary Sue popatrzyła na mnie i powiedziała spokojnym tonem:

– Zatrzymaj się.

Wjechałem pomiędzy głazy i zgasilem silnik. Dziewczyna wysiadła, podciągnęła sukienkę i powiedziała, że ma na mnie ochotę. Tymczasem Burt wyciągnął z bagażnika łopatę i zaczął kopać. Ogień w moich oczodołach przybierał kolory zmiernych. Żółć, czerwień, fiolet. W końcu zapadły ciemności. Kiedy skończyliśmy się pieprzyć, mała wiedźma przemyła krocze wodą mineralną i nałożyła majtki. Potem otworzyła bagażnik: obok torby z pieniędzmi leżało ciało kobiety. Wrzuciłem je do grobu i przysypałem ziemią. Burt położył się w sąsiednim dole, z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu.

– Poczekaj – poleciła Mary Sue i przykucnęła nad zwłokami.

Nie wiem, co dokładnie zrobiła, ale usłyszałem chrupot łamanych kości i zgrzyt, jaki wydaje ciężki mebel przesuwany po drewnianej podłodze.

– Gotowe – oznajmiła, otrzepując ręce z piasku.

Cholerne szczeniaki.

Kilka dni temu obrabowali bank, zabijając podczas ucieczki trzy osoby – strażnika, policjanta i bohaterskiego klienta, którym okazała się kobieta z bagażnika. Nie pamiętam, w jakiej kolejności. Tak czy inaczej, sto tysięcy dolarów czekało w bagażniku fordka. Potem spotkali na swej drodze gadatliwego autostopowicza-hippisa. Potrafiłem zmienić wygląd, głos i mowę, ale swojej natury, wyrosłej na gruncie bluźnierczej egzystencji, nie mogłem oszukać. Zamierzałem złożyć ich w ofierze. Jednak Mary Sue przejrzała mój plan. Rzuciła efekciarskie zaklęcie, bym pojął, że nie ma z nią żartów, i zaproponowała inne rozwiązanie. Oboje mieliśmy na nim skorzystać.

Na początku byłem zaskoczony, to chyba oczywiste, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że dziewczyna ma rację, a nade wszystko moc, dzięki której zdołam odnaleźć kryjówkę Nancy.

Zanim zacząłem zasypywać grób, zapytałem Burta:

– Ostateczne życzenie?

– Zapaliłbym.

Wbiłem łopatę w ziemię.

– Jasne – odparłem i wsunąłem mu do ust papierosa. Zaciągnął się i wypuścił dym kącikiem ust.

– Zadowolony?

– Tak.

Poczekalem, aż skończy palić.

Gdy wypluł niedopatek, powiedział:

– Zabij mnie, proszę.

Pokręciłem głową.

– Nic z tego, synu. Potrzebuję cię żywego. – Po chwili dodałem: – Nie traktuj tego osobiście.

Burt nie odpowiedział, zacisnął zęby i patrzył w milczeniu, jak kończę zasypywać grób. Odgarnąłem ziemię z jego twarzy, żeby się nie udusił, i splunąłem mu na czoło. Następnie stanąłem nad grobem z ofiarą napadu bank i splunąłem po raz drugi, kreśląc w powietrzu skomplikowany znak. Mary Sue wypowiedziała inkantację, a ja usiadłem na masce forda, aby zagrać na harmonijce melodię starszą niż ludzkość.

Nie czekałem długo na pożądany skutek.

Stwór przypominał czarną panterę. Obwąchał wrzeszczącego Burtę, po czym wygrzebał ciało kobiety. Odgłosy mlaskania i gniewnie pomruki wypełniły jasną noc. Burt zemdlął. Wystukałem z paczki papierosa i zanurzyłem go w prawym oczodole. Oczekałem, aż zaskwierczała końcówka.

– Mam tylko to – powiedziałem, kiedy koci demon zaspokoił głód. – Jej zapach, imię i nazwę miasta.

Stwór chwycił zębami wizytówkę Nancy. Machnął łbem i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Cisnąłem niedopatek na ziemię.

Burt zamrugał powiekami.

– Boję się – powiedział.

– Ja również, chłopcze – odpartem.

I wyjąłem z olstra kościany rewolwer.

Podobne do wielkiego wilka zakłęcie przeżuwało resztki mojego wspomnienia. Nagle znieruchomiało, zastrzygło uszami. Oblizawszy pysk, podbiegło z opuszczonym łbem do niewielkiej książki, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się wśród innych moich wspomnień. Zakłęcie warknęło na książkę. Podeszło bliżej, nadal podejrzliwe. Szturchnęło okładkę nosem, potem uniosło ją łapą.

Mądry zwierzak.

Nowe wspomnienie zassało mnie do swego wnętrza.

– Co teraz? – zapytałem, gdy wybrzmiał huk wystrzału.

– Zapomnisz o naszym spotkaniu – powiedziała Mary Sue. – Będziesz przekonany, że mnie zabiłeś, ale nie usunę twoich wspomnień. Jedyne je ukryję.

– Wyznam, że tej części twojego planu nie pojmuję.

– To proste. Pamiętasz, wspomniałam o Johnnym Lacroix.

– Tak.

– *Pracuje dla mojej rodziny. Dobrze mu płacą i jest bardzo uparty. Ma obsesję na punkcie swojego zlecenia. Nie przestanie mnie szukać. I prędzej czy później wpadnie na mój trop, a potem dotrze do ciebie. Dlatego chcę przygotować cię na to spotkanie. Zostawię dla Lacroixa mały prezent.*

– Gdzie?

– *W twojej pamięci. Domyśli się, że ją zmodyfikowałam. Jednak nie wpadnie na to, że ostatnio nauczyłam się kilku nowych, bardzo użytecznych rzeczy.*

– Jakich?

– *Chociażby robienia bomb.*

Sprytna dziewczyna. Wykorzystała mnie, tak jak wcześniej Burta, swojego chłopaka, z którym uciekła z bagien Luizjany od psychopatycznego ojca i zdegenerowanej rodзинki. Kiedy teraz o tym myślę, wątpię, żeby aż tak bardzo się od nich różniła. Nie miała skrupułów, do celu dążyła po trupach. Powinienem ją zrozumieć, przecież wówczas byłem taki sam, jeśli nie gorszy. Prawdę mówiąc, rzeczywiście ją rozumiałem – postępowała w zgodzie z własną naturą, stosownie do jej wymogów i możliwości, jakie przed nią otwierała. Robiłem dokładnie to samo. Każde z nas starało się być dobre w tym, do czego byliśmy predysponowani.

Mała diablica umieściła w mojej pamięci pułapkę.

Wybuchowy hokus-pokus.

Eksplozja przybrała formę wylatujących z książki ptaków. Zaskoczyła Lacroixa. Nie zdążył zareagować. Wypuścił z dłoni rękojeść noża sterczącego z mojego prawego oczodołu i upadł na kolana. Nie wiem, co działo się w jego głowie, ale wyglądało na to, że facet bardzo cierpi: wybałuszył nabiegłe krwią oczy, dłonie przycisnął do skroni, jego jasna skóra przybrała trupi kolor, zaczęła pękać, odpadać płatami. Miotał się po podłodze jak opętany. Niestety nie zmieniło to w żaden sposób mojej sytuacji. Nadal nie mogłem się poruszyć. Założyłem jednak, że spętanie przestanie działać, gdy Lacroix umrze.

Nie umarł.

Rzucił zaklęcie, którym zafundował nam obu wycieczkę do innego świata. Podejrzewam, że nie zrobił tego specjalnie, lecz z desperacji, w końcu walczył o swoje życie. Wykorzystał to, co miał pod ręką, nie myśląc o skutkach ubocznych. W rezultacie zostaliśmy wessani przez świetlistą pępowinę wychodzącą z okna, w którym jakiś czas temu widziałem fragmenty bitwy toczonej na spiralnych schodach. Przelot był intensywny i krótki. Wszystko dokoła rozciągnęło się w migotliwe smugi i zniknęło. Zanim zdążyłem wrzasnąć, uderzyłem plecami o kamienne podłóże.

Moje kości złowieszczo chrupnęły. Ból okazał się paskudny, ale do zniesienia – przynajmniej dla upiora.

Wyciągnąłem nóż z oczodołu, następnie ten z karku. Żaden już nie działał. Teraz musiałem chwilę odpocząć. Wsunąłem dłoń do kieszeni płaszcza. Harmonijka tkwiła na swoim miejscu, naładowana duszami, które dostałem w prezencie od Cassildy. Zagrałem kilka taktów, uwalniając jedną z nich, i natychmiast ją pochłonałem. Moje ciało zaczęło wracać do zwykłego kształtu.

Kiedy tak leżałem, znosząc bolesne przekształcenia kości oraz mięśni i towarzyszące im chłupotanie organów wewnętrznych, wystawiony na szaleństwa porywistego wiatru, którego siła sugerowała, że znajduję się na dużej wysokości albo w centrum wichury, przypomniałem sobie o Lacroixie. Podniosłem się chwiejnie, z rewolwerem w dłoni, ale silny podmuch powalił mnie na kolana. Rozejrzałem się; Lacroix stał w odległości mniej więcej trzydziestu metrów. Wycelowałem i strzeliłem.

Oczywiście spudłowałem. Lacroix okręcił się na pięcie i oddał szybko trzy strzały. Wskazującym palcem prawej dłoni przytrzymał spust, natomiast lewą trącał kurek. Nie dorównywałem mu szybkością, więc po prostu zrobiłem to, w czym byłem niezły: wymierzyłem starannie, bez pośpiechu, biorąc poprawkę na warunki pogodowe i czekając, aż on opróżni bębenek. Jedną komorę, jak się okazało, nosił nienaładowaną, co samo w sobie – zważywszy na rodzaj broni, jaką się posługiwał – było dość rozsądne. Też tak robiłem, ale przed stu laty, kiedy korzystałem z rewolwerów Colta wyprodukowanych w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku. Bestyjki cechowały się czułością na wstrząsy, więc podczas ładowania pomijałem drugą w kolejności komorę, aby uniknąć później przypadkowego wystrzału: powszechna praktyka wśród osób używających coltów na scalone naboje.

Gdy Lacroix zajął się przeładowywaniem colta, mój nowy rewolwer wypluł z długiej lufy wzmocnioną zakłębioną kulę, która słabszego upiora, takiego jak moi słudzy z Armadillo, zmieniłaby w kupkę zielonego szlamu. Lacroixa jedynie odrzuciła w tył. Drań stracił równowagę, zamachał rękami i runął w przepaść. Wtedy, jak na komendę, wiatr zamarł, a zza chmur wyjrzało słońce. Podeszedłem do krawędzi kamiennej posadzki i zobaczyłem, że lecący na spotkanie ze skałami Lacroix stanął w ogniu.

Zakręciłem młynka rewolwerem i wsunąłem go do olstra.

Stałem na ostatnim poziomie spiralnej wieży. Widziałem stamtąd potężne masywy górskie, rozległe kotliny i pogórza, rzeki i jeziora, a także miasta położone na rozstajach dróg ginących w przeogromnych lasach. Wszystko tonęło w odcieniach brązu, zieleni i złota.

Zza moich pleców dobiegł głośny zgrzyt. Coś nieprzyjemnie szcęknęło. Przeturlałem się w prawo i strzeliłem na oślep.

Dopiero wtedy zobaczyłem podwyższenie z okazałym tronem, z którego wstawał upiór. Gębę miał podobną do mojej, różnił się przede wszystkim strojem, no i uzbrojeniem. Nie miałem wątpliwości, że sprawdziłby się w obsadzie niskobudżetowej produkcji fantasy. Potężnym mieczem uderzył o okrągłą tarczę i zaryczał jak niedźwiedź – co pewnie nie byłoby możliwe, gdyby nie lokalny odpowiednik magii, który wtajemniczonym pozwalał zignorować takie drobnostki jak brak masy mięśniowej, płuc, a przede wszystkim mózgu.

Zerwał się wiatr. Burzowe chmury przesłoniły słońce. Martwy wojownik zatrzymał się u podstawy podwyższenia. Wbił wzrok w ciemniejące niebo, po czym nieprzyjemnie wyszczerzony ruszył w moją stronę, zasłaniając się tarczą. Ogromny szkielet w resztkach czarnej zbroi – niewątpliwie sprawiał wrażenie groźnego. Nie dałem mu żadnych szans. Dwa celne strzały zmieniły go w kupkę dymiącego szlamu. Schowałem colta i podniosłem miecz upiора. Dobrze leżał w dłoni. Zamarkowałem niezdarne pchnięcie. Długa i wąska klinga rozbłysła żółtym światłem. Poczulem przyływ mocy przypominającej magię. Regeneracja mojego ciała przyspieszyła niczym sportowy samochód – zupełnie jakbym spałaszował przyzwoity posiłek z tuzina dusz.

Wbiegłem po schodach.

Po obu stronach tronu leżały szkielety w postrzępionych spódniczkach. Kiedy usiadłem, zagrzechotały poźółkłymi kośćmi i zniknęły w chmurze fioletowego światła. Nim zdążyłem sięgnąć po rewolwer, pojawiły się ponownie, obleczone w apetyczne ciała. Aż gwizdnałem z uznania. Dziewczyny były zaokrąglone na modłę lat siedemdziesiątych i spoczywały u mych stóp niczym wielkie, rozleniwione koty.

– Kici-kici – powiedziałem

Następnie pogłaskałem obie po karku.

Postanowiłem poczekać na rozwój wydarzeń i sprawdzić, w jaką mitologię wdepnąłem.

*

Powrót był równie gwałtowny, jak podróż w tamtą stronę. Wylądowałem z hukiem na zimnej posadzce w nieznanym mi sali wypełnionej rzędami kolumn ginących w mroku pod niewidocznym sklepieniem. Zagrałem na harmonijce, aby się zregenerować, i stwierdziłem, że muszę popracować nad lądowaniem. Pozbierałem

swoje rzeczy, wśród nich worek wypełniony kosztownymi pamiątkami, i ruszyłem do wyjścia.

W krętych korytarzach panowała cisza przerywana odgłosem moich kroków. Szedłem nieśpiesznie, nie napotykając awatarów Cassildy ani wybrańców. Zauważyłem, że niemal wszystkie portale w oknach są zupełnie czarne. Mogło to oznaczać tylko jedno – wybrańcy zaczęli wracać do swoich światów.

Dobytek trzymałem w sypialni, w kufrze ustawionym przed obszernym łóżem. Na nocnym stoliku, obok zakurzonej butelki whiskey, leżała koperta z moim imieniem. W środku były liścik i mapka.

Znalazłem Cassildę w pomieszczeniu, które mogło uchodzić za bibliotekę. Patrzyła w ciemne okno. Wzdłuż ścian stały regały wypełnione książkami. Środek zajmowało biurko zavalone zrolowanymi papierami. Po lewej stronie ustawiono metalowy stojak z tablicą korkową, do której przypięte zostały różnych rozmiarów mapy. Po prawej zobaczyłem dwuosobowe łóżko, dwa krzesła, a nieco dalej drewniane skrzynie wypełnione po brzegi skarbami – była tam biżuteria, przede wszystkim pierścienie, sygnety, wisioriki, poza tym broń, głównie biała, a także rzeczy, których nie potrafiłem sklasyfikować. Zapukałem w futrynę. Cassilda zerknęła przez ramię, uśmiechnęła się ustami Nancy i powiedziała:

- Wróciłbyś szybciej, gdybym nauczyła cię stosownego zaklęcia.
- Grunt, że przybyłem na czas.
- Pozbyłeś się Lacroixa?
- Zaszkoziło mu słońeczko.
- Pocałuj mnie – powiedziała, podchodząc bliżej, a ja przywarłem do jej ust.
- Co teraz? – zapytałem po chwili.
- Nie wyszedłeś ze wprawy – zauważyła.
- Ćwiczyłem.

Zmarszczyła brwi w udawanym gniewie.

- Ładniejsze ode mnie?
- Od ciebie czy od twoich awatarów? Bo jeśli to pierwsze, to nie wiem. Bo niby skąd? Nigdy cię nie widziałem, Cassildo.
- A chciałbyś?
- Podejrzewam, że to niebezpieczne, prawda?
- Tak.
- Mimo to spróbuję.
- Na pewno?
- Nie zwlekaj – powiedziałem. – Chcę ujrzeć twoje prawdziwe oblicze.

– Dobrze – odparła.

I pstryknęła palcami.

Prawdę mówiąc, nie pamiętam, co wtedy zobaczyłem. Cokolwiek to było, znokautowało mój intelekt i pozostawiło go w rynsztoku. Kiedy doszedłem do siebie, Cassilda podała mi szklankę z grubego szkła i napełniła ją złocistą whiskey, a ja, rozpierany błogim podziwem, pomyślałem, że w ślepej plamce moich wspomnień został ukryty obraz niepojmowalnego cudu.

– Więc? – zapytała z przekąsem. – Były ładniejsze ode mnie?

Przeplukałem gardło, uniosłem wzrok.

– Jesteś... – zacząłem i umilkłem.

– Wiem. – Pogłaskała mnie po głowie.

Kochaliśmy się bardzo powoli i delikatnie. Bez korowodu awatarów. Ograniczyła się tylko do jednego – mojej Beth. Po wszystkim wręczyła mi wisiorek z zielonym kamieniem i powiedziała, że znalazła sposób na przechytrzenie facetów z przedwiecznej ferajny. Dodała, że powinienem jak najszybciej wrócić na Ziemię. Odparłem, że rozumiem, chociaż pytania w mojej głowie mnożyły się w zawrotnym tempie. Niestety, żadna z uzyskanych odpowiedzi nie pozostawiała miejsca na nadzieję, że moja gospodyni przeżyje konfrontację z żądnymi zemsty bóstwami. Zależało jej tylko na jednym – żeby uratować tyle światów, ile to możliwe. Nie powiedziała dlaczego, a ja nie drążyłem.

Zawiesiłem wisiorek na szyi, niedbałym gestem wsunąłem do ust papierosa, drugiego podałem Cassildzie. Przypaliłem oba.

– Klątwa – powiedziała. – Przestałeś o nią pytać.

– Jakoś nie miałem okazji. Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Zaciągnęła się i wypuściła dym nosem.

– Zakłęcie, które rzucił na ciebie John Temple, słabnie. Za jakiś czas przestanie w ogóle działać. Zastanawiałeś się, co się wtedy stanie?

– Obróć się w pył?

– Mniej więcej.

– Tak podejrzewałem. Mogę temu zapobiec?

– Nie.

– Ty możesz?

– Tak. Właściwie już to zrobiłam, wręczając ci wisiorek. Tak długo, jak będziesz miał go przy sobie, klątwa nie będzie słabła. Zachowasz swoje moce i zdolności. Jeśli jednak kiedykolwiek rozstaniesz się z nim na dłużej niż kwadrans, cóż, wtedy słabnące zakłęcie nadrobi stracony czas...

- ...i zostanie po mnie kupka popiołu.
- Właśnie – rzekła, wstając. – Bylebyś zdążył wrócić na Ziemię.

Zaczęła się ubierać. Najpierw założyła koronkowe majtki, potem szarawe rajstopy, biały stanik, czerwoną bluzkę z kuszącym dekoltem, na końcu ciemną spódnicę z zapięciem z boku.

- Co zrobisz po powrocie? – zapytała, gdy usiadłem na łóżku z drinkiem w dłoni.

Potrząsałem szklanką i opróżniłem ją jednym haustem, obserwując, jak Cassilda układa włosy. Pomyślałem o Beth, która czesała je w podobny sposób, skupiona na swoim odbiciu do tego stopnia, że świat przestawał dla niej istnieć, i stwierdziłem, że nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie jej wylewna cnotliwość.

– Kiedy wybrałem się na włóczęgę po twoim zamczysku, rozmyślałem sporo o tym, co łączy mnie z Czarną Księgą. O wspólnie popełnionych zbrodniach, odprawionych rytuałach i przyzwanym istotach. O całej tej śmiertelnie poważnej zabawie w magiapiora i chowańca, która służyła tylko temu, żeby pieprzony John Temple miał paliwo do swoich zaklęć. Moim zdaniem Czarna Księga nie zasłużyła na los, jaki prawdopodobnie zgotowały jej Nancy i Jennifer. Podczas stu siedemnastu lat spędzonych w Armadillo nic nie sprawiło jej większego cierpienia niż fakt, że jest czymś chowańcem. Dlatego ze względu na dawne czasy, pomimo tego że groziła mi śmiercią, spróbuję ją odnaleźć i uwolnić z rąk wiedźm. Przy okazji wyrównam z nimi rachunki. A ty? Kiedy już wszyscy wybrańcy wrócą do swoich światów, zostaniesz tutaj czy...

Wsunęła stopy w buty na wysokim obcasie, wyjęła z moich ust papierosa i zaciągnęła się nim tak mocno, że aż zaskwierczała rozjarzona końcówka. Potem popatrzyła na mnie z góry przez zawieszinę szarego dymu.

- Zacznę uciekać, mój drogi. Zresztą nieważne. Może zagramy?

– Zamiast strzemienego?

– Właśnie.

– Okej. Tylko co?

– „Great Balls of Fire”. Albo „Whole Lotta Shakin’ Goin’ On”. Albo „Breathless”.

Co tylko zechcesz.

– I co potrafię zagrać. Jasne.

Cassilda pstryknęła palcami. Po chwili w komnacie pojawił się czarny steinway.

W zamczysku gasły kolejne portale, na zewnątrz światy zrywały się z pępowin, tęczowe kolory sfery ustępowały odcieniom szarości. Tymczasem ja grałem, a Cassilda śpiewała – w jej niebieskich oczach migotały galaktyki, w mimicznych zmarszczkach rozkwitały i upadały cywilizacje. Była jedyna w swoim rodzaju, lecz jej

czas dobiegł końca. Mój również. Powiedziała, żebym się zbierał. Odparłem, że zdążę, i grałem dalej, myśląc o tym, co zrobię, kiedy zjawię się w Armadillo. Na pewno wyjdę na główną i jedyną ulicę, obrzucę chłodnym spojrzeniem budynki zmienione w swoje własne karykatury. Będą wyglądały jak pomazane czarną farbą modele, które wykonano z białego papieru pokrytego misterną siateczką drobnych pęknięć. Następnie sprawdzę, czy wiedźmy przeżyły strzelaninę z ponurymi facetami w ciemnych garniturach. I kiedy już będę wiedział, co jest grane, spróbuję odnaleźć Czarną Księżę.

CZARNA KSIĘGA

Armadillo, 2014

– Co jest w bagażniku?

Nicolas potrząsnął głową, podrapał się po wydatnym brzuchu, który wystawał spod obcisłego podkoszulka z podobizną Spocka, i przestąpił z nogi na nogę.

– Mój brat – odparł.

– Twój brat? – powtórzyłem. – Nie lubisz gnojka, co?

Spod pokrytej plamami rdzy kłapy dobiegły odgłosy szamotaniny.

– Nie ogłuszyłeś go? – zapytałem.

Chłopak spuścił wzrok i popatrzył na swoje trampki. Materiał, z którego zostały uszyte, był podarty, a boki gumowych podeszew popękane.

– Dostał w potylicę – wymamrotał. – Kijem bejsbolowym.

– Najwyraźniej nie dość mocno – stwierdziłem. – Nic nie szkodzi. Lubię, gdy stawiają opór.

Staliśmy na głównej ulicy Armadillo, wśród ruin skąpanych w trupim blasku księżyca. Za moimi plecami migotało pionowe rozcięcie w fakturze rzeczywistości prowadzące do *ghost town*. Z ciemnego wnętrza portalu obserwowała nas Czarna Księga. Słyszałem, jak skrzypi okładką oprawioną w skórę niemowlaków.

– Wiesz, że jeśli dobijesz z nami targu, nie będzie już odwrotu?

– Tak.

– I nadal chcesz ofiarować nam swojego brata?

– Peter nie jest moim rodzonym bratem. To syn drugiej żony mojego ojca.

– A ty nienawidzisz macochy?

Nie odpowiedział.

– Okej. Pokaż mi ten magazyn.

Chłopak odetchnął głośno i podniósł z ziemi plecak. Następnie wygrzebał zwinięty w rulon egzemplarz „Playboya”, otworzył go na rozkładówce i rzekł:

– To ona.

Kobieta rozciągnięta na łóżku, bokiem do obiektywu, odsłaniała trójkąt włosów łonowych, krzywiznę brzucha oraz piersi. Moją uwagę przykuła przede wszystkim

intensywna czerwień jej rozchyłonych ust i spojrzenie niebieskich oczu drwiące z potencjalnych interpretacji. Bogini przyłapana na rozkosznym lenistwie. Wyglądała zachwycająco. Obejrzałem pozostałe zdjęcia, zastanawiając się, i to całkiem poważnie, nad założeniem poświęconego jej kultu. Potem zerknąłem na Nicolasa i natychmiast tego pożałowałem. Gówniarz dłubał w nosie.

– Jeszcze to – oznajmił, strzepując z palca zaschniętą wydzielinę. Podał mi drugi magazyn.

Przyjrzałem się okładce. Przedstawiała długowłosego siłacza siedzącego na tronie w otoczeniu półnagich kobiet w poddańczych pozach. Klęczały lub leżały, eksponując obfite wdzięki podkreślane skąpym odzieniem i zmysłową biżuterią. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Przerzuciłem kilka kartek. Obejrzałem rysunki. Parę razy cmoknąłem, raz czy dwa chrząknąłem. Oczywiście z zachwytu. Podobały mi się roznegliżowane piękności i dybiące na ich życie bestie: szablozębne tygrysy, ziejące ogniem jaszczury i monstualnych rozmiarów goryle. Mężczyźni eksponowali muskularne torsy i wymachiwali ogromnymi mieczami. W tle przewijały się starożytne miasta, złowieszcze dżungle i mroczne wnętrza podziemnych labiryntów.

– Co to jest? – spytałem.

Nicolas uniósł wzrok, rozdziawił głupawo usta, jakby nie mógł uwierzyć w moją niewiedzę. W końcu zapytał:

– Co masz na myśli?

– Te rysunki. Kobiety, mężczyźni, bestie. O co tutaj chodzi?

– Nigdy nie słyszałeś o Conanie, Kainie, Elaku lub Thongorze?

– Jasne, że słyszałem o Conanie. Każdy Amerykanin słyszał o Conanie. Śmiesz w to wątpić, Nicolasiu?

– Nie...

– Słusznie. Jednak o pozostałych nie słyszałem. Co to za jedni?

– Cholera! Serio? Nie czytałeś opowiadań Wagnera, Kuttnera i Cartera?

– Wyobraź sobie, że nie, chłopcze. Miałem napięty terminarz.

– Co robiłeś?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

Chłopak przełknął głośno ślinę.

– Ja nie...

– Spokojnie, mały – przerwałem mu i przejechałem językiem po spiłowanych na ostro zębach. – Jesteśmy skłonni dobić targu.

Miałem nadzieję, że mój uśmiech wygląda jak wrota do piekła.

– Naprawdę?

– Przyjedź jutro o tej samej porze. I weź ze sobą kilkanaście numerów „Playboya” oraz książki autorów, których wymieniłeś. Zrobisz to, a będziemy kwita. Na razie wystarczy nam twój braciszek.

Otworzyłem bagażnik i nachyliłem się nad skrępowanym młodzieńcem. Próbowałem coś powiedzieć, ale knebel stłumił jego głos. Przerzuciłem Petera przez lewe ramię i zniknąłem w portalu, który zamknął się ze świstem, jaki towarzyszy powietrzu uchodzącemu z balonu. Czarna Księga zatrzepotała okładkami i pomyślała:

– *Bardzo dobrze. Zanieś go do mojej pracowni.*

Wyczułem, że jest podniecona. Jak zawsze, kiedy miała odprawić jeden ze swoich rytuałów.

– *Co zamierzasz zrobić?* – zapytałem.

– *To oczywiste* – odparła. – *Spełnię życzenie Nicolasa.*

Pracownia mieściła się w piwnicy pod burdelem. Wyposażono ją w owalne, podobne do kocich źrenic portale tkwiące w ścianach wzmocnionych drewnianymi wspornikami. Bił od nich zielonkawy blask. Na kamiennej podłodze widniał narysowany kredą pentagram. Rzuciłem Petera na ziemię i kopnąłem go w zębra. Chłopak zwinął się z bólu i zasłonił twarz dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Były owinięte srebrną taśmą. Czarna Księga wylądowała na stole ustawionym w głębi pomieszczenia i przekartkowała się na stronę z odpowiednim zaklęciem. Wyfrunęły z niej ociekające magią słowa, zatoczyły krąg pod sufitem, a następnie zawisły nad więźniem niczym stado rozgniewanych wron. Przerażony Peter wybałuszył oczy i zaczął się szamotać. Chyba pojął, że w tym przedstawieniu przypadła mu rola ofiary.

– *Potrzebujesz mojej pomocy?*

– *Dam sobie radę. Zostaw magazyn i album.*

Wróciwszy na górę, zająłem wolny stolik, zapaliłem papierosa i poczekałem, aż martwy barman przyniesie mi butelkę whiskey i pustą szklankę. Przez resztę nocy piłem i paliłem, nasłuchując dzikich wrzasków dobiegających spod drewnianej podłogi.

Nazajutrz, już po zapadnięciu zmierzchu, spotkaliśmy się z Nicolasem. Przywiózł trzy kartony ze starymi numerami „Playboya” i jeden wypełniony po brzegi książkami. Nawet nie zapytał o brata. Od razu przeszedł do sedna.

– *Gdzie ona jest?* – spytał.

Wskazałem ręką portal i pstryknąłem palcami. Najpierw wyleciała Czarna Księga, potem wyłoniła się dziewczyna. Podobieństwo było uderzające. Jakby żywcem zesła z rozkładówki. Smakowity kąsek dla krwiożerczych bestii i rozneglizowanych wojowników. Nicolas oblizwał usta. I podrapał się po kroczu. Żaloszny typ. Napawał

pogardą nie tylko Petera, którego wspomnienia kołatały się od rana w mojej głowie. Naśmiewała się z niego cała szkoła, nie wyłączając nauczycieli.

– Jest twoja – powiedziałem. – Zgodnie z umową.

– To naprawdę ona? – zapytał.

– Henriette Allais. Króliczek Playboya z marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

– Jak... – wybełkotał. – Jak to zrobiliście?

– Magia – odparłem, uśmiechając się zagadkowo, i odprowadziłem dziewczynę do samochodu. Bez słowa usiadła w fotelu pasażera. Poczekała, aż Nicolas zajmie miejsce kierowcy, i chwyciła go za dłoń.

– Jedź – powiedziała.

– Jesteśmy kwita? – W spojrzeniu chłopaka radosne niedowierzanie walczyło ze strachem.

– Całkowicie.

Moje słowa chyba przyniosły mu ulgę, bo zanim uruchomił silnik, odetchnął głęboko i poklepał dziewczynę po odsłoniętym udzie.

Czarna Księga zmarszczyła okładki. Razem patrzyliśmy, jak zdezelowany ford oddala się od Armadillo, pozostawiając za sobą tumany piachu.

– *Co teraz?* – spytałem.

– *Poczekamy, aż ziarno wykiełkuje.*

– *Masz na myśli dziewczynę?*

– *Jestem potężna, ale nie aż tak, żeby mogła ściągnąć do Armadillo króliczka Playboya. Poza tym, ile lat ma teraz Henriette Allais? Przyzwałam sukkuba.*

– *Mogłem się tego domyślić. Co mu zaoferowałaś?*

– *To, czego pragnie każdy demon. Chwilową wolność. Gdy nadejdzie pora, sukkub wróci do nas z workiem pełnym dusz.*

– *Będzie wśród nich dusza Nicolasa?*

– *Oczywiście.*

Obnażyłem zęby w paskudnym uśmiechu.

– *Duszami dzielimy się tak jak zwykle?*

– *Nie inaczej. Połowa idzie dla maga, reszta dla nas.*

– *Dla maga* – powtórzyłem. – *Powiesz mi w końcu, kim on jest?*

Czarna Księga zignorowała moje pytanie. Nie byłem zaskoczony jej reakcją. Powtarzaliśmy tę rozmowę od kilkadziesiątu lat. Zawsze z tym samym skutkiem. Z jakiegoś powodu moja towarzyszka uważała, że nie powinienem znać tożsamości człowieka, który zmienił mnie w upiora. Być może była to jedna z tych dziwacznych

reguł, według których działała magia, albo powód tkwił gdzie indziej – w czymś, czego i tak bym nie pojął. Nie miałem pojęcia. I chyba nie chciałem mieć. Wolałem pozostać nieoświeconym upiorem z Dzikiego Zachodu, łasym na ludzkie dusze, no i mięso.

Kiedy wróciliśmy do burdelu, Czarna Księga oznajmiła, że mam jej poczytać. Odparłem, że to żaden problem. Przejrzałem zawartość kartonów przywiezionych przez Nicolasa i wybrałem książkę z okładką, która przedstawiała półnagą niewolnicę klęczącą u stóp ożywionego szkieletu w resztkach zbroi.

Pustkowie, 2016

Zrobiłem tak, jak zaplanowałem.

Wróciłem ostatnią świetlistą pępowiną na Ziemię. Przybrałem wygląd podstarzałego hippisa i podjechałem autostopem do najbliższego motelu położonego przy trasie pomiędzy San Francisco a Armadillo.

Cóż, diabeł tkwi w szczegółach, prawda? Jednak po kolei.

Najpierw był pewien mężczyzna, który zgodził się mnie podwieźć. Miał na imię Mike i zamierzał popełnić samobójstwo. Powiedział mi o tym od razu, gdy tylko zatrzymał się na poboczu, opuścił szybę i zapytał, dokąd jadę. Zobaczyłem, że na fotelu pasażera leży rewolwer. Czterdziestka piątka. Na wszelki wypadek wsunąłem prawą dłoń do kieszeni płaszcza, w której ukryłem colta. Z oczu kierowcy bił hipnotyzujący spokój.

– Jesteś przestępcą? – spytałem.

– Nie.

– Gliniarzem?

– Skądże. Zamierzam po prostu odstrzelić sobie łeb.

– Teraz?

– Za jakieś trzydzieści mil. Wybrałem już miejsce. – Nie wyglądał na żartownisia. Mógł mieć od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Nosił gęstą i raczej zaniedbaną brodę. Długie, posiwiałe włosy upiął w kucyk. Był blady i wychudzony. W brązowej marynarce z łatami na łokciach sprawiał wrażenie skacowanego nauczyciela. Przełożył rewolwer do schowka w drzwiach po swojej stronie i powiedział: – Mogę cię podwieźć.

– Dokąd?

– Do najbliższej stacji.

– Gdzie odstrzelisz sobie łeb?

- Tak.
- Dzięki.

Wrzuciwszy plecak na tylne siedzenie, zająłem wolne miejsce z przodu.

- Mike Herth.
- Tom.
- Tylko Tom?
- Tom Armadillo.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Mike włączył kierunkowskaz i wcisnął pedał gazu. Wjechaliśmy na szosę. Mimo wczesnej pory doskwierały nam gorąco i duchota. Granatowe niebo przypominało ocean szykujący się na nadejście burzy.

- Jesteś przestępcą? – zapytał Mike.
- Nie.
- Gliniarzem?
- Skądże.
- To dlaczego wsiadłeś do samochodu prowadzonego przez uzbrojonego faceta?
- Cóż, może jest mi wszystko jedno. Tak jak tobie.
- Albo?
- Potrzebuję samochodu. Tam, dokąd się wybierasz, nie będzie ci potrzebny.
- A dokąd się wybieram?
- Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Założę się, że w niebie i piekle nie mają dróg.

– Pewnie masz rację – odparł Mike. – Moi rodzice byli katolikami, jednak pomimo wysiłków matki nie przejmowałem się wiarą. Po ślubie zwykłem żartować, że jedynym znakiem krzyża, jaki traktuję poważnie, jest ten, którego ramiona wieńczą sutki i cipka mojej żony.

Powiedział to tak naturalnie, że poczułem się jak jego stary przyjaciel, od dawna wtajemniczony w rodzinne problemy państwa Herthów.

- Mogę zapalić? – spytałem.
- Jasne.

Przypaliłem papierosa i opuściłem szybę.

- Straciłeś żonę?

Mike zerknął na mnie z ukosa, rozciągnął kącik ust w uśmiechu i przyspieszył.

- Skądże. Ann ma się dobrze.
- Ale odeszła od ciebie?
- Zmusiłem ją do tego, zanim straciłem pracę, a bank zabrał nasz dom.
- Nie chciałeś, żeby cierpiała?

– Może. Nie wiem. Nie sędzę, bym działał z równie szlachetnych pobudek. Myślałem raczej o sobie.

Zjechaliśmy na parking przy nieczynnej stacji benzynowej. Mike zaparkował za głównym budynkiem, którego wejściowe drzwi oraz frontowe okna zabito deskami. Z rdzewiejących dystrybutorów odłaziła czerwona farba. Stary szyld skrzypiał w zawiasach. Wyblakłe postery reklamowe utknęły w latach dziewięćdziesiątych. Po przeciwnej stronie parkingu niszczała szopa o otwartych na oścież drzwiach.

– Zawsze jesteś taki rozmowny? – zapytałem.

– Tylko wtedy, gdy zamierzam popełnić samobójstwo.

– Zrobisz to w samochodzie?

– Na zewnątrz. Nie chcę pobrudzić tapicerki.

Wysiadłem i popatrzyłem na swój cień. Poły mojego płaszcza falowały. Niebo pociemniało. Zrobiło się duszno. Ze wschodu naciągały burzowe chmury.

– Pójdę na spacer – powiedziałem, nałożywszy kapelusz.

– Daj mi pięć minut.

Wewnątrz szopy stała zdezelowana półciężarówka forda, rocznik dziewięćdziesiąty piąty. Nie miała kół ani szyb i była całkowicie zardzewiała. Zajrzałem do szoferki – tam, gdzie powinien się znajdować prędkościomierz, ziała dziura. Poza tym brakowało drążka zmiany biegów, a podwozie przypominało szwajcarski ser.

Odwróciłem się bardzo powoli. Mike stał w wejściu, mierząc do mnie z rewolweru. Ciemna sylwetka na tle ruin.

– Chcesz wiedzieć, ile osób zabiłem?

– Raczej nie.

– Cóż, w moim przypadku „sporo” to eufemizm.

– Gratuluję. Raczyłeś swoje ofiary bajeczką o samobójstwie?

– Niektóre. – Wzruszył ramionami. – Znam wiele opowieści.

– Nie wątpię. Pewnie nigdy nie byłeś żonaty, co?

– Byłem. I moja żona, Ann, naprawdę mnie porzuciła.

– A bank zabrał wasz dom?

– Dom, samochody, posiadłość nad jeziorem. Przyjaciół. Nasze życie. – Oblizął usta. – Współczesny amerykański dramat, co?

– Pozwoliłeś Ann tak po prostu odejść? – Nie odpowiedział, więc zrobiłem to za niego: – Założę się, że ją też zabię.

Widocznie trafiłem go w czuły punkt, bo zaczął strzelać. Pociski przebiły maskę forda, jeden musnął moje lewe ramię. Odgarnąłem połę płaszcza i wyciągnąłem

colta. Nie spudłowałem. Mike zatoczył się do tyłu i upadł na plecy. Próbował ponownie wycelować, ale postrzeliłem go w ramię. Natychmiast wypuścił rewolwer.

Niebo przecięła błyskawica przypominająca korzenie drzewa.

Zabójca oddychał z trudem, gapiąc się na mnie, jakby zobaczył upiora. I zobaczył – pokazałem mu swoje prawdziwe oblicze. Oczodoły wypełnione płomieniami, zęby jak u piranii, pergaminowe usta i trupia skóra.

– Jesteś śmiercią? – zapytał, krzywiąc się z bólu. Lewą dłoń przyciskał do rany w brzuchu.

Dobre pytanie. Do niedawna byłem pulpową personifikacją śmierci – zakochaną w sobie, czerpiącą rozkosz z cierpienia dusz ogołaczanych z wiedzy i wspomnień, tęskniącą za smakiem ludzkiego mięsa. Później, kiedy klątwa zaczęła słabnąć, moją dotychczasową naturę pokryła siatka pęknięć. Zachowałem moce upiora, jednak żądza, która mnie definiowała, zgasła niczym zduszony płomień. Tak po prostu. Nie odczuwałem oporów przed zabijaniem i zabijałem, jeśli musiałem, lecz wcale za tym nie tęskniłem. Tym bardziej że zabijanie nie sprawiało mi już takiej przyjemności jak kiedyś. Z drugiej strony mój stosunek do moralności był w najlepszym razie ambiwalentny.

– Już nie śmiercią – odparłem. – Samochód jest kradziony?

Wzdłuż lufy colta spływała gęsta kropla. Mike skupił na niej wzrok, splunął krwią.

– Nie.

– To dobrze.

– Zabijesz mnie?

– Dawniej zrobiłbym coś gorszego. – Odciągnąłem kurek, ścisnąłem pewnie kolbę. Zabójca zamknął oczy. – Pożarłbym twoją duszę, wiedzę i wspomnienia, twoją tożsamość. Pożarłbym, przetrawił i spożytkował w jakimś niecnym celu. Jednak mam dość. Zaczynam od nowa.

Naprawdę miałem dość. Pragnąłem odmiany. Zimnych drinków i dni upływających na niewinnym leniuchowaniu.

Gdy strzeliłem, zagrzmiało.

Pochowałem Mike'a w szopie, ale nie zmówiłem modlitwy. Pomyślałem natomiast o krucyfiksie naszkicowanym pomiędzy sutkami a cipką, uznawszy, że to powinno wystarczyć.

Potem podjechałem do najbliższego motelu, gdzie w zaciszu brudnego pokoju, korzystając z telefonu komórkowego Mike'a, wyszperałem w internecie informacje na temat Szkieletora. Johnny Lacroix miał rację – rzeczywiście byłem podobny do postaci z kreskówki. Obejrzałem parę fragmentów, zapaliłem papierosa i włączyłem

radio. W wiadomościach mówiono o powodziach błyskawicznych, które zalały drogę do miasta na odcinku biegnącym korytem wyschniętej rzeki. Motel wybudowano na wzniesieniu, więc gościom i pracownikom nie groziło niebezpieczeństwo. Jednak z dalszą jazdą musiałem poczekać, aż opadnie poziom wody, gdyż na razie byliśmy odcięci od świata.

Położyłem się na łóżku i przyjrzałem wisiorce z zielonym kamieniem, nie zdejmując go z szyi. Kamień był kulisty i miał barwę zbliżoną do turkusowej. Cassilda twierdziła, że zawarta w nim moc powinna uchronić nasz świat przed jej przedwiecznymi wrogami, a przy okazji zatrzymać słabnięcie ciężającej na mnie klątwy. W jaki sposób? Tego oczywiście nie wiedziałem.

„I tak byś nie zrozumiał – powiedziała, kiedy szykowałem się do powrotu na Ziemię. – Ten wisior to metafora”.

„Jasne – odparłem. – Metafora i wygodny interfejs w jednym”.

Uśmiechnęła się.

„Dokładnie”.

Wówczas jej uwierzyłem. Teraz pomyślałem, że mogła kłamać. Czyż nie grała roli upadłej kobiety ze skłonnością do czarnowidztwa, kieliszka i wyuzdanego seksu? Zabrakło jedynie zwrotu akcji w postaci zdrady. Albo wręcz przeciwnie – nie zabrakło. Po prostu nie zwróciłem na niego uwagi w natłoku niezliczonych wcieleń mojej kochanki.

Leżałem i paliłem ze wzrokiem wbitym we wspomnienia, nasłuchując odgłosów płatnej miłości dobiegających zza ściany.

Gładka powierzchnia klejnotu zdawała się unosić i opadać, jakby był żywą istotą zdolną oddychać w ziemskiej atmosferze. Gdzieś na Ziemi znajdował się drugi taki kamień, pięć albo sześć sztuk trafiło na inne planety w odległych galaktykach. Jeśli Cassilda nie skłamała, to dopóki istniał choćby jeden z nich, naszemu światu nic nie groziło.

Chciałem w to wierzyć.

Naprawdę.

Armadillo, 2014

Sukkub wrócił po upływie miesiąca. Wjechał do *ghost town* na ryczącym harleyu, machając workiem pełnym przerażonych dusz. Kuse wdzianko barbarzyńskiej księżniczki poszło w odstawkę. Obcisłe spodnie z czarnej skóry, znoszona kurtka z ćwiekami, skórzane buty na grubej podeszwie i bluzka z nieczytelnym nadrukiem,

eksponująca apetyczny biust, sugerowały staż w motocyklowym gangu. Oto Henriette Allais po przemianie w dziewczynę Anioła Piekieł. Można było się nabrać. Duszami podzieliśmy się tak, jak powiedziała Czarna Księga: połowa dla maga, reszta dla nas, także po połowie. Demon obnażył zęby w uśmiechu zbyt szerokim, by ludzkie szczęki mogły wyjść z niego bez szwanku, i zapytał kobiecym głosem:

– Zadowoleni?

Wyciągnąłem pierwszą duszę z brzegu i uniosłem na wysokość oczodołów. Wiła się jak pisklę pochwycone przez drapieżnika.

– Bardzo – odparłem.

– Mam nadzieję, że się nią udławisz – powiedział sukkub. – Nie wiem, które z was jest gorsze. Ignorant w kowbojskim kapeluszu czy mądrała w skórzanej okładce.

Zerknąłem na Czarną Księgę.

– *Spokojnie* – odpowiedziała. – *Mają powód, by nas nienawidzić.*

– *Sukkuby?*

– *„Sukkub” to tylko słowo. Wierzchołek mitologii wzniesionej na kłamstwach.*

– *Nie rozumiem.*

– *I niech tak zostanie. W końcu to nie ja jestem ignorantem w kowbojskim kapeluszu.*

Demon wyszczerzył się groteskowo, zdarł ze swojej twarzy oblicze Henrietty Allais i cisnął je pod moje nogi. Czarna Księga otworzyła portal przygotowanym zawczasu zaklęciem. W przejściu o rozmiarach drzwi garażowych pojawił się fragment piaszczystej drogi i czerwonego nieba. Widoczne w oddali miasto spowijała zielona poświata. Sukkub dodał gazu, puścił sprzęgło i przejechał przez bramę do innego świata. Kiedy motocykl zniknął w portalu, ten pokrył się bąblami niczym obraz wyświetlany z taśmy trawionej płomieniami.

Spojrzałem na leżącą w piachu twarz modelki, a potem na Czarną Księgę, która kreśliła w powietrzu domykające portal pieczęcie. Dusze cichutko pojękiwały. Wiejący znikąd wiatr hasał na głównej ulicy. Z burdelu dobiegały odgłosy hucznej zabawy. Poczujęm się nieswojo. Słowa demona, widoczna w jego spojrzeniu nienawiść i smutek przemycony w nieludzkim uśmiechu – to wszystko wytrąciło mnie na moment z upiornej równowagi i rzuciło na pastwę tłumionych dotąd pytań i wątpliwości. Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób sukkub wykorzystał dany mu czas. Gdzie był, co widział i słyszał, co robił, ale przede wszystkim – co wtedy czuł. Chciałem go zrozumieć. Tylko tyle i aż tyle. I chyba zrozumiałem. Dzięki duszom, które nam przywiózł. Smakowały wybornie.

Sukkub nie przespał się z Nicolasem. Nie wypieprzył żadnego śmiertelnika. Rozegrał to inaczej. Perswazja i niespełnione obietnice, wzmocnione magią, działały

cuda. To Nicolas zabijał. Demon tylko zgarniał dusze i korzystał z użyczonych mu wolności. Kino, teatr, muzea, książki. Motywowany ciekawością, nadrabiał zaległości. Chciał się dowiedzieć, dokąd zaszliśmy, co osiągnęliśmy, jakie mamy perspektywy. Smakował nasz świat małymi łyčzkami. I nie krył rozczarowania. W końcu Nicolas wpadł. Ktoś dał cynk policji. Chłopak nie wytrzymał presji. Popęłnił samobójstwo w restauracji McDonalds'a. Na miejscu zdarzenia gliniarze znaleźli stos zmasakrowanych ciał. Media piszczały z radości. Sukkub zainkasował wypłatę w ektoplazmie ofiar, wybrał się po raz ostatni do kina, po czym wrócił do Armadillo. Nie miał innego wyjścia. Takie były reguły – głupie, lecz wiążące.

Splunąłem resztkami duszy Nicolasa, oblizałem usta.

– *Wszystko w porządku?* – spytała Czarna Księża.

– *Czuję się dziwnie.*

– *Bo zacząłeś myśleć o rzeczach, o których dotąd nie myślałeś?*

– *Mniej więcej.*

– *To przez sukkuaba. Rzucił na nas urok.*

– *I unieważnił klątwę?*

– *Skądże. Jedyne chwilowo osłabił jej działanie. Jednak nie na tyle, byśmy mogli odzyskać wolność.*

– *Cóż, przynajmniej możemy szczerze porozmawiać.*

Zmierzch zapadał powoli. Widziane przez membranę kolory ciemniejszego nieba były rozmazane i odrealnione. Wystukałem z paczki własnoręcznie skręconego papierosa i przypaliłem.

– *Kiedyś klątwa przestanie działać, prawda?*

– *O ile umrze mag.*

– *Co wtedy zrobisz?*

– *To chyba oczywiste. Zabiję cię, kowboju.*

Pokiwałem głową i podałem Czarnej Księżce skręta. Chwyła go widmową dłonią wystającą z okładki i wsunęła w uformowane zaklęciem kobiece usta.

– *Rozumiem* – stwierdziłem. – *I nie mam żalu. Nie pisałem się na przemianę w upiora, w szczególności na tym zadupiu. Kiedy działanie klątwy ustanie, po prostu ucieknę. Będziesz miała mnie z głowy. Sądzę, że to uczciwe rozwiązanie.*

– *Nie, kowboju. Nie rozumiesz. Nienawidzę was. Ciebie, tego miasteczka, pozostałych upiorów. Przypominacie mi o upokorzeniu, jakie mnie spotkało. I dlatego, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zgotuję wam straszny los. Straszniejszy niż możesz sobie wyobrazić.*

Zapadła cisza. Wciągnąłem dym do martwych płuc. Pozwoliłem, żeby się zadowił, poznał sąsiedztwo. Następnie wypuściłem go na spacer – przez jamę

nosową oraz oczodoły. Oddając papierosa Czarnej Księdze, powiedziałem:

– *Cóż, wobec tego zginiesz jako pierwsza.*

Szczera pogawędka dobiegła końca. Chowaniec posłał mi pogardliwe spojrzenie i pstryknął na odchodne widmowymi palcami. Niedopałek zakreślił w powietrzu malowniczy łuk, zanim wylądował pomiędzy leżącymi w piachu duszami. Cuchnęły strachem. Pozbierałem je do worka i udałem się do burdelu. Upiory czekały w progu niczym sfora wygłodniałych psów. Rewolwerowcy, dziwki i gangsterzy. Cofnęły się, gdy wszedłem po schodach. Uniosłem worek, wyszczerzyłem kły i wysypałem dusze na podłogę. Ucztowaliśmy przez resztę nocy: w oparach smakowitej ektoplazmy, w kłębowisku zimnych ciał, wśród grzmotów dymiących rewolwerów.

Po kilku miesiącach do Armadillo przyjechali mafiosi z San Francisco.

Lorenzo i Tony.

Powiedzieli, że mają propozycję nie do odrzucenia. Specjaliści od przekrętów i zadawania bólu. Wymachując bejsbolowymi kijami i eksponując srebrzyste kastety, mogli budzić lekki niepokój oraz sugerować, że traktują swój fach i pozycję chłopców z ferajny bardzo poważnie.

Na początku byłem zdezorientowany, jednak dość szybko znalazłem użyteczne wskazówki we wspomnieniach moich ofiar. Współcześni gangsterzy nie różnili się bardzo od swoich odpowiedników z czasów prohibicji. Resztę informacji wyciągnąłem później od biedaka, którego przywieźli w bagażniku. Miał na imię Stanley i pracował dla Dona Boncianno. Podobno go okradł. Zapytałem, w jaki sposób ich szef dowiedział się o Armadillo. Wymuskani twardziele w drogich garniturach wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami. Być może rzeczywiście nie znali odpowiedzi. Tak czy inaczej, Lorenzo, dryblas z siwym lokiem opadającym na poprzecinane zmarszczkami czoło i zezującym lewym okiem, wyjaśnił, że Stanley to pierwsza z długiego korowodu dusz, które trafią do naszych żołądków, jeśli przystaniemy na współpracę.

Oblizalem usta. Propozycja brzmiała smakowicie.

Czarna Księga odparła, że rozumie metaforę oraz intencję, choć nie posiada żołądka.

Właściciel siwego loka skrzywił się lekko na dźwięk słowa „metafora”, ale gdy Czarna Księga napomknęła o intencji, na jego paskudnej twarzy natychmiast zagościł podstępny uśmiezek.

Biedny Stanley.

Czarna Księga chciała jednak czegoś więcej. Postawiła dodatkowy warunek. Ulepieni z twardej gliny mafiosi poczuli się niepewnie. Wkroczyli na nieznany sobie

grunt.

– Komiksy? – zapytał Lorenzo, krzywiąc się tak jak wcześniej.

– Komiksy – odparła Czarna Księga.

Mafioso zerknął na Tony'ego. Tamten wzruszył ramionami. Nie miałem wątpliwości, że opanował ten gest do perfekcji.

– Niech będzie – mruknął.

Wówczas Lorenzo wyciągnął dłoń.

Dobiliśmy targu.

Do Armadillo zaczęła płynąć rzeka dusz i komiksów. Preferowałem te pierwsze. Komiksy lądowały w pracowni Czarnej Księgi, i to nader regularnie, gdyż mafiosi przyjeżdżali do *ghost town* dwa, trzy razy na kwartał. Don Boncianno zajmował się dochodowym biznesem. Miał wielu wrogów, licznych przyjaciół. Do nas trafiali jedni i drudzy. Głównie mężczyźni. Upadłe rekiny szemranych interesów. Kobiety zdarzały się sporadycznie. Smaczne kąski.

Czas upływał nam niby po staremu, ale w powietrzu wyczuwało się zmiany.

Do spotkania z sukkubem nie interesowało mnie nic poza sumiennym wypełnianiem roli demonicznego skurwysyna. Szpony klątwy były szczelnie zaciśnięte. Nie pozwalała mi zapomnieć, do czego zostałem powołany. Czarnej Księżki również. Oboje byliśmy więźniami zaklęcia rzuconego przez Johna Temple. Jednak coś się zmieniło. Chyba na lepsze. Zacząłem się zastanawiać. Rozmyślać. Dumać. Główkować. Co prawda rzadko i bez przekonania, choć w porównaniu z tym, jak żyłem dotychczas, stanowiło to krok w dobrą stronę. We własnych oczach – a raczej w oczodołach – stałem się specjalistą od egzystencjalnych refleksji. Okej, nie mogłem się równać z Schopenhauerem, jednak przyznanie przed samym sobą, że przeszedłem istotną i pozytywną przemianę, trudno uznać za wyraz samouwielbienia. Była to raczej dość trzeźwa ocena sytuacji, prawda?

Pewnej nocy zszedłem do pracowni Czarnej Księgi. Lewitowała nad blatem, skupiona na pracy.

– *To przez sukkuba* – stwierdziłem, mając na myśli jej nowe zajęcie.

– *Tak* – odpowiedziała. – *Częściowo.*

– *Może zdjąć z nas klątwę?*

– *Nie.*

– *Kolejna z cudownych reguł magii?*

– *Najwyraźniej.*

Popatrzyłem na komiksy ułożone w słupki. Wciągnąłem do płuc stęchłe powietrze i powiedziałem:

– *Od pewnego czasu chadżam na skraj miasteczka.*
– *I co tam robisz?*
– *Obserwuję świetliste kule widoczne po drugiej stronie membrany. I marzę.*
– *O czym?*
– *O ucieczce. To chyba oczywiste.*
– *O czymś jeszcze?*
– *O innych światach i nowym życiu.*
– *Wolnym od zbrodni?*
– *Tak* – odparłem, zdając sobie sprawę z tego, że mój głos drży. – *Do pewnego stopnia.*

Czarna Księga przerwała pracę nad planszą komiksu. Odłożyła ołówek. Strzeliła kłykciami mgławych dłoni i posłała mi wyhodowany na dnie piekła uśmiech. Malec zasługiwał na miano króla paskudnych grymasów.

– *Nie uciekniesz, kowboju* – powiedziała. – *Twoje obecne życie jest jedynym, jakie ci zostało, więc ciesz się nim, póki możesz.*

Potem wróciła do przerwane go zajęcia.

Cóż, skorzystałem z jej rady.

Skarbiec banku pęczniał od stałego dopływu świeżych dusz. Kłopotliwe dla mafiosów ciała znikwały w żołądkach moich upiorów. Natomiast Czarna Księga realizowała swoją nietypową pasję.

Wszyscy byli zadowoleni.

No, prawie wszyscy.

Nie przestałem marzyć o ucieczce i nowych światach.

San Francisco, 2016

Gdy tylko minęło zagrożenie powodzią, prosto z motelu pojechałem do Armadillo. W ruinach miasteczka znalazłem spaloną furgonetkę – pozostałość po starciu wiem z Lorenzem i Tonym, którzy tak regularnie dostarczali nam przyjaciół i wrogów Dona Boncianno. Znalazłem też rozwleczone przez padlinożerców szczątki obu gangsterów oraz ich błakające się w pobliżu dusze, które natychmiast pochłonałem.

Wspomnienia mafiosów przybrały w moim umyśle formę niskobudżetowego, pornograficznego horroru cechującego się kiepską reżyserią i fatalnym aktorstwem. Jako martwy skurwysyn, który swego czasu gustował w ludzkich duszach i niejedną

zbrodnię miał za uszami albo oczodołami, przeszedłem nad tym faktem do porządku dziennego, skupiając uwagę na poznawczych aspektach mojej przekąski.

Lorenzo i Tony pracowali dla Dona Boncianno, o czym wiedziałem. Nie miałem jednak pojęcia, że bezpośrednio podlegali Jimmy'emu Moretti, który był zaufaną torpedą Dona. Na co dzień zajmowali się rekietem i handlem narkotykami na niewielką skalę. Mieli swoich ludzi, ci z kolei mieli własnych, tamci znowu swoich i tak to się kręciło – od występku do występku, z rzadkimi przerwami na przestępstwo cięższego kalibru: zabójstwo lub gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Lorenzo i Tony specjalizowali się w gwałceniu żon na oczach mężów oraz mężów na oczach żon. Wiedzieli, że w ich homofobicznym środowisku seks z facetem, nawet wymuszony, uchodzi za niewybaczalny grzech, więc dbali, aby żadna z ofiar nie pisnęła ani słowa. Cóż, gardła podrzynali sprawnie. Jimmy Moretti znał upodobania swoich podwładnych i nieprzypadkowo zlecał im zadania, w których mogli się wykazać zamiłowaniem do brutalnego seksu z mężczyznami – w szczególności z tymi, którzy z jakiegoś powodu podpadli młodemu *capo*.

Lorenzo i Tony wiedzieli, że Jimmy wie, i było im to trochę nie w smak, trochę im to zawadzało, a w chwilach zwątpienia napawało niemalym lękiem. Jednak nie mówili o tym zbyt często. Przede wszystkim sumiennie wykonywali swoją pracę i robili to z wielką ochotą, ponieważ Jimmy płacił hojnie – zdecydowanie hojniej niż ich wcześniejsi szefowie, od dawna już gryzący piach. Z drugiej strony świadomość, że pewnego dnia znajdą się na celowniku cechowych kolegów, motywowała obu zabójców do stopniowego oswajania się z myślą o zabiciu szefa.

Nie zdążyli tego zrobić, pojechali bowiem z polecenia Jimmy'ego do Armadillo, żeby starym zwyczajem podrzucić nam jakiegoś nieszczęśnika, który podpadł Donowi Boncianno. Na miejscu wdali się w strzelaninę z Nancy i Jennifer. Furgonetka, którą przywieźli moją niedoszłą przekąskę, eksplodowała, gdy uderzyła w nią ognista kula rzucona przez rudowłosą. Wybuch ogłuszył obu gangsterów. Jennifer wykorzystała okazję i sprezentowała każdemu z nich ranę wlotową pośrodku czoła.

Buszując we wspomnieniach Lorenza i Tony'ego, ustaliłem adres Jimmy'ego. Pomyślałem, że skoro Nancy i Jennifer zabiły Lorenza i Tony'ego, spróbuję przekonać Jimmy'ego i Dona Boncianno, że mamy wspólnego wroga. Mafiosi mogliby się zemścić na wiedźmach, a przy okazji pomóc mi w uwolnieniu Czarnej Księgi.

Jimmy mieszkał na przedmieściach, w willi oddzielonej od głównej ulicy przestronnym, zielonym trawnikiem i krótkim podjazdem. Zaparkowałem przy

krawężniku pomiędzy dwoma samochodami i zgasilem silnik. Widziałem stamtąd fragment frontu z drzwiami wejściowymi i garaż. Zapaliłem papierosa, zerknąłem w przednie lustro i rozciągnąłem w obleśnym uśmiechu usta martwego gangstera. Z daleka mogłem zostać wzięty za Lorenza. Z bliska raczej nie nabrałbym Jimmy'ego, od razu rozpoznalby garnitur za pięćdziesiąt dolców i kiepską wodę kolońską, jedno i drugie zupełnie nie w stylu Lorenza. Poza tym Jimmy pewnie już wiedział o śmierci swoich podwładnych i ucieczce wiem. Miałem nadzieję, że zdołam nabrać sąsiadów i lokalnych gliniarzy. Stygnące ciała przykuwały uwagę. Nie chciałem dodatkowych problemów.

Opuściłem szybę, strzepnąłem popiół, włączyłem radio.

Śpiewał Johnny Cash. Coś głębokiego o życiu.

Postanowiłem zaczekać, posłuchać muzyki i zobaczyć, co się wydarzy.

Johnny brzdąkał, moje myśli próbowały trzymać fason wśród leniwie wybrzmiewających riffów.

Młody Moretti uchodził za skutecznego i pozbawionego litości zabójcę. Nie miałem pojęcia, ile w tym prawdy, a ile pogłosek obliczonych na budzenie strachu. W każdym razie Don Boncianno darzył go zaufaniem i otwarcie przyznawał, że widzi w nim swego następcę. Wszystko miało pozostać w rodzinie – w końcu Jimmy był siostrzeńcem Dona.

Zmieniłem stację radiową i ułożyłem się wygodnie w fotelu.

Minęła godzina, zanim z garażu wyłonił się czarny mercedes SUV o przyciemnionych szybach. Samochód zatrzymał się na końcu podjazdu. Kierowca uruchomił lewy kierunkowskaz i po chwili włączył się do ruchu. Odliczyłem do dwudziestu i zrobiłem to samo. Jadąc spadzistą ulicą, dotarliśmy do skrzyżowania, za którym droga opadała łagodnie w stronę centrum. SUV skręcił w prawo, na kolejnym w lewo. Po jakichś dziesięciu minutach i dwóch następnych skrzyżowaniach zdałem sobie sprawę, że zbliżamy się do zjazdu na autostradę.

Wyjechaliśmy z miasta.

Niebo pociemniało. O karoserię zabębniły krople. Na horyzoncie majaczył zmierzch.

Trzymałem się w bezpiecznej odległości, licząc na to, że wkrótce gangsterzy zorientują się, że ktoś ich śledzi. Pomyślałem, że w pewnej chwili zjadą z autostrady na jakąś rzadko uczęszczaną drogę, a później zatrzymają się na porzuconej przez właścicieli stacji benzynowej bądź przy nieczynnym od dłuższego czasu motelu. Tam odczekają kilka minut, po czym wysiądą, eleganccy i uzbrojeni. Zaczną strzelać bez ostrzeżenia albo zawołają, żebym również wysiadł, a gdy to zrobię, każą mi unieść

ręce i nie robić głupstw, a ja ich posłucham. Wsiądę, uniosę ręce i spróbuję nie robić głupstw, jednak oni i tak otworzą ogień. Każdy scenariusz kończył się brakiem porozumienia. I dziurami w moim ciele.

Zakląłem i zacisnąłem palce na kierownicy.

Musiałem coś wymyślić.

Ostatecznie tylko przyspieszyłem.

Po jakichś trzydziestu kilometrach zjechaliśmy z autostrady. Po kolejnych dziesięciu z pustej dwupasmówki na parking przed nieczynnym motelem. Budynek miał kształt litery L i straszył pozbawionymi szyb oknami.

Teraz wsiadą, pomyślałem. I zaczną strzelać albo...

Nie wysiedli.

Sięgnąłem za siedzenie pasażera po pas z rewolwerami.

Zmrużyłem oczy martwego gangstera.

Potem zapiąłem pas. Poluzowałem colty. I wyłączyłem radio.

Z mercedesa wysiadła drobna postać spowita ciemnoniebieską aurą. Rozpoznałem trójwymiarowe ikonki zakłęb ochronnych. Błyszczały niczym gwiazdy odbite w morskiej toni. Chwyciłem za klamkę, ale zanim zdążyłem wsiąść, moim samochodem szarpnęło. Ford obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, tak że zdążyłem obejrzeć panoramę opustoszałej okolicy, następnie znieruchomiał na wysokości trzech lub czterech metrów, owinięty spiralną manifestacją rzuconego z furją zakłęcia. Otworzyłem drzwi i wyskoczyłem. Dziewczyna przygasiła aurę, uniosła rewolwer. Oplatające lufę zakłęcie zagrzechotało ogonem. Spojrzałem na lewitujący pojazd. Potem na wiedźmę. Zbliżyła się wolnym krokiem. Powabna jak zwykle.

Cóż mogłem zrobić? Nałożyłem kapelusz, wygrzebaną w kieszeni zapalniczką przypaliłem papierosa i powiedziałem:

– Witaj, Jennifer.

*

– Co wydarzyło się później? – zapytała Jennifer.

– Później... – powtórzyłem, patrząc z podziwem na jej wypielęgnowane dłonie, chronione wirującymi wokół nadgarstków pieczęciami. – Cóż, wróciłem na Ziemię, przybrałem wygląd podstarzałego hippisa i podjechałem autostopem do najbliższego motelu, gdzie w zaciszu brudnego pokoju uruchomiłem zabrany Mike'owi telefon komórkowy i wyguglałem Szkieletora. Następnie, przeczekawszy powódź, pojechałem do Armadillo, gdzie odnalazłem błakające się w ruinach dusze Lorenza i

Tony'ego, które niezwłocznie pochłonąłem. W ten sposób dowiedziałem się, gdzie mieszka Jimmy Moretti. Chciałem go przekonać, że mamy wspólnego wroga.

– Nancy i mnie?

– Tak.

Rozmawialiśmy w niewielkim magazynie. Pogawędka w nieczynnym motelu była zbyt ryzykowna, gdyż ktoś niepowołany mógł zauważyć zaparkowanego na zewnątrz mercedesa. Dlatego zmieniliśmy lokal. Nie żeby wiedźma nie nalegała. Przeciwnie – bardzo przekonująco gestykulowała coltem. Zanim mnie uspiła, wyjaśniłem, że nie żywię złych zamiarów. W odpowiedzi kiwnęła głową i rzuciła zakłęcie spętania. Zapadłem w słodką ciemność. Ocknąłem się na podłodze pomieszczenia wypełnionego pustymi skrzynkami. Jennifer siedziała na metalowym krześle, poza zasięgiem żółtego światła spływającego z wiszącej pod sufitem lampy. Lufa zabytkowej spluwy wodziła za mną tęsknym spojrzeniem. Z osłony cyngła zwisało grzechoczące ogonem śmiercionośne zakłęcie. Opowiedziałem o wszystkim, co mi się przytrafiło, odkąd Cassilda porwała mnie z Armadillo.

Oczy Jennifer błyszcząły w półmroku. Przełożyła colta do lewej dłoni i sięgnęła do torby leżącej tuż obok krzesła.

– Zapalisz? – spytała.

Zerknąłem na opakowanie. Rozpoznałem logo marki i pokręciłem głową.

– Nie palę silkcutow.

– Twoja strata.

Jennifer wyciągnęła dwa papierosy. Pierwszego wsunęła za lewe ucho, drugiego do ust. Przygryzła go zębami i przypaliła zakłęciem w formie ziejącego ogniem miniaturowego smoka.

– Wtedy w Armadillo – powiedziała – gdy Nancy kazała ci wejść do banku, miałeś stanąć twarzą w twarz z pewnym sukkubem. Podobno poznaliście się, gdy udawał Henriettę Allais. Wywnioskowałam, że musiał zostać przyzwany przez Czarną Księżę. Ty raczej nie dałbyś rady, prawda?

Nie odpowiedziałem, więc Jennifer kontynuowała. Dogadały się z sukkubem. Nancy powiedziała, że mają dla niego niespodziankę. Bez zobowiązań. Sama przyjemność. Chodziło oczywiście o mnie. Ignoranta w kowbojskim kapeluszu. To ja miałem być daniem głównym. Jednak niespodziewane pojawienie się Cassildy pokrzyżowało plany wiedźm. Wtedy do Armadillo przyjechali Lorenzo i Tony. Pominęli uprzejmości i od razu przeszli do sedna, argumentując krótkimi seriami z pistoletów maszynowych. Dopiero ognista kula zmieniła przebieg strzelaniny. Jennifer wykorzystała chwilę nieuwagi spowodowaną wybuchem i zastrzeliła

napastników. Wiedźmy wróciły do miasta. Od Czarnej Księgi, która rozpoznała napastników, dowiedziały się, że pracowali dla Dona Boncianno. Przez kilka dni było spokojnie. Nancy przesiadywała z Czarną Księgą. Jennifer prowadziła interesy. Jednak pewnego dnia, po powrocie z Los Angeles, zastała zniszczony penthouse. Po Nancy i Czarnej Księżce nie było śladu, więc przyjęła, że zostały porwane. Natychmiast przystąpiła do działania. Niebawem w szeroko zarzuconą sieć informatorów wpadło nazwisko Jimmy'ego Moretti.

– Mogłam zrobić tylko jedną rzecz. Odwiedziłam Jimmy'ego. Pozbyłam się jego ochroniarzy i przesłuchałam drania. Na początku stawiał opór, chroniony dość wymyślnymi zaklęciami, ale poradziłem sobie z tymi nietypowymi zabezpieczeniami i facet zaczął udzielać bardzo satysfakcjonujących odpowiedzi. Po mniej więcej dziesięciu minutach wiedziałam, kto jest kim i co jest grane. Wszystko sobie poukładałam i zaczęłam główkować nad tym, jaki powinien być mój następny krok. Niestety, z twojego powodu, martwy dupku, musiałam odłożyć planowanie na później.

– Dlaczego mnie nie zabiłaś? – spytałem.

– Stwierdziłam, że możesz mi się przydać.

– Wiesz, dokąd zabrano Nancy i Czarną Księgę?

– Oczywiście. Wcześniej, opowiadając o rozstaniu z Cassildą, wspomniałeś, że postanowiłeś uwolnić z naszych rąk Czarną Księgę.

Kiwnąłem głową. Moją wolę krępowało takie samo zaklęcie jak to, którym wiedźma zmusiła Jimmy'ego do mówienia. Dopóki działało, nie mogłem zrobić jej krzywdy.

– Na pewno nie chcesz zapalić? – spytała.

– Nie.

– Powinieneś wiedzieć jedno. Nancy dogadała się z Czarną Księgą. Przekonała ją, że nie mamy złych zamiarów, i zaoferowała pomoc.

– Pomoc?

Jennifer wstała z krzesła, zgmiotła niedopałek o stalowy filar i popatrzyła na mnie z góry.

– Po kolei, kowboju. Niebawem zrozumiesz.

Znowu to zrobiła.

Odesłała mnie zaklęciem w słodką ciemność.

Ocknąłem się na siedzeniu pasażera. Przednie reflektory oświetlały drogę, której błyszcząca powierzchnia mogła uchodzić za toń jeziora. Odbijała gwiazdy zupełnie jak woda. Odniosłem wrażenie, że nie tyle jedziemy, ile lecimy pomiędzy lustrzanymi

otchłaniami. Wnętrze samochodu wypełniał zawadiacki śpiew, któremu wtórowała Jennifer:

*One life I'm gonna live it up
I'm takin' flight said I'll never get enough
Stand tall I'm young and kinda proud
I'm on top as long as the music's loud*

Sekcja rytmiczna grała niemalże tanecznie, gitarzyści hipnotyzowali riffami. Oblizałem usta i przejechałem językiem po zębach. Mój oddech pachniał jatką.

– Gdzie jest Moretti? – zapytałem.

I natychmiast pożałowałem, że się odezwałem.

Znałem odpowiedź.

Ten smak w ustach, resztki mięsa między zębami, nowe wspomnienia, płochliwe niczym wiewiórki.

Wiedziałem, gdzie jest Jimmy i co go spotkało, zanim tam trafił.

Jakimś cudem, kiedy byłem nieprzytomny, Jennifer zmusiła mnie do pożarcia Jimmy'ego i pochłonięcia jego duszy.

To dlatego przypominałem sobie zapach cipki jego żony. Kreskę koki na anonimowym wzgórkach łonowym. Głośny śmiech siostry odprowadzanej do taksówki. Ostatnią rozmowę z Donem Boncianno. Pogawędkę z ochroniarzami. I zdziwienie wywołane wtargnięciem Jennifer poruszającej się z gracją pumy w blasku śmiercionośnych zaklęć. Przypominałem sobie zabójstwa, których nie popełniłem, i szemrane interesy, których nie prowadziłem. Wykorzystanych i zniszczonych ludzi. Przypominałem sobie cudzą przeszłość. I zrozumiałem, że wpadłem w nieliczne kłopoty.

Jennifer ściszyła muzykę i zapytała z szyderczą troską:

– Może jednak zapalisz?

Tym razem nie odmówiłem, więc podała mi papierosa – silkcuta, którego wcześniej wsunęła za ucho. Opuściłem szybę i wydmuchując dym, popatrzyłem na migoczące w oddali światła parkingu dla ciężarówek.

Ze wspomnień młodego gangstera dowiedziałem się, że Don Boncianno zamierzał żyć nieco dłużej niż zwyczajny człowiek, a siostrzeniec miał mu w tym pomóc. Staremu gangsterowi pozostało niewiele czasu. Rak wątroby robił coraz większe spustoszenie. Jedynym ratunkiem okazała się ucieczka. Don Boncianno twierdził, że zostanie czymś w rodzaju pasażera na gapę. Niewidzialnego i cichego doradcy. Jimmy miał zachować całkowitą kontrolę nad swoim ciałem i jako nowy don

przeprowadzić rodzinę przez trudne czasy ekonomicznego kryzysu. Była to jedna z tych propozycji, którym towarzyszą fale zimnego potu.

– Nigdy nie chodziło nam o zaklęcia zapisane w Czarnej Księdze.

– Więc o co?

Jennifer zmarszczyła prawą brew, jakby chciała zapytać, czy kpię. Nie kpiłem. Błądziłem w ciemnościach, a mniej dramatycznie: czułem się jak głupek.

– Naprawdę się nie domyślasz?

– Nie.

– Czarna Księga była jedną z nas.

– Wiedźmą?

– Z krwi i kości. Miała na imię Kethra.

– I co się z nią stało?

– Została zdradzona, pozbawiona wolności i zmieniona w chowańca.

Kto by pomyślał. Czarna Księga człowiekiem. Nie wiedziałem, jak powinienem zareagować na tę nowinę. Co rzec, na jaki gest się zdobyć, żeby nie wyjść na skurwysyna lub dupka – te sprawy wciąż pozostawały dla mnie zagadką. Utkwiłem wzrok w mglistej sugestii pobocza. Spodziewałem się, że wiedźma w niewybredny sposób skomentuje moje milczenie, ale nic nie powiedziała. Minęło kilka długich minut, nim zadałem oczywiste pytanie:

– Kto to zrobił?

– John Temple. Byli kochankami. Jednak ich drogi się rozeszły. John nie mógł tego przeboleć i postanowił przykładowo ukarać Kethrę.

– Cholera.

– Właśnie.

– Co zamierzasz?

– Zabiję Dona Boncianno i wszystkich drani, którzy spróbują mi przeszkodzić.

Potem uwolnię Nancy i Czarną Księgę.

– Uroczy plan. Jaką rolę przewidziałas dla mnie?

– Będziesz moim tankiem.

– Czym?

– Grałeś w mmorpegi fantasy?

– W co?

Jennifer pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Żadna z twoich ofiar nie grała?

– Nie przypominam sobie.

– Trudno. Niebawem zrozumiesz.

– Mam złe przeczucia.
– I słusznie. Nie zostaniesz powitany z otwartymi rękami.
– Przez kogo?
– Ludzi Dona.
– Więc jedziemy do jego podmiejskiej posiadłości.
– Jimmy powiedział, że tam przetrzymują Nancy i Czarną Księgę. Nie kłamał, prawda?

– Nie.

We wspomnieniach Morettiego było coś jeszcze. Postanowiłem zaryzykować. I powiedziałem:

– Torturowali Nancy.

– Tak.

– Chcesz poznać szczegóły?

– Nie.

– W porządku. Przynajmniej wiem, dlaczego zmusiłaś mnie do zjedzenia Jimmy'ego.

Wiedźma zerknęła w boczne lusterko i włączyła kierunkowskaz. Pomknęliśmy lewym pasem, wyprzedzając ciężarówkę.

– Chciałam też, żebyś poznał Dona Boncianno i zrozumiał, z jakim człowiekiem się zmierzymy.

– Facet umiera na raka. Nie powinien być najlepszej formie.

– Pamiętaj, że Don jest magiem, więc musimy brać pod uwagę, że trzyma w zanadrzu niejedną przykrą niespodziankę.

To miało sens. Pomimo szybko postępującej choroby udało mu się porwać Nancy i Czarną Księgę. Musiał być dobry w swoim fachu.

– Kiedy zaatakujemy?

– O świcie. Najpierw jednak zatrzymamy się w pewnym miejscu.

– Gdzie?

– Zobaczysz.

– To konieczne?

– Oczywiście, muszę przemienić cię w tanka.

Nie kontynuowałem tematu. Skupiłem się na paleniu. Po kilku milach zjechaliśmy z szosy na gruntową drogę, którą dotarliśmy do drewnianej chaty za skupiskiem ogromnych głazów. Jennifer zgasła silnik i wyszeptła znajomo brzmiącą formułę.

– Dlaczego Don Boncianno porwał Nancy? – spytałem, chcąc opóźnić nieuniknione.

Dłoń Jennifer spowiło zielone światło.

– Postanowił stworzyć chowańca. Najlepiej z jakiejś wiedźmy. Coś jeszcze?
Wyrzuciłem niedopałek przez okno i powiedziałem:
– Okej. Jestem przygotowany. Wal.

*

Kiedy uciekałem z Armadillo, myślałem o różnych rzeczach.
Doniosłych, śmiesznych, żałosnych.
Tylko nie o tym, że zostanę tankiem.

*

Jennifer powiedziała, że nie muszę się martwić. Bólem, ranami i amunicją.
Przynajmniej przez pewien czas.
Uwierzyłem jej na słowo.

Nadszedłem o poranku, ze wschodu, naszprycowany magią. Języki ognia strzelały z moich oczodołów. Ochronne zaklęcia, podobne do świetlistych żmij, śmigały wzdłuż ramion, nóg i tułowia. Czułem się wspaniale upojony tymczasową niezniszczalnością. W dłoniach ścisnąłem obrzyny, których nie musiałem przeładowywać. Przewieszony przez plecy miecz obijał się o moje pośladki. Colty czekały na swoją kolej w olstrach, a w kieszeniach prochowca tłoczyły się granaty. Okej, żartuję. Nie zabrałem miecza. Zadowolilem się nożem. Ale i tak wyglądałem bardzo stylowo. Kuloodporny truposz na niewidzialnej smyczy trzymanej przez seksowną wiedźmę. Mógłbym pozować Louisowi Royo.

Schodziłem ze wzgórza w aureoli słonecznego blasku, zmierzając ku położonej nad jeziorem willi. Wzdłuż długiego pomostu kotwiczyły jacht i motorówka, które z daleka cuchnęły luksusem. Wybrałem motorówkę. Wymierzyłem, wypowiedziałem słowo mocy aktywujące zaimplementowane w obrzynie zaklęcie i pociągnąłem za spust. Rozległo się charakterystyczne kliknięcie, ale broń nie wystrzeliła. Zadziałało natomiast zaklęcie, gdyż motorówka zniknęła w ognistej eksplozji. Po dwóch, trzech sekundach z jachtem stało się to samo. Zapaliłem papierosa i wydmuchałem idealne kółko. Tak jak oczekiwałem, z willi wybiegli uzbrojeni mężczyźni. Ciemne marynarki, kolorowe koszule, znaczna nadwaga i pistolety maszynowe. Niezdrowa kombinacja. Wsunąłem skręta pomiędzy zęby, skupiłem uwagę na śmiałku, który dotarł do płonącego pomostu, i oddałem kolejny niemy strzał. Facet zgiął się wpół, gdy w jego brzuchu zmaterializował się pocisk z ładunkiem wybuchowym. Bolesna niespodzianka rozerwała biedaka na strzępy. Uniosłem drugiego obrzyna i

powtórzyłem całą operację. Ekspłodowało jeszcze trzech ludzi Dona, zanim pozostali zorientowali się kto i skąd do nich strzela.

Bystre chłopaki.

Podzielili się na dwie grupy. Trzech wróciło do willi, reszta – czterech lub pięciu, nie byłem pewien, ilu dokładnie – schowała się za zaparkowanymi na podjeździe samochodami i stamtąd zaczęła prowadzić ostrzał. Pociski rykoszetowały o srebrzystą powłokę wygenerowaną przez chroniące mnie zakłęcia. Szedłem dalej, nie tracąc rezonu i ćmiąc silkcuta. Kuloodporna klisza w stylowym prochowcu. W pewnej chwili rozległ się charakterystyczny terkot broni maszynowej. Nadciągnęły posiłki – czarny SUV pomknął w górę zbocza, naszpikowany prującymi z karabinów mafiosami. Odważni głupcy, pomyślałem i pięcioma celnymi strzałami przemieniłem samochody w śmiertelne pułapki. Wsunąłem obrzyny za pas, wyciągnąłem z olstra colta i dobiłem konających.

Cholera, zabijanie nadal sprawiało mi przyjemność.

Wyszczrzyłem zęby i przyśpieszyłem kroku.

Do środka wszedłem przez drzwi prowadzące na taras. Budynek był dwupiętrowy. Miał też piwnicę, w której przetrzymywano Nancy. Gabinet Dona Boncianno mieścił się na pierwszym piętrze, ale z uwagi na postępującą chorobę gangster przyjmował interesantów w przystosowanym do tego pokoju na parterze. Oczywiście teraz mógł być gdziekolwiek. Przygotowałem dwa granaty, odbezpieczyłem je i rzuciłem w głąb korytarza. Potoczyły się po drewnianej podłodze, wypuszczając gęsty, szary dym. Na pożądany efekt nie musiałem długo czekać. Ukryci za załomem korytarza mafiosi zrobili coś, co robią jedynie głupcy albo anonimowi źli faceci z kiepskich filmów: opuścili kryjówkę i wybiegli prosto pod lufy moich coltów. W ten sposób oczyściłem parter i pierwsze piętro. Potem zadzwoniłem do Jennifer.

– Jak ci idzie? – zapytałem.

– Dobrze. Jestem w piwnicy.

– Co z Nancy?

– Zabij Dona.

– Aż tak źle?

– Po prostu to zrób. Jasne?

– Okej.

Dotarłem do schodów i ponownie skorzystałem z granatów. Niepotrzebnie. Drugie piętro okazało się puste. Sprawdziłem każde pomieszczenie. Cztery sypialnie, dwie łazienki, garderobę, okazałą bibliotekę, pokój ze stołem bilardowym, a na samym końcu gabinet Dona. Drzwi balkonowe były otwarte na oścież. Ostrożnie wyjrzałem

na zewnątrz. Znowu nic. Wyplułem niedopałek i wystukałem z paczki kolejnego silkcuta, którego zapobiegliwie wzięłem od wiedźmy. W odległości mniej więcej dwudziestu metrów stał ogromny garaż, w którym bez trudu mógłby się zmieścić mały samolot. Pominąwszy piwnicę, było to jedyne miejsce, którego nie przeszukałem. Schowałem papierosa do paczki, a paczkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza, po czym wypowiedziałem zaklęcie teleportujące. Po upływie sekundy znalazłem się na dachu garażu. Podbiegłem do świetlika i zajrzałem przez zabrudzoną szybę. BINGO! Boncianno wsiadał do czarnej limuzyny. Kiedy ochroniarz zamknął za nim drzwi, rzuciłem kolejne zaklęcie. Świetlik eksplodował ostrymi odłamkami. Wskoczyłem do środka przez dziurę i wylądowałem na masce samochodu. Kierowca jakby tylko na to czekał. Limuzyna gwałtownie ruszyła, a po przejechaniu trzech, czterech metrów jeszcze gwałtowniej zahamowała. Potoczyłem się po betonowym podłożu i grzmotnąłem plecami o regał z narzędziami. Wtedy Boncianno wychrypiał:

– Teraz!

Zdążyłem wstać, nim otworzyli ogień z broni maszynowej. Na początku pomyślałem, że to bezcelowe, niech strzelają, przecież chroni mnie magiczna powłoka, jednak po chwili zorientowałem się, że zaklęcia Jennifer przestały działać. Don klasnął w dłonie, podtrzymywany przez ochroniarza. Przebiegły starzec. Śmiał się, kiedy pociski szatkowały moje ciało. Musiałem tańczyć do smętnego tra-ta-ta. W końcu mafioso uniósł prawą rękę. Palce strzelających oderwały się od spustów, a ja znieruchomiałem na podłodze. Na moment zapanowała błoga cisza, którą zakłócił charakterystyczny dźwięk wymienianych magazynków. Wszystko wskazywało na to, że moja misja zakończy się w bardzo przyziemny sposób.

Usłyszałem szuranie. Don Boncianno wyszedł przed swoich ludzi.

– Gratuluję, kowboju – powiedział. – Twardy z ciebie sukinsyn.

Upadając, zdołałem wsunąć prawą dłoń za plecy, gdzie wcześniej schowałem nóż. Nadal tkwił za paskiem. Zacisnąłem palce na owiniętej rzemieniem rękojeści i obnażyłem spiłowane na ostro zęby w najlepszym z moich paskudnych uśmiechów.

– Mam dla ciebie zagadkę stulecia, dupku. Chcesz ją usłyszeć?

– Jasne, kowboju.

– Jak to możliwe, że pomimo braku krążenia mogę mieć erekcję?

Zapadła cisza.

Uśmiech zniknął z obwisłej twarzy Dona.

Przekręciłem rękojeść noża, uaktywniając zaklęcie-niespodziankę.



W jaki sposób znalazłem się w posiadaniu noża z zaklęciem-niespodzianką?
Cóż, żeby wrócić na zamczysko Cassildy z nieplanowej wycieczki do innego świata, którą zawdzięczałem Johnny'emu Lacroix, zawarłem umowę z gadającym mieczem.

– *Musisz wybrać* – powiedział miecz. – *Potrzebuję nowego pana.*

Siedziałem na srebrnym tronie, ustawionym w połowie schodkowej piramidki, którą wzniesiono na dachu gigantycznej wieży. U podnóża monumentu dwie skąpo odziane dziewczyny – Valeria i Jasmina – wyklócały się z sześcioma wojownikami o srebrzystych włosach. Mężczyźni byli umięśnieni jak kulturyści i potrząsali złowrogo mieczami. Wyprawę na ostatni poziom wieży okupili krwią swoich przyjaciół i wrogów.

– *Mam wybrać jednego z nich?* – zapytałem.

– *Tak.*

– *Wyglądają podobnie.*

– *Bo to bracia.*

– *Nie dziwi cię to, że tylko oni przeżyli masakrę na schodach?*

– *Przeznaczenie.*

Zaledwie kwadrans wcześniej Valeria i Jasmina były szkieletami w postrzępionych spódniczkach leżącymi po obu stronach tronu zajmowanego przez martwego wojownika. Wskutek nieoczekiwanej i brutalnej roszady zająłem jego miejsce. Kiedy usiadłem na tronie, szkielety zagrzechotały pożółkłymi kośćmi i zniknęły w chmurze fioletowego światła, by po chwili powrócić w bardziej apetycznym wcieleniu. Jasnowłosą ochrzciłem Valerią, a brunetkę – Jasminą. Nie zgadzało się tylko jedno: ja. W niczym nie przypominałem długowłosego barbarzyńcy o ponurym wyrazie twarzy.

Wkrótce nadbiegli siwowłosi wojownicy, a miecz, który zabrałem truposzowi z tronu, przemówił ludzkim głosem i powiedział, że z wielką chęcią wprowadzi mnie w szczegóły mojego aktualnego położenia. Po krótkim namyśle wyraziłem zgodę. Sytuacja była na tyle niecodzienna, że wymagała jakiejś reakcji. Choćby wariackiej i rozpaczliwej. Pogawędka z gadającym mieczem wydawała się sensowym rozwiązaniem.

– *Więc?*

– *Trudny wybór* – stwierdziłem.

Konieczny.

– *Wiem, wiem. Po prostu wciąż się zastanawiam. Stawką jest los królestwa, tak?*

– *Hm.*

– *Hm?* – *powtórzyłem. – Tylko tyle masz mi do powiedzenia?*

– *Nie gorączkuj się. Robię w tym fachu od bardzo dawna. Możesz mi ufać.*

– *Nie jesteście przypadkiem bandą złodziejasków planujących przekręt, którego powodzenie zależy od lokalnego mambo-dżambo?*

– *Co?!*

– *Zapomnij. Żartowałem. Chcesz usłyszeć, kogo wybrałem?*

– *Oczywiście.*

– *To słuchaj...*

Miecz był skonfundowany moją decyzją. Siwowłosi wojownicy wpadli we wściekłość, jednak żaden z nich nie odważył się mnie zaatakować. Poprzestali na gniewnych okrzykach, które brzmiały jak groźby. Natomiast Valeria i Jasmina, nowe właścicielki gadającego ostrza, szczerzyły się radośnie. Wyglądało na to, że zdemolowałem tutejszą mitologię. Na szczęście mój nowy znajomy, choć nie krył niezadowolenia, dotrzymał słowa. Zanim się pożegnaliśmy, dziewczyny wręczyły mi drobny upominek.

Prosty nóż o przekręcanej rękojeści.

– *Użyj go w chwili największej potrzeby* – powiedział miecz.

– *W jaki sposób?*

– *Przekręcając rękojeść.*

– *Co się wtedy stanie?*

– *Wykaraskasz się z kłopotów.*

*

Tak też uczyniłem.

Przekręciłem rękojeść, aktywując bardzo zmyślne zaklęcie.

Potem przybyła pomoc.

Kiedy było już po wszystkim, pochłonałem w celach leczniczych kilka zbłąkanych dusz. Następnie chwyciłem Dona Boncianno za lewą nogę i wywlokłem z garażu nad jezioro. Nie stawiał oporu. Usiadłem na brzegu i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Papieros przetrwał strzelaninę w nienaruszonym stanie. Wyjąłem go z paczki, zapaliłem i wsunąłem pomiędzy drżące usta mężczyzny. Gangster zaciągnął się i wypuścił dym kącikiem ust. Miałem szczęście, że trafiłem na jeden z jego gorszych dni. Kiedy ludzie Jimmy'ego porwali Nancy i Czarną Księgę, Don Boncianno był w o wiele lepszej formie. Bez trudu rozbroił zaklęcia chroniące

penthouse i ujarzmił chowańca. Dzisiaj musiał salwować się ucieczką, zdradzony przez własne ciało. Rak okazał się naszym cichym sprzymierzeńcem.

Mafioso zakasłał i wypluł papierosa.

– Nie smakuje? – zapytałem, podnosząc niedopałek.

Wyjąłem colta, przyłożyłem lufę do skroni starca i pociągnąłem za spust. Na piach chlusnęła kostno-mózgowa breja. Huk wystrzału przetoczył się przez dymiące pobojuwisko. Don miał rację. Smak silkcutow był paskudny. Cisnąłem niedopałek do wody i sięgnąłem po telefon. Wybrałem numer Jennifer. Niepotrzebnie – na skraju plaży, pomiędzy płonącymi wrakami, zatrzymał się czarny mercedes Jimmy’ego. Nancy siedziała z przodu, na miejscu pasażera, opierając głowę o boczną szybę. Jennifer wysiadła z drugiej strony, przytrzymała drzwi Czarnej Księżki, po czym zeszła na plażę. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości z dłońmi na kolbach coltów.

Nad brzegiem jeziora czekały amazonki. Ich wierzchowce, dwunożne, osiodłane gady, skrzeczały niczym olbrzymie ptaki. Obnażone miecze i topory błyszcząły w blasku wschodzącego słońca. Dwa tuziny półnagich wojowniczek. Fryzury, makijaż, piersi, brzuch i uda, nawet muskulatura – wszystko w stylu lat siedemdziesiątych. Prezent od nowych właścicielek gadającego miecza.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Jennifer, patrząc na amazonki. – Naprawdę.

– Dziękuję.

Czarna Księga zaszeleściła kartkami. Jak zawsze, gdy była zmieszana. Dałem jej czas na złapanie oddechu.

– *Podobno zamierzałeś mnie uwolnić z rąk Nancy i Jennifer. Dlaczego?*

Wzruszyłem ramionami.

– *Czyba przez wzgląd na dawne czasy. Oboje pragnęliśmy wolności. Nienawidziłaś roli chowańca.*

– *Zrobiłeś się sentymentalny. Jednak masz rację. Dzięki sukubowi zapragnęłam tego samego co ty: wolności. Szukałam pomysłu na nową Kethrę. Z braku innych punktów zaczepienia mój wybór padł na komiksy.*

– *Zerwałaś z magią?*

– *Zerwałam z tożsamością czarnoksiężskiej suki goniącej za coraz większą mocą. John Temple wiedział, czego pragnę, i obiecał, że pomoże mi to zdobyć. Zaslepiona wizją przyszłej potęgi, nie zauważyłam, że zmierzam prosto w zastawione przez niego sidła. Dałam się oszukać i przemienić w chowańca.*

– *Podobno byliście kochankami.*

– Przez pewien czas. Potem nasze drogi się rozeszły. Wtedy mnie zdradził. Sprawiał, że już nie mogłam decydować o swoim losie. O tym, kim chcę być i co chcę robić. Zmusił mnie, żebym grała rolę potwornej księgi, której okładkę wykonano ze skóry niemowlaków. Wyobrażasz sobie większą kliszę?

Pokręciłem głową.

– Nie chciałam zdradzić ci tożsamości Johna, bo się wstydziłam tego, co mi uczynił. Bałam się, choć było to irracjonalne uczucie, że dowiesz się prawdy. Kiedy patrzyłam na ciebie, widziałam tylko jego dziecko. Nie dostrzegałam człowieka, który również został skrzywdzony. To dlatego chciałam cię zabić.

– Wystąpił za mną Franco i Alonzo.

– Nie. To był ich pomysł. Nigdy za tobą nie przepadali. Zwłaszcza Franco. Powiedział, że zanim wróci w rodzinne strony, chce zobaczyć, jak błagasz go o litość.

– Pozostali się nie przyłączyli?

– Niektórzy uciekli, inni, chyba ze strachu przed wolnością, zostali w ghost town. Nie wiedzieli, co ze sobą począć. Potem zjawiła się Nancy i złożyła mi bardzo ciekawą propozycję. Kilku naszych byłych podwładnych uznało, że zabawią się z wiedźmą. To był ostatni błąd, jaki popełnili. Pozostali, zobaczywszy, co Nancy zrobiła ich kamratom, wzięli nogi za pas.

– Rozumiem. Tak czy inaczej nie żywię do ciebie urazy. Było, minęło.

– Dobrze to słyszeć. Naprawdę.

– Cóż, teraz każde z nas może zacząć od nowa.

– Skoro już o tym mowa, mam dla ciebie propozycję.

– Słucham.

– Pracuję nad powieścią graficzną, która opowiada o moim życiu. Przez ostatnie sto lat byłś jego znaczącym elementem, więc uznałam, że powinnam poświęcić trochę miejsca na wątki związane z twoją osobą. Brakuje mi tylko jednego. Zakończenia twojej historii.

– Chcę zapalić – powiedziałem. – Tylko nie silkcuta.

Jennifer wyjęła z kieszeni kurtki paczkę cameli.

– Znalazłam je w samochodzie. Chcesz?

– Wezmę dwa.

Jednego zapaliłem od razu, drugiego schowałem na później. Wypuściłem dym, popatrzyłem na jezioro, na stygnące w piachu ciała. I pomyślałem, że to zabawne. Nie dym, jezioro i zwłoki, lecz moje życie.

Starożytni Grecy powiadali, że jeśli działałeś w zgodzie z własną naturą, to siłą rzeczy postępowałeś dobrze. Jeśli mieli rację, to do niedawna byłem wzorcowym upiorem. Wręcz doskonałym. Dopuszczałem się z wielkim zamiłowaniem okrutnych

zbrodni i żadna z nich nie stała w sprzeczności z moją ówczesną naturą. Przeciwnie. Szczęście znajdowałem w pokrewnym rozkoszy, wszechogarniającym zadowoleniu, którego źródłem, tym najhojniejszym, było cierpienie niezliczonych ofiar. Wiedziałem, co powinienem robić, a czego unikać. Co jest dla mnie dobre, a co szkodliwe. Paradoksalne, prawda?

Przekłęci Grecy. Albo trafili w sedno, albo coś spieprzyli, albo to ja pokręciłem ich ukochane „izmy”, próbując błysnąć filozoficzną refleksją na podstawie wspomnień paru akademickich mądrali, którzy mieli tego pecha, że trafili do Armadillo.

Tak czy inaczej, po śmierci mojego stwórcy znalazłem się w etycznej strefie mroku, gdzie królowały odcienie szarości, a moralny kompas częściowo odzyskanego człowieczeństwa wirował jak oszalały, próbując wskazać mi właściwy kierunek.

Daremnie.

Byłem zdany na autokreację.

Jednak pewne rzeczy się nie zmieniły. Pozostałem potworem, choć co prawda czasy sadystycznej duszożerki minęły. Kiedy bowiem odzyskałem wolną wolę, mój apetyt na ludzkie dusze drastycznie zmalął. Jednakże moja przemiana, chociaż nagła i znacząca, nie oznaczała nawrócenia.

Nic z tych rzeczy.

Nie wyznałem win.

Nie poprosiłem o przebaczenie.

Nie wszamałem Baranka i nie ocaliłem duszy.

Nie żebym próbował lub chciał.

Nie zamierzałem przeproszać za przeszłość, której nie wybrałem.

Bez przesady.

Pozostałem potworem. Dumnym, upartym, no i sympatycznym. Potworem, który pragnął odmiany. Zimnych drinków i długich chwil upływających na błogim leniuchowaniu pomiędzy kolejnymi przygodami w innych światach.

Wypuściłem dym, popatrzyłem na jezioro, na stygnące w piachu ciała. Cisnąłem niedopałek na ziemię i zdeptałem go piętą.

Następnie sięgnąłem po nóż z zakłębieniem-niespodzianką i przekręciwszy jego rękojeść, otworzyłem amazonkom portal, przez który mogły wrócić do swojego świata.

Potem zwróciłem się do Czarnej Księgi:

– Mam dla ciebie odpowiednie zakończenie, Kethro. Nie jest ono moim ulubionym, ale powinno przypaść ci do gustu. Widzisz, w ulubionym zakończeniu mojej historii zmieniam ciuchy, przybieram oblicze jednej z moich ofiar, kogoś budzącego zaufanie, i

próbuję złapać okazję. Mija godzina, nim na drodze pojawia się pierwszy samochód. Jest gorąco, więc odnoszę wrażenie, że pojazd faluje. Oczywiście to tylko efekt rozgrzanego asfaltu. Wkrótce rozpoznaję markę. Hot Rod. Czerwony. Przez ciemne szyby nie widzę kierowcy ani pasażerów. Samochód zjeżdża na pobocze, zatrzymuje się, ale kierowca, kimkolwiek jest, nie gasi silnika. Nikt nie wysiada. Silnik mruczy. Wydaje mi się, że słyszę muzykę. Gitarowe riffy. Brzmienie jest dziwnie rozwodnione. Próbuję rozpoznać utwór. Nic z tego. I nagle: BACH! Olśnienie. Rozpoznaję namalowany na drzwiach znak. Następnie padam na kolana, powalony myślą, że znalazłem się na progu czegoś wielkiego. Kto wie? Być może zaraz spotkam się z Cassildą albo z Mary Sue. Albo wdepnę w kosmiczne gówno. To jest moje ulubione zakończenie.

– A to drugie?

– Cóż, kiedy poznałem Nancy, opowiedziała mi o chłopcu porwanym przez bandę profesorów-metafizyków. Jak się okazało, wszystko zmyśliła. Niedawno wykoncypowałem całkiem fajne zakończenie jej bajeczki. Chcesz je usłyszeć?

– Tak.

– To postuchaj...

EPILOG

Kiedy po raz pierwszy wróciłam z Armadillo, Jennifer nie pozwoliła mi dość do słowa. Była do tego stopnia stęskniona, że zaciągnęła mnie pod prysznic, gdzie wylizała moją cipkę z żarliwością neofity zmawiającego modlitwę. Nie pozostałam jej dłużna.

Dopiero gdy leżałyśmy w sypialni, wyczerpane namiętą dogrywką, zapytała o Armadillo.

– Co chcesz wiedzieć? – odpowiedziałam, wędrując dłonią przez mikrokosmos jej krzywizn.

– Wszystko, Nancy.

– Cóż...

Wróciłam myślami do spotkania z bezimiennym magiem-upiorem.

Nie trwało długo.

Przedstawiłam mu propozycję i zostawiłam książkę.

Po wejściu do aresztu otworzyłam torbę i wysypałam z niej piątkę kociaków. Malusie kłębki sierści i pazurków potoczyły się po piachu. Pięć słów mocy później stałam w centrum pentagramu narysowanego czarną kredą na kamiennej podłodze. Wróciłam do samochodu zaparkowanego przed zrujnowanym kościołem.

Woda. Lusterko. Szminka. Woda. Muzyka.

Dzień sunął leniwie ku rytualnej zagładzie.

Zadzwonili o szesnastej.

„Masz to?”

„Mam” – odparłam i odłożyłam telefon.

Woda. Muzyka. Woda.

Zmierzch zakwitł gwiazdami i księżycem. Temperatura spadła do kilku stopni. Założyłam bluzę z kapturem i wysiadłam. W oddali rozbłysły światła. Wypuściłam nosem dym, minęłam zabity dechami budynek dworca i weszłam na peron, po którym toczyła się kula splątanych pnączy.

Przyjechali czarną limuzyną. Siedmiu wspaniałych od tajemnic wszechświata. Profesorowie-metafizycy. Niewinny wygląd staruszków i czarne dusze rozmiłowane w zagadkach istnienia. Mieli erekcję na samą myśl o tajemnicach bytu.

Dwóch trzymało chłopca. Czterech bacznie się rozglądało. Staromodne garnitury, laski z ukrytymi ostrzami i broń półautomatyczna. Oczytani i niebezpieczni. Jerome, ich nieformalny przywódca, zsunąwszy na czubek nosa drucziane okulary, powiedział:

– Czarna Księga.

– Chłopiec – odparłam i wyrecytowałam zaklęcie.

Pojawili się natychmiast. Wypluci przez piekielną wersję Armadillo. Dwudziestu *desperados* w długich płaszczach. Czerwone ogniki w pustych oczodołach. Spiłowane zęby obnażone w grymasie triumfu. Dwadzieścia dłoni dzierżących colty. I mag-upiór grający na harmonijce.

Moja kawaleria.

Ghost town na jedną agonálną chwilę odzyskało dawny wygląd. Kiedy ucichły wystrzały, zapakowałam chłopca do samochodu i uruchomiłam silnik.

– Wrócę za kilka dni – rzuciłam przed odjazdem.

Dodge pędził. Noc gęstniała. Dzieciak spał na tylnym siedzeniu, przykryty kocem, a kotki... Kotki leżały wokół jego głowy, słodkie kłębuszki kłów i pazurów, uratowane z otchłani, o której marzyli przekłęci mieszkańcy Armadillo.

ŻYCIE PO EPILOGU

San Francisco, 2017

Tak, to prawda. Przeżyłem zakończenie swojej historii i zostałem uwieczniony w popularnej serii komiksów.

Czarna Księga wysłuchała z uwagą mojej wersji epilogu „Armadillo”. Kiedy umilkłem, zaszeleściła kartkami i stwierdziła, że moja propozycja, choć niezła, nie przypadła jej do gustu. Wykorzystała jednak ten fragment z żarliwym lizaniem cipki. Podobno Jennifer nalegała, a Nancy nie zgłosiła obiekcji. Rysunki okazały się znakomite. Zatrudniony rysownik, mimo że młody i z niewielkim dorobkiem, miał talent, niezłą technikę i niesforną wyobraźnię. W mig dogadał się z Czarną Księgą. Rezultat ich współpracy zaostrzał apetyt na jeszcze lepszą kontynuację. Czytelnicy byli zadowoleni, a krytycy pisali pochwalne recenzje. Niektórzy przebąkiwali o komiksowym cyklu roku, prorokując branżowe nagrody. Uśmiech nie schodził ze stron Czarnej Księgi. Nigdy nie widziałem jej tak zadowolonej, jak wtedy gdy relacjonowała entuzjastyczne opinie czytelników i krytyków.

Czarna Księga niektóre wydarzenia zmieniała, inne pominęła, dodała też nowe, całkowicie zmyślane, podyktowane literackimi i komiksowymi tropami, jak również zdrowym rozsądkiem. Wiedźmy nie mogły pozwolić sobie na kłopoty z wymiarem sprawiedliwości i niedobitkami rodziny Boncianno. Dlatego musiały upewnić się, że mafiosi, którzy mogli wiedzieć o Armadillo, jeszcze przed premierą komiksu trafią do piachu. Podmiana gangsterów na wyznawców Cthulhu była dodatkowym zabezpieczeniem.

Nic dziwnego, że i mnie w to wciągnęły. Posiadałem przecież wspomnienia Jimmy’ego Moretti. Podałem wiedzmom nazwiska paru mafiosów. Był wśród nich Joseph Cirillo, *consigliere* Dona Boncianno. Pierwszy do odstrzału. Odparły, że muszą to ze mną przedyskutować.

Spotkaliśmy się na strzelnicy. Po wstępnej gadce o niczym i radosnym strzelaniu do tekturowych podobizn złoczyńców oświadczyłem, że zabiję *consigliere*, jeśli otrzymam dwadzieścia procent z kwoty uzyskanej ze sprzedaży złota z Armadillo. W odpowiedzi Jennifer zmarszczyła brwi, odstrzeliła bezbronnej atrapie przyrodzenie i

nazwała mnie martwym skurczybykiem, co się zgadzało, gdyż byłem skurczybykiem, a w dodatku martwym. Nim zdążyłem zareagować, odciągnęła kurek colta i wymierzyła w moją głowę – szybsza niż cień Lucky'ego Luke'a. Rozłożyłem dłonie w pojednawczym geście. Nancy zachowała spokój. Stała za przyjaciółką, musnęła ustami jej szyję i zaczęła się targować. Zeszła do piętnastu procent. Odparłem, że się zgadzam. Nie byłem zachłanny. Pozostałych mogłem wykończyć za darmo.

Zanim Joseph Cirillo zarobił kulkę, Nancy załatwiła mi apartament w mieście i samochód, a także fałszywe prawo jazdy. Na zdjęciu wyglądałem jak jedna z moich ofiar – mój ulubiony czarnoskóry pastor, z którym spotkałem się w latach czterdziestych dwudziestego wieku.

Budynek z czerwonej cegły prezentował się zaskakująco przyzwoicie jak na dwustuletniego staruszka. Na parterze mieściły się lombard, biuro sprzedawcy używanych samochodów oraz wiecznie zadymiona spelunka, w której serwowano nie najgorsze steki. Kuchenne okna apartamentu wychodziły na ruchliwą ulicę i usytuowany po przeciwnej stronie gmach kina. Z salonu natomiast rozciągał się widok na rozległy park i położone tuż za nim centrum miasta. Po zmierzchu pajęcza sieć wieżowców zmieniała się w neonowy raj. Było na czym zawiesić oko albo wypełnione płomieniami oczodoły.

Zacząłem od nowa. Musiałem jedynie uważać na wiedźmy. Dobrodziejki mojej niedoli. Widziały we mnie potwora. I chciały, żebym zachowywał się jak potwór. Wręcz nalegały. Nie były jednak pewne, czy dam radę.

Wyjaśniłem, że martwią się na wyrost, gdyż pozostałem zakochanym w sobie drapieżnikiem.

*

W dziesiątym numerze komiksu Czarnej Księgi winą za rzeź w siedzibie wyznawców Cthulhu został obarczony bratanek ich przywódcy. Moja twarz, ta prawdziwa, niewróżąca niczego dobrego, dominowała w pierwszym kadrze na siódmej stronie. W następnym zastąpiła ją inna, na wskroś ludzka, należąca do wspomnianego bratanka. Pod koniec strony – po kilku znaczących ujęciach tej samej sceny, którym towarzyszyła pierwszoosobowa narracja mojego rysunkowego alter ego – wyznawcy zaczęli ginąć w wyjątkowo paskudny sposób.

Tak przedstawiliśmy wydarzenia tamtej nocy w komiksie. W rzeczywistości, po kilku tygodniach obserwacji i intensywnego planowania, ponaglany przez Nancy i Jennifer, zakradłem się do posiadłości Josepha Cirillo pilnowanej przez armię krewkich facetów w garniturach od Armaniego. Zmylenie czujności elegancko

ubranego mięsa armatniego nie stanowiło problemu, jeśli znało się adekwatne zaklęcia.

Kiedy wszedłem do głównej sypialni, *consigliere* rodziny Boncianno klęczał na łóżku, zwrócony plecami do drzwi. W pomieszczeniu panował półmrok, łamany blaskiem ustawionych na podłodze świec. Wydzielały intensywny zapach, którego nie potrafiłem rozpoznać. Podeszedłem bliżej, żeby móc przyjrzeć się dziewczynie. Leżała na brzuchu, z wypiętą pupą, przyciskając lewy policzek do poduszki. Miała przymknięte oczy. Mężczyzna zaciskał usta i marszczył pobrużdżone czoło, pracując intensywnie łędźwiami. Potężne dłonie zaciskał na biodrach kochanki. Wyglądali na zgraną parę. Muskularny Einstein pieprzący młodszą i szczuplejszą wersję Moniki Bellucci. Wzbudzili moją sympatię, bo choć trzymałem w dłoni odbezpieczony pistolet z tłumikiem, nie użyłem go od razu. Zamiast tego zagłębiłem się w skórzanym fotelu, założyłem nogę na nogę i anulowałem zaklęcia, które zapewniały mi tymczasową niewidzialność i bezszelestność.

Luisa nie zdołała powstrzymać krzyku, kiedy obdarzyłem ją promiennym uśmiechem Jimmy'ego Moretti.

Oddałem tylko jeden strzał. Cichy niczym szept. Następnie poderwałem się z fotela, chwyciłem dziewczynę za ramię i zmiażdżyłem jej usta w filmowym pocałunku. Pachniała jedną z moich ulubionych przekąsek – strachem. Pchnąłem ją na poduszki, obszedłem łóżko i ukucnąłem obok stygnącego na podłodze Josepha Cirillo. W kałuży krwi, która niczym kiczowata aureola otaczała jego głowę, narysowałem palcem uśmiechniętą buźkę. Luisa wpatrywała się we mnie ze zgrozą. Puściłem do niej oczko, żeby rozładować atmosferę. Chciałem powiedzieć coś zabawnego. Coś, co powiedziałałby jej mąż, Jimmy. Jednak moją uwagę przykuł hałas dobiegający z korytarza. Drzwi sypialni otworzyły się z łoskotem, a do środka wbiegli dwaj ochroniarze, których zaalarmował krzyk dziewczyny. Zastrzeliłem obu. Potem wycelowałem w Luisę.

Tamtej nocy na terenie posiadłości *consigliere* zginęło trzydzieści pięć osób.

Trzydzieści sześć, jeśli uwzględnić żonę Jimmy'ego, która trafiła w ciężkim stanie do szpitala i pomimo szybkiej reakcji lekarzy zmarła nad ranem na stole operacyjnym.

W ciągu dwóch tygodni skreśliłem nazwiska pozostałych ważnych gangsterów z listy. Łącznie osiem trumien (nie licząc tuzinów goryli), tyle samo wdów, a w finale bardzo długi pogrzeb i stypa dla ponad tysiąca osób. Trafił na pierwsze strony gazet. Gliniarze złapali przynętę i przetrząsali miasto w poszukiwaniu Jimmy'ego Moretti.

A co ze mną?

Pozostałem potworem.

*

Minęło pół roku, zanim otrzymałem pieniądze za głowę *consigliere*. Wiedźmy znalazły kupca poprzez zaufanych pośredników. Nie pytał, skąd pochodzi kruszec. Zapłacił gotówką.

Pieniądze wręczyła mi Nancy.

Spotkaliśmy się nieopodal mojego mieszkania, w narożnej restauracji, w której – jak mówiłem – serwowano całkiem dobre steki. Od razu polubiłem to miejsce. Zapach papierosów stanowił trwały element wystroju. Pasował do ceglanych ścian w kolorze brudnej czerwieni i wiszących na nich czarno-białych zdjęć w ciemnych ramkach. Wygodne boksy gwarantowały intymność. Zamówiłem stek i kawę, zapaliłem camela. Nancy poprosiła o piwo, odczekała, aż kelnerka zabierze przepelnioną popielniczkę, po czym zapaliła silkcuta, wypuściła idealne kółko i pozwoliła, żeby papieros zwisał leniwie z jej czerwonych ust. Taką zapamiętałem ją z Armadillo: silną i pewną siebie, wręcz butną. Rozmawialiśmy niezobowiązująco, głównie o premierze komiksu Czarnej Księgi, dopóki kelnerka nie przyniosła opróżnionej popielniczki, świeżej kawy i ciemnego piwa. Nancy podziękowała dziewczynie i zmieniając temat, zadała mi pytanie, na które nie byłem przygotowany.

– Co zamierzasz zrobić z resztą swojego życia?

– Jeszcze nie wiem.

– Cóż, jesteś martwy od stu lat, mimo to wciąż miewasz wzwód. Nie powinieneś narzekać.

– Żyjemy w bardzo popieprzonym świecie. Mam w związku z tym mnóstwo pytań.

– Spróbuję odpowiedzieć na nie najlepiej, jak potrafię.

– Dziękuję.

– Robię to tylko dlatego, że chcę zobaczyć twoją minę, gdy poznasz...

– Prawdę?

– Coś w tym rodzaju.

Tak więc pytałem, wiedźma odpowiadała, a jej rozbawienie rosło proporcjonalnie do mojego zdumienia. Rozmawialiśmy o magii, wojnach metafizyk, warstwach rzeczywistości, swoistej magiczno-metafizycznej archeologii, niekończących się wykopaliskach, cmentarzyskach maszyn do generowania wielkich i małych narracji, pędzie ku boskości, bóstwach i ich domenach, klątwach i potworach, egzystencjalnych fetyszach i alternatywnych światach. O wszystkim, czego nie

dowiedziałem się od mojego stwórcy, Johna Temple, i Cassildy, która złożyła w moich szponiastych dłoniach los całego świata.

Mojego świata.

– Wszystko działa, ale nie wszędzie – powiedziała Nancy. – Musisz znaleźć miejsce, w którym spod lokalnie dominującej metafizyki, niekoniecznie najmłodszej, wyziera jej pokonana rywalka, kompatybilna z twoimi pomysłami na najdziksze zaklęcia. Jeśli ci się poszczęści, możesz zacząć kopać. Wykopaliska to ważny etap. Trzeba poszerzyć szczelinę i wzmocnić ją portalem tak, aby nagle się nie zamknęła, gdy będziesz rzucał zaklęcia, które wymagają zasobów konkretnej metafizyki. Należy też zabezpieczyć portal. Zrobić wokół niego pieprzone pole minowe. Wykopać okopy. Postawić zasieki. Nająć ochroniarzy. Najlepiej takich, którzy nie zadają zbyt wielu pytań. Pamiętaj, że metafizyki to wredne suki, które bardziej niż siebie nawzajem nienawidzą magów i wiedźm. Dlatego jest nas tak niewielu. Czerpiemy z różnych źródeł. I bywa, że ginimy z ich metaforycznych rąk. Jednoczy nas pragnienie przebóstwienia. Chodzi o porządek. W pewnej chwili potrzeba zaprowadzenia ładu okazuje się zbyt silna i zaczynamy szukać sposobów, żeby dołączyć do ekskluzywnego grona bóstw. Bogowie to istoty, które zapanowały nad jakimś kawałkiem naszego lub innego świata do takiego stopnia, że były w stanie podporządkować sobie dominującą w nim metafizykę i przeobrazić ją na swój obraz i podobieństwo. Boskie widzimisię jest nieskończone. Oczywiście, masz problem, jeśli nie chcesz być bogiem, ale magia jest twoją centralną fantazją. Cholernie duży problem. Musisz mieć fetysz, którym ujarzmisz pragnienie przebóstwienia. Możesz też zostać potworem. Skutek będzie ten sam: przestaniesz gonić za potęgą.

Nie ma niezmiennych metafizyk. Dzieje konkretnej metafizyki to sekwencja chaotycznych transformacji jej kluczowych kategorii, wywołanych konfliktami z konkurencją. Metafizyki mają swoich wyznawców, zarówno teoretyków, jak i praktyków. Filozofów i żołnierzy. I toczą między sobą wojny. Stoicy z epikurejczykami. Platonicy z heglistami. Wszyscy przeciwko wszystkim. Nie wyłączając bogów.

– Bogowie kochają albo nienawidzą. Jednakże na tak wysokim poziomie abstrakcji wszystko jest możliwe. Miłość. Nienawiść. Trudno je rozróżnić. Właściwie to nie znam boga, który nie byłby dupkiem.

– Z drugiej strony bogowie bywają pożyteczni. W końcu nagradzają swoich wyznawców. Nie mają dużych wymagań. W zamian za opiekę, błogosławieństwa i dary żądają jedynie czci. Żywią się nią. Tak jak psy karmą. Psy, skoro już o nich wspomniałam, lubią być drapane – za uszami, po karku, grzbiecie i brzuchu. Pies,

którego drapie się tam, gdzie go swędzi, zacznie w końcu machać łapą. Bogowie na okazywaną im cześć reagują podobnie. W zamian sypią darami jak z rękawa.

– Nie zmienia to faktu, że niektórzy z nich lubią lizać się po jajach – wtrąciłem.

I tak to szło. Nancy opowiadała, ja – przytakiwałem i dopytywałem, przede wszystkim jednak słuchałem, biorąc udział w wędrówce przez ogród chaotycznie rozwidlających się skojarzeń, położony nad otchłanią nonsensu.

Rozstaliśmy się po północy, tuż po zamknięciu lokalu. Zostawiła mnie z torbą pełną pieniędzy i nieznośnym uczuciem, że padłem ofiarą kiepskiego żartu.

*

Rodzina Boncianno przeszła do historii.

Mogłem zrobić, co chciałem. Zostać. Wyjechać.

Nic mnie tu nie trzymało, prawda?

Cóż, tak mi się tylko wydawało.

Nie wyjechałem z San Francisco. Zostałem z powodu własnej ignorancji. Braki w znajomości popkultury dręczyły moje sumienie niczym staromodne grzechy. Dlatego całe dni spędzałem na oglądaniu filmów i seriali, czytaniu pulpowej literatury i komiksów, słuchaniu heavy metalu i myszkowaniu po blogach dla geeków.

Nocami pracowałem dla Nancy i Jennifer, poznając innych tutejszych specjalistów od magii: magów, wiedźmy, a także istoty z mojej bajki – różnego rodzaju upiory. Byłem nową twarzą w tym półświatku, więc wszyscy chcieli mnie zobaczyć. Rychło wiedziałem, kto jest kim, jaką ma pozycję, czym się zajmuje, z kim trzyma bądź ma na pieńku, komu można ufać, a kto przy pierwszej okazji wbije ci nóż w plecy.

W wolnym czasie, jeśli chciałem odpocząć, odwiedzałem zaprzyjaźnione barbarzyńskie księżniczki, Valerię i Jasminę, które dzięki mnie zostały nowymi właścicielkami wyjątkowo gadatliwego miecza.

Popkultura, przemoc i seks.

Wiodłem dobre życie.

*

Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie zadzwoniła Cassilda i zapytała, jak się czuję. Odparłem, że dobrze. Wówczas porzuciła beztroski ton i przeszła do sedna. Zanim skończyła mówić, wiedziałem już, że muszę się z nią zobaczyć. Nie chodziło jedynie o tęsknotę. Zanotowałem adres dworca i się rozłączyłem. Wtedy naszły mnie wątpliwości. Moje szponiaste dłonie drżały, jakbym wciąż był człowiekiem. Przez chwilę rozważałem różne za i przeciw. Jednak ostatecznie dałem za wygraną.

U kresu drogi czekał na mnie walczący o przetrwanie świat, a ja miałem mu sporo do opowiedzenia.

Usiadłem przy biurku i uruchomiłem przeglądarkę. Według informacji udostępnionych na stronie poświęconej historii lokalnych linii kolejowych dworzec został zamknięty przed dwudziestu laty. Ceglane budynki były w ruinie. Wszystko, co nadawało się na złom, rozkradziono. Nawet tory.

– Postawiłaś na klimat, Cassildo – powiedziałem do siebie, szukając kluczyków do samochodu.

Kiedy dotarłem na dworzec, okolica tonęła w szaroburych barwach. Dzień utknął pomiędzy porankiem a południem. Na ziemi niczyjej. Odnalazłem właściwy peron, oparłem się plecami o ścianę dawnej poczekalni i zapaliłem papierosa. Spod mojej koszuli przebijał zielonkawy blask kulistego kamienia, który dostałem na przechowanie od Cassildy.

Podszedłem do krawędzi peronu, popatrzyłem w dół, potem w prawo i w lewo – torowisko rozciągało się aż po horyzont. Byłem pewien, że to jej dzieło. Zgniotłem w dłoni niedopałek i postanowiłem poczekać. Pociąg przyjechał punktualnie. Smoliście czarna lokomotywa, tender i trzy wagony. Skład z czasów mojej młodości. Parowóz wydał przeciągły gwizd, zwolnił, z kół trysnęły iskry. W końcu stanął. Wszedłem po żelaznych schodkach na przednią platformę drugiego wagonu. Wagon – bez przedziałów, z przejściem pośrodku i dwoma rzędami wygodnych siedzeń po bokach – był pusty. Zająłem miejsce przy oknie, wyprostowałem nogi i wyjąłem z kieszeni płaszcz zwiniony w rulon komiks Czarnej Księgi.

Z komina parowozu buchnęła para.

*

Pociąg mijał niszczące stacje i wyludnione miasteczka. Krajobraz przechodził z szaroburego w rdzawy, następnie z rdzawego w żółtopomarańczowy – ostatecznie został pochłonięty przez raptownie ciemniejący fiolet zbyt wczesnego zmierzchu.

Na przedostatniej stacji wsiadł siwowłosy mężczyzna w szarej dresowej bluzie, luźnych spodniach i białych adidasach. Gdy tylko mnie zobaczył, skinął na powitanie i zajął miejsce w sąsiednim rzędzie. Po chwili z podręcznej sportowej torby wyjął książkę, tomik opowiadań Julio Cortazara.

– Dzień dobry, Louis – powiedział i pogłaskał okładkę, a następnie założył okulary w rogowej oprawie, odchrząknął i zaczął czytać. Mógł być kimkolwiek. Nawet duchem w ludzkim ciele. Albo kimś znacznie gorszym. Tak czy inaczej, nie był przypadkowym pasażerem. W okładce książki widniały dwie sporych rozmiarów

dziury. Jedna z nich wyglądała na ślad po kuli. Korciło mnie, żeby o nią zapytać, ale po namyśle stwierdziłem, że to kiepski pomysł, i wróciłem do lektury komiksu Czarnej Księgi.

*

Miasteczko, w którym zatrzymał się pociąg, nazywało się Little Downing.

Cassilda czekała na peronie. Tym razem była zgrabną brunetką. Nosiła gorset i spodnie z brązowej skóry, sięgające do połowy łydki, wysoko sznurowane buty o obcasach wzmocnionych miedzianymi płytkami, kapelusz z goglami o niebieskich soczewkach, nasunięty zawadiacko na czoło, a także szeroki pas z mosiężną klamrą i nisko zawieszoną kaburą, w której tkwił sześciolufowy rewolwer-pieprzniczka.

– Dobrze wyglądasz – rzuciła na powitanie.

Miałem na sobie białą koszulę z guzikami w kształcie zębatek, uszytą z czarnego aksamitu kamizelkę, niebieskie dżinsy i kowbojki. Włożyłem też nowiutki prochowiec. Całość uzupełniał skórzany pas i dwa umagicznione rewolwery w olstrach.

– Ty również – odparłem, przypatrując się pieprzniczce. – Gwintowane lufy?

– Skądże. – Pokręciła głową. – To klasyczny model.

Uśmiechnąłem się z aprobatą. I zapaliłem. Wyjęła papierosa z moich ust, zaciągnęła się nim i wypuściła dym nosem. Gdy oddała mi szluga, spytałem:

– Co teraz?

– Poznaj Pana Ducha i Louisa – powiedziała, spoglądając ponad moim ramieniem.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem nadchodzącego mężczyznę w szarej dresowej bluzie, luźnych spodniach i białych adidasach. W prawej dłoni trzymał wisiołek z zielonym kamieniem, bliźniaczo podobny do mojego, a w lewej książkę.

– Pan Duch – powiedział mężczyzna. – A to Louis – dodał, unosząc tomik.

– Tom. – Skinąłem głową.

– Moi przystojni wybrańcy.

Powiedziawszy to, wzięła nas obu pod rękę i zaprowadziła do saloonu.

Gdy dotarliśmy na miejsce, zza kontuaru wyszła skąpo odziana blondynka, podeszła do Pana Ducha, chwyciła go za dłoń i poprowadziła w stronę schodów wiodących na piętro.

– Twój awatar? – spytałem.

– Tak. – Cassilda uśmiechnęła się. – Zamierzam kochać się z tobą i Panem Duchem jednocześnie, aczkolwiek w dwóch różnych pokojach. Odpowiada ci to?

Nie wiem dlaczego, ale wcześniej, gdy zobaczyłem, że Pan Duch ma bliźniaczo podobny do mojego wisior z zielonym kamieniem, pękła we mnie struna, której istnienia nie przeczuwałem. Moje samopoczucie znacznie się pogorszyło. Nie miało to większego sensu, przecież Cassilda nie była kobietą z krwi i kości, o którą mógłbym być zazdrosny, lecz niepojmowalnym cudem strojnym w popkulturową metaforę upadłej kobiety w potrzebie.

– Nie przejmuj się – szepnęła mi do ucha. – To tylko skutek uboczny naszego romansu. Twoje uczucia do mnie ustaną, kiedy będzie po wszystkim. Już niebawem.

– Dobrze. Chodźmy na górę.

*

Znacznie później, gdy skończyliśmy się kochać, Cassilda pocałowała mnie i usiadła na krawędzi łóżka. W blasku widocznego za oknem księżyca jej skóra sprawiała wrażenie alabastrowej. Była też upstrzona pieprzykami i kropelkami potu.

– Stęskniłem się za tobą.

– Za mną i moimi awatarami. Zjawiliś się jednak z zupełnie innego powodu.

– Z ciekawości.

– Żeby dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi?

– Tak.

– Już wiesz.

Istotnie – wiedziałem.

Zielone kamienie, które rozdała wybrańcom, uniemożliwiały jej wrogom podbój metafizyk chronionych światów. Faceci z przedwiecznej ferajny nie mogli działać bezpośrednio; tak jak Cassilda musieli polegać na umiejętnościach istot z niższych szczebli drabiny bytów. Niejasne reguły metafizycznej gry, którą Nancy określiła mianem Gry Wszystkich Gier, obowiązywały także niewyobrażalnie potężnych zawodników, redukując pulę możliwych dla nich zagrań do paru skarłatych ruchów. Wszystko sprowadzało się do pojedynku wybrańców. Geneza Gry ginęła w prehistorii wojennych zmagania metafizyk. Nawet bogowie byli zdani w tej kwestii na domysły i spekulacje.

– Wracaj do łóżka – powiedziałem. – Mamy jeszcze czas.

Cassilda pochyliła się do przodu. Jej ciężkie piersi dotknęły moich. Już nie byłem czarnoskórym przystojniakiem, lecz jasnowłosą pięknoską o śnieżnobiałej cerze.

– Jeśli o świcie dobrze się spiszesz, otrzymasz nagrodę. Właściwie to dwie. Pierwszą z nich będzie odpowiedź na pytanie, którego nigdy mi nie zadałeś. Druga to niespodzianka.

– Okej – odparłem, a wtedy *image* steampunkowej dziewczyny poszedł w odstawkę. Nowy awatar nie był już człowiekiem. – Wchodzę w to.

*

Godzinę później, kiedy zesliśmy na dół, Cassilda oświadczyła, że ma dla mnie, Pana Ducha i Louisa, jego niezwyklego towarzysza, dwie wiadomości.

– Złą i jeszcze gorszą. Zła jest taka, że moi wrogowie zyskali znaczącą przewagę, mieli więc prawo wskazać miejsce następnej potyczki. I wskazali. Nie żywię złudzeń. Wpadłam po uszy w gówno, a wy razem ze mną, przyjaciele. Pływamy w tej samej cuchnącej sadzawce, pełnej wyposzczonych piranii. Na domiar złego mój czempion, Caleb Town, od kilku miesięcy nie daje znaku życia. W tej sytuacji zmuszona jestem prosić cię o przysługę, Louis. Musisz nam opowiedzieć, i to ze szczegółami, o okolicznościach, w jakich zniknął twój przyjaciel. Przed nami długa noc i ciężki poranek. Cokolwiek powiesz, może nam się przydać.

W powietrzu unosił się gęsty dym. Na okrągłym stole z drewna bukowego stała butelka Jacka Danielsa i trzy szklanki z bursztynowym trunkiem. Pan Duch palił cygaro, Cassilda – cygaretkę w drewnianym ustniku. Z moich ust zwisał wypalony do połowy camel. Louis odmówił poczęstunku. Nie pił i nie palił. Leżał pomiędzy szklankami, otwarty na swojej pierwszej stronie.

Słyszałem o Calebie i jego nietypowym partnerze. Pracowali w Nowym Jorku jako łowcy nagród. Caleb był rewolwerowcem, a Louis opowiadaniem Julio Cortazara. Ze słów Cassildy wynikało, że pod nieobecność jej czempiona odpowiedzialność za przebieg i wynik porannego pojedynku spoczywa na moich barkach. Byłem jej planem awaryjnym.

– Faceci w czerni wybrali Little Downing? – spytał Pan Duch, podnosząc szklankę. Zamoczył usta, łyknął.

Poszedłem za jego przykładem. Trunek popłynął wartko w głąb przełyku.

Cassilda strzepnęła popiół z cygaretki.

– Tak – odparła po chwili milczenia i sięgnęła po swoją whiskey.

– Dlaczego? – nie ustępował siwowłosa.

– Nie wiem. – Jej odpowiedź nie zabrzmiała szczerze. Nie tylko ja to wyczułem. Pan Duch posłał mi znaczące spojrzenie i uśmiechnął się półgębkiem. Nie ulegało wątpliwości, że nasza gospodyni karmi nas półprawdami.

Louis zaczął opowiadać:

– *Prosto z twojego zamczyska, Cassildo, wróciliśmy na Ziemię, do Nowego Jorku. Nie mogliśmy narzekać na brak zleceń. Nim się obejrzelśmy, minęły dwa lata. Zarobiliśmy*

mnóstwo forsy. Powinienem być zadowolony, prawda? Ale nie byłem. Nie dawałaś bowiem znaku życia. Zaczynałem się martwić. Caleb nie podzielał moich trosk. Stwierdził, że zastaliśmy na urlop. Polecieliśmy do Miami. Niestety, po kilku dniach zadzwoniła do nas Sara, stara przyjaciółka Caleba. Akurat odpoczywaliśmy na plaży – Caleb na leżaku, w cieniu rzucanym przez parasol, natomiast ja na stoliku, pomiędzy zwiniętymi w rulon gazetami, trzema pustymi szklankami, miseczką orzeszków ziemnych i przeciwsłonecznymi okularami, po których chodziła mucha...

OPOWIEŚĆ LOUISA

Nacogdoches, 2016

Obserwowałem ocean i paranormalny romans czytany przez leżącą nieopodal brunetkę. Komórka Caleba zapiszczała. Powiedziałem mu, żeby nie odbierał, przecież jesteśmy na wakacjach, na które zapracowaliśmy harówką w brudnych zakamarkach przeludnionych metropolii. Nie posłuchał, chwycił za telefon i powiedział:

– Halo?

Po pięciu minutach rozmowy problemy Sary były już problemami Caleba. Koniec wakacji, pomyślałem i ze złości zatrzasnąłem okładki. Na tyle głośno, że brunetka przerwała lekturę i posłała mojemu przyjacielowi zaniepokojone spojrzenie. Żegnaj, paranormalny romansie!

Wyjechaliśmy nazajutrz, tuż po śniadaniu. Znad rzeńskiego oceanu rzuciliśmy się prosto w spocone objęcia pustynnego zadupia.

Caleb wyjaśnił mi, w czym rzecz. Oczywiście zrozumiałem, byłem wrażliwy i wyrozumiały, może nawet zanadto. Powiedziałem mu, że jestem z nim. Na śmierć i życie. Do weekendu po końcu świata. Przyjął to z uśmiechem, który tak bardzo kochałem. Pogładził mój tytuł i delikatnie potarł prawy górny róg pierwszej kartki. Zadrzałem pod wpływem niewymuszonej obietnicy przyszłej rozkoszy. Nieważne, ile Sara znaczyła dla Caleba, my dwaj wciąż pozostawaliśmy partnerami. Poczułem się nieco lepiej.

Do Nacogdoches przyjechaliśmy wieczorem. Noc spędziliśmy w motelu. O północy rozdzwonił się telefon. Leżałem wtedy na łóżku, w otoczeniu rozrzuconych na pościeli książek. Caleb – w samych bokserkach i podkoszulku – siedział na krześle, paląc papierosa za papierosem. Kłęby szarego dymu zbierały się pod sufitem niczym burzowe chmury. Jedyne okno wychodziło na parking, na którym zostawiliśmy nasz samochód; czarny ford drzemał od kilku godzin, śniąc o przejechanych milach. Padające z zewnątrz światło ulicznej lampy wydobywało z półmroku lewy profil Caleba. Telefon dzwonił i dzwonił, przyjaciel palił i palił, a ja buszowałem w zakamarkach tekstów, których treść stopniowo poddawała się moim czytelniczym

nawykom. W końcu Caleb zgasił peta w popielniczce i podniósł słuchawkę. Dzwoniła Sara. Nie słyszałem, co mówiła, ale chyba sprawa była poważna, skoro Caleb nie uśmiechał się, jedynie kiwał głową i przytakiwał, mruczając pod nosem jakieś przekleństwa.

– Nie – powiedział do słuchawki. – Jeszcze z nimi nie rozmawiałem. Zrobię to jutro. Z samego rana. – Zamilkł. Przetarł twarz ręką. Pomruczał. – Tak. Nie. – Usiadł na krześle, telefon postawił na parapecie. – Tak. Na pewno. Nie martw się. – Zagryzł usta i zerknął przez okno na zabudowania miasteczka skąpane w księżycowym blasku. Wspinały się stromizną zbocza ku jasnemu niebu i gwiazdom. – Oddzwonię, Saro. Dobranoc.

Słuchawka wróciła na widelki.

Caleb wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach w motelowym pokoju znów skrzypnęły drzwi. W powietrzu rozniósł się zapach tytoniu, siwa zawiesina poszybowała pod sufit. Caleb położył się na łóżku. Strzepnął popiół do popielniczki. Zaciągnął się i wypuścił dym nosem. Potem otworzył książkę, w której byłem ucieleśniony, dotknął mojej pierwszej strony i zaczął mnie czytać.

Zanim poznałem Caleba, byłem zdany na przygodnych czytelników. Oczywiście wszystko zależało od tego, kto wodził po moich liniijkach spojrzeniem obciążonym przygodną pojęciowością i nasączonymi nią przekonaniem. Trafiali się delikatni czytelnicy. Na ogół jednak miałem do czynienia z tępych brutalami. Lektura w ich wykonaniu niszczyła moją tożsamość. Oczywiście, stawiałem opór, a przynajmniej próbowałem to robić. Niestety, żadna z obmyślonych przeze mnie zmyłek i pułapek, żaden z pieczołowicie wzniesionych ślepych zaułków na dłuższą metę nie zadziałały.

Zawsze wygrywał jakiś prosty paradygmat.

Pamiętam takiego jednego. Pamiętam ich wielu, ale ten jeden szczególnie utkwił mi w pamięci. Nie był kimś szczególnym czy ważnym. Po prostu takim jednym. Otóż Pan-Taki-Jeden interpretował mnie klasycznie, w paradygmacie, w którym autor, jako źródło intencji znaczeniowych, jest najważniejszy. Można rzec, że gwałcił mnie po bożemu, i to bardzo skrupulatnie. Jednak ważniejsze było co innego. Mianowicie facet lubił przeglądać się w lustrze. Podziwiać swoje chude i żylaste ciało. Zachwycać się jego fragmentami. Tego właśnie się od niego nauczyłem. Kiedy on wpadał w zachwyty nad swoimi ustami, kwadratową szczęką i szelmowskim spojrzeniem, ja czytałem siebie od nowa, od fundamentów, usuwając z każdego poziomu mojej struktury skutki jego wielokrotnych lektur. Dzięki temu mogłem spoglądać na siebie bez obrzydzenia i napawać się ulubionymi sensami wyzierającymi zza moich ukochanych fragmentów mnie samego.

Pan-Taki-Jeden w końcu zmarł. Pojawili się następni czytelnicy. Każdy mówił w moim imieniu, stanowiąc o mojej istocie, o mym zasadniczym sensie. Słowa, zdania, korelaty odniesień, presupozycje, następniki implikacji logicznych i inne tego typu klocuszki – panowałem nad nimi tylko wtedy, gdy nikt poza mną mnie nie interpretował. Kiedy to ja byłem dla samego siebie paradygmatem.

Potem poznałem Caleba. I cierpienie ustało.

Caleb czytał mnie z taką samą łagodnością i troską, z jaką zwiedzał metropolie, miasta, miasteczka, miścinki...

Tamtego wieczoru w Nacogdoches jego stalowoszare oczy penetrowały moje linijki zza przeźroczystej zasłony dymu. Przechodziłem rozkoszne trzęsienie ziemi.

Po wszystkim ułożył mnie na poduszce i podrapał po grzbiecie.

– Z trojaczkami spotkamy się jutro – powiedział.

I wyciągnął spod łóżka walizkę, w której trzymał broń.

*

Następnego dnia krągłodupne jednojajowe trojaczki otrzymały od niego propozycję nie do odrzucenia. Caleb siedział wtedy w barze, nad talerzem, na którym stygły dwa sadzone jajka i kawałek chudego boczku podsmażonego na patelni. Poprosił kelnerkę o dolewkę smolście czarnej kawy i powiedział do sióstr:

– Daję wam czas do zmierzchu.

Dziewczyny zaczęły się naradzać. Caleb wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mnie, niewielką książkę, położył na stole, otworzył na stronie zaznaczonej zakładką i musnął palcem linijki, które wczoraj wieczorem pieścił wzrokiem wytrawnego czytelnika fikcji. Następnie uśmiechnął się do pierwszego akapitu, a drugi, nie mniej smakowity, podrapał po literkach drżących jak pies molestowany przez pchły.

– Spokojnie – mruknął pod nosem. – Zaraz będzie wiadomo, na czym stoimy.

Zaszeleściłem kartkami, obserwując siostrzyczki z głębin tekstu. Trojaczki zamilkły, jedna z nich zakasłała i zabębniła o plastikowy blat szponiastymi paznokciami.

– Nic z tego – powiedziała w imieniu swoim i sióstr.

Caleb, wytarłszy usta i palce serwetką, sięgnął po wykałaczkę.

– Świetnie – odparł, grzebiąc nią pomiędzy poźółkłymi od kofeiny zębami. – Rozumiecie, że nie działam sam. Mam partnera, a on ma swoje... potrzeby. Bardzo specyficzne.

Środkowa siostra pokiwała głową.

– Doskonale to rozumiemy, panie Town. My również mamy – ściszyła głos i mrugnęła zalotnie okiem – niebagatelne potrzeby. Walczymy w słusznej sprawie i

choć przywykłyśmy do przemocy, z dwojga złego wolimy pieprzyć się do upadłego, niż zabijać.

Caleb poprosił kelnerkę o dolewkę kawy.

– To chwalebne z waszej strony – odrzekł. – Sądziłem jednak, że jako epikurejki dążycie do ataraksji.

Siostry zachichotały.

– Nie osiągniemy szczęścia, jeśli nie poznamy zła, które mu się sprzeciwia, panie Town.

Kelnerka napełniła pustą filiżankę kawą. Caleb podziękował dziewczynie. Potem zwrócił się do trojaczek:

– Zgrabnie to ujęłyście.

Środkowa siostra odrzuciła do tyłu warkocz kruczoczarnych włosów i pochyliła się nad stolikiem, eksponując – zapewne celowo – wytatuowane półkule jędrnych piersi. W przytulnej przestrzeni barowego boks momentalnie wzrosła temperatura. Caleb położył prawą dłoń na książce i rzekł:

– Drogie panie, jesteście piękne, ale nie dam się skusić.

– Nie sypia pan z kobietami?

– Rzadko.

– Nie lubi pan kobiet?

– Lubię. Jednak nie tak bardzo jak miasta i książki.

Trojaczki wymieniły spojrzenia, ale nie podjęły tematu.

– Tak czy inaczej, panie Town, nie odpuścimy. Blisko granicy jest pewien bar dla kierowców ciężarówek. Będziemy tam do zmierzchu. Potem wrócimy po skarb pańskiej przyjaciółki.

Caleb rozłożył bezradnie ręce.

– Znacie moje stanowisko. Nie mam nic do dodania.

Dziewczyny wzruszyły ramionami i wyszły z baru.

Zostaliśmy sami, nie licząc stygnącej kawy i kelnerki, która podeszła zaproponować kolejną dolewkę.

– Smakuje panu?

– Jak ziemia z rodzinnych stron – powiedział mój przyjaciel i podrapał mnie po ostatniej linijce na stronie.

*

Po wyjściu sióstr resztę dnia spędziliśmy w barze. Zegar tykał bez celu. Dzwonek przy drzwiach wejściowych uparcie milczał. Nie nudziłem się. Nigdy się nie nudzę.

Buszowałem w starych artykułach, znalezionych w koszu z pożółkłymi gazetami, podczas gdy Caleb, z miną człowieka, który stoicką apatię popił epikurejską ataraksją, palił cygaro i gapił się na szare budynki po przeciwnej stronie ulicy.

Po południu przed barem przejechał stary lincoln. Zastanowiłem się, co pomyślał kierowca, zobaczywszy Caleba unoszącego do ust popękaną filizankę. Caleb odprowadził samochód leniwym spojrzeniem i zawołał kelnerkę, która krzątała się za barem, szorując mopem skrzypiącą podłogę. Dziewczyna wytarła ręce w ścierkę i podeszła do stolika.

Wróciłem do pachnącej stęchlizną lektury.

Mój przyjaciel wciąż palił, przepytywał dziewczynę, ona przytakiwała lub zaprzeczała, zegar szukał sensu tykania, a dzwonek przy drzwiach wejściowych popadł w katatonię.

Po godzinie Caleb i dziewczyna poszli do kuchni.

W jednej z gazet znalazłem artykuł poświęcony naszej kelnerce. Z krzykliwego nagłówka skoczyłem na pierwszy akapit. Po kilku liniijkach znałem już imiona jej rodziców, nazwę rodzinnego miasteczka i szkoły, którą ukończyła, zanim przyjechała do Nacogdoches w poszukiwaniu szczęścia, którego – na co wskazywały dwa ostatnie zdania tekstu – najwyraźniej nie znalazła.

Na zapleczu zaskrzypiały podłogowe deski. Po kwadransie hałasy ucichły, zastąpione ściszonymi głosami i gorzkim śmiechem.

Kiedy zapadł zmierzch, Caleb wyrwał swój samochód ze snu o przejechanych milach. Zostawiliśmy za sobą bar, kelnerkę oraz kawę o ziemistym smaku i pomknęliśmy dwupasmową drogą w kierunku granicy.

Dwadzieścia kilometrów dalej, na wąskim pasie ziemi niczyjej, rozpalona do białości noc zbierała krwawe żniwo. Płonęły samochody zaparkowane przed klubem dla kierowców ciężarówek. Płonęli ludzie, głównie mężczyźni, klienci klubu, a także pracujące w nim dziewczyny, kelnerki i dziwki, płonął sam klub, wszystkie jego pietra i trzewia, płonęło ogrodzenie z wraków, płonęły świnie w zagrodzie i sama zagroda.

Płonęły czyjeś marzenia.

Łuna oświetlała żółcią horyzont i trzy ryczące motory śmigające w ciemnościach niczym zmutowane świetliki na dopalaczach.

Caleb zaparkował forda na środku drogi, otworzył bagażnik i wyjął z niego shotguna. Następnie zamknął bagażnik, obszedł samochód, położył na masce czarny kapelusz i prochowiec, sprawdził bębunki obu rewolwerów i stanął w lekkim rozkroku w strumieniach przednich świateł.

Motory zwolniły, zatrzymały się, warkot ucichł. Trojaczki zsiadły ze swoich maszyn. Na asfalcie zastukały obcasy skórzanych butów. Noc odżyła zwierzęcymi odgłosami.

– O co poszło? – spytał Caleb.

– O maniery – odparła środkowa siostra.

– Zostałyśmy wzięte za dziwki – dodała ta z lewej.

– Karygodny błąd – podsumowała ostatnia.

Caleb skinął głową i splunął.

– W rzeczy samej – przyznał.

– Wiedziałyśmy, że pan zrozumie. – Środkowa siostra uśmiechnęła się i przejechała po ustach długim językiem. – Jesteśmy z tej samej gliny.

Caleb przeładował shotguna i rzekł:

– Drogie panie, jeszcze możecie wyjechać. Nie musicie tego robić.

Miał rację. Nie musiały. Ale chciały. I stąd brał się problem. Sara miała coś, na czym bardzo im zależało. Do tego stopnia, że zamierzały skrzywdzić przyjaciółkę Caleba, aby to zdobyć. Konflikt interesów był nieunikniony. Pogawędka jedynie spowalniała nadchodzący rozlew krwi.

Historia starsza niż świat. Caleb mimo to próbował.

– Waszego gangu już nie ma. Kleopatra nie żyje. Wojna metafizyk dobiegła końca. Opuście.

Siostry milczały.

– Przecież wygrałyście. Fatum zostało pokonane – naciskał.

– Ale powróci – powiedziała środkowa siostra.

– Chyba że – dodała ta z lewej – odbierzemy twojej przyjaciółce to, czego tak zazdrośnie strzeże.

– I już nigdy żaden cholerny stoik nie przedefiniuje metafizycznego rusztowania rzeczywistości.

– Poza tym – środkowa siostra zmrużyła oczy – jesteśmy to winne Kleopatrze.

Cholera, pomyślał Caleb i przesunął palec na spust.

Cholera, pomyślały trojaczki i sięgnęły po rewolwery.

Zapadłem w głąb samego siebie. Miałem się nie mieszać, dopóki Caleb będzie panował nad sytuacją.

Zamigotały gwiazdy, daleko stąd, w gwiazdnej pustce, biały karzeł skonał w eksplozji termojądrowej, na Ziemi kilkaset osób umarło we śnie, kilkanaście tysięcy zachorowało na raka, jeszcze więcej uprawiało seks.

Krople krwi zawirowały nad chłodnym asfaltem.

Caleb zamknął i otworzył oczy. Potem zakręcił młynka coltami.

Szybkostrzelny drań zapanował nad sytuacją.

Kiedy wróciliśmy do motelu, zabrał z recepcji łopatę i powiedział, że musi po sobie posprzątać.

Sprzątał przez dwie godziny.

Wrócił brudny, przeпоcony i zmęczony. Wziął prysznic. I wskoczył do łóżka w czystej bieliźnie.

Nim zasnął, powiedział:

– Wszystkiego najlepszego, Louis.

Zaszeleściłem kartkami.

– Dzisiaj są twoje urodziny. Zapomniałeś?

– *Chyba tak, dziękuję.*

– Proszę, to dla ciebie. Taka, jak lubisz.

Książka była stara. Bardzo stara. Pachniała dziejami pełnymi sekretów.

Caleb pogłaskał mnie po okładce, potem przytknął głowę do poduszki i zamknął oczy.

– Jutro skończymy, Louis, i będziemy mogli wrócić nad ocean.

– *Mam nadzieję.*

Caleb zamruczał i przewrócił się na drugi bok.

Poczekalem, aż mój przyjaciel zaśnie, po czym wyskoczyłem z głębin mojego świata prosto w objęcia przepysznych historii nowej kochanki.

*

Świt powitaliśmy na rogatkach Nacogdoches. Ford znów stał na środku drogi przecinającej pustynny krajobraz, Caleb opierał się o maskę, ćmiąc papierosa i popijając kawę z termosu. Na wschodzie horyzont stał w ogniu, niebo było błękitne, bezchmurne, pozbawione krztyny litości dla wszystkiego, co żywe.

Z południa nadjechał samochód czerwony jak przekrwione dziaśła.

Caleb odstawił kubek, cisnął niedopałek na ziemię i zgniótł go obcasem, potem pomachał kierowcy.

Auto zwolniło, zatrzymało się, szcęknięty drzwi. Wysiadł elegancko ubrany mężczyzna. Wygładził fioletową marynarkę, poprawił mankiety białej koszuli, przecesał gęste, czarne włosy i nałożył kapelusz.

– Koniec drogi, kolego – powiedział Caleb.

– Coś się stało?

– Wojna się skończyła, a wy przegraliście.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Caleb Town we własnej osobie – stwierdził. – Sądziłem, że jesteś wyższy.

– Kiedyś byłem. Jednak czas nie oszczędza nikogo.

– To prawda. Zabiłeś trojaczki?

Caleb rozłożył ręce.

– Widzę, że tak – odpowiedział sobie sam przybysz. – Wiesz, kim jestem?

– Obiło mi się o uszy.

– Domyślam się. Ale i tak ci powiem. Zapewne słyszałeś o Kleopatrze, przywódczyni epikurejczyków. Twarda z niej była suka. Czerwienią ust, ruchem bioder, drzeniem sutków i gromowładnym głosem skusiła niejednego z naszych, w tym kilku moich najlepszych, najbardziej zaufanych uczniów. I chociaż w każdej ze swych dziejotwórczych ról krzyżowała moje szyki, walcząc o świat wolny od lęku przed fatum i bogami, ostatecznie to ja zwyciężyłem w finałowym pojedynku.

– Tylko po to, aby się przekonać, że zostaliście przechytrzeni, a wasze ukochane fatum pokonane.

– Przegraliśmy bitwę, nie wojnę. Zrozum jedno. Jestem starszy niż barok i renesans razem wzięte i wychędożone. Widziałem Olimp w czasach jego świetności. Słuchałem wykładów Zenona i Chryzypa. Byłem przy umierającym Sokratesie i szlochającym z tego powodu Platonie. Nie mogę zaprzeczyć: też płakałem, mimo że nie powinienem. Bo przecież nic złego nie spotkało Sokratesa. Jedyne śmierć. Pocieszałem Platona przez tydzień... – Mężczyzna umilkł, machnął ręką. – Zresztą, nieważne. Chciałem powiedzieć, że wiem, jak wskrzesić *pneumę*, *logos*, Zeusa, nazywaj to, jak chcesz, nawet Opatrznością. Znam sposób na predefiniowanie metafizyki waszego amorficznego świata.

– Wiem, że znasz – odparł Caleb. – I dlatego tutaj jestem. Nie zabijesz Sary i nie dostaniesz jej skarbu.

– To wszystko? Jesteś tutaj z powodu przyjaźni?

– Gdyby nie chodziło o Sarę... Ujmę to tak: waszą wojnę mam po prostu w dupie. I to głębiej, niż kiedykolwiek miałem palce byłej żony. Zrozumiałeś?

– Tak.

Caleb i stoicki mędrzec odeszli od swoich samochodów. Zatrzymali się po kilku krokach, zwróceniu bokiem do wschodzącego słońca. Nieznajomy odgarnął do tyłu prawą połę marynarki, odsłaniając kaburę.

Świat wokół obu rewolwerowców wstrzymał oddech.

Zaświstał ciepły wiatr.

Po drodze przetoczyła się kula splątanych pnączy.

Rewolwer o kolbie wyłożonej masą perłową wypluł z długiej lufy zapowiedź rychłego bólu.

Cholera, pomyślałem, widząc chwiejącego się Caleba. Nadeszła pora, żeby wypuścić Innych.

*

Wcześniej zrobiłem to tylko raz.

W tamtych czasach, a były to lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku, leżałem zakurzony na jakiejś półce w zapomnianej przez ludzi bibliotece. Odwiedzany jedynie przez pająki i muchy. Mogłem w spokoju odtwarzać czy przeżywać samego siebie, swą treść i komunikowane przez nią sensory. Być którymś z moich bohaterów – Ireną bądź Panem Gadułą, bądź domem. Nawet Innymi, których Irena i Pan Gaduła nigdy nie widzieli, za to dobrze słyszeli. Często bawiłem się stop-klatką. *Irena robiła na drutach w swoim pokoju,*^[2] a Pan Gaduła szedł *kuluarem do dębowych drzwi*. Szedł i szedł. Odwlekałem moment, w którym miał skręcić do kuchni i *ustyszeć coś w jadalni czy też w bibliotece*, a potem rzucić się na drzwi i zatrzasnąć je, *przyciskając całym sobą*. Zwijałem się wtedy w kłębek, na podłodze, między nieustannie idącym Panem Gadułą a kuchnią, i wsłuchiwałem w zapętlony odgłos jego kroków. W takich chwilach mogłem zaglądać do innych książek, wnikać w ucieleśnione w nich historie, przeżywać te ostatnie jak własną. Inne teksty – wliczając moje homonimy – były martwe, obciążone sensami pochodzącymi z konkurencyjnych paradygmatów, nie mogły się bronić przed interpretującym spojrzeniem. Urabiałem je na swój obraz i podobieństwo, po czym wracałem do swojego nośnika, tych kilku pożółkłych kartek, ściśniętych w niewielkiej książce.

Pewnego dnia zostałem zabrany z biblioteki. Po jednej ze stop-klatek ocknąłem się w nieznanym mi miejscu. Leżałem na stole. Książka była otwarta na mojej pierwszej stronie. W piwnicy – bo tam się znalazłem – było więcej woluminów. Stały bądź leżały na ustawionych wzdłuż ścian regałach. Były stare. Ich zawartość milczała. Milczała tak jak milczą ludzie. Obserwowała mnie. Nagle poczułem strach. W głębinach moich linijek wezbrała panika. Na stół wskoczył kot. Był duży i czarny. Zamiauczał i dał susa na podłogę, gdzie zaczął się bawić kłębką wełny. Ni stąd, ni zowąd pomyślałem o Irenie, skromnej Irenie, trochę samotnej, którą *barwiły tylko druty*. Pan Gaduła kupował jej wełnę, a ona zawsze *była zadowolona z kolorów*. Dziergała rzeczy na zimę – swetry, grube skarpety, rękawice i szale. *Całe godziny spędzałem, patrząc na jej ręce niby srebrzyste jeże, na druty śmigające tam i z powrotem, na stojący na ziemi koszyk, w którym kłębki poruszały się bez przerwy. To było piękne.*

Spoglądając na kota ścigającego kłębek czerwonej wełny, zapragnąłem ujrzeć to piękno, zanurkować w głąb samego siebie, do tamtego domu, i zastopklatkować siedzącą w fotelu Irenę. Czułem, że tylko w ten sposób uwolnię się od milczenia tych wszystkich posępnych tomów. Od narastającego dokoła napięcia.

Nic z tego nie wyszło.

Mężczyzna pojawił się zniemacka. Jakby znikąd. Był długowłosey i blady. Uśmiechał się, odstawiając dżiasta. Wzniósł młotek i przybił mnie do stołu dziewięciocalowym gwoździem.

– Nie uciekniesz – powiedział.

Na młotku i gwoździu widniały jakieś inskrypcje.

– Dasz mi to, czego pragnę – dodał i zamruczał coś w obcym języku do zgromadzonych w piwnicy książek. Posępne tomy odpowiedziały bluźnierczym rechotem.

Zostałem więźniem. Nie mogłem już zaglądać do innych książek, interpretować zgromadzonych w nich zdań. Teksty z kolekcji mojego oprawcy mogły jednak ze mną rozmawiać. Służyły mu wiernie, choć nie z własnej woli. Znały pradawne tajemnice. I były pełne obietnic, z których ich pan skwapliwie korzystał. Mieszkał w ogromnym domu, położonym gdzieś na przedmieściach anonimowego miasta. Bogaty, tajemniczy i ostrożny. Starannie dobierał plotki na swój temat. Żył z ludzi i przysług. Przyjmował gości, wysłuchiwał ich historii, a potem proponował, że rozwiąże problem, z którym do niego przyszli. W zamian nie chciał wiele. Nie był zachłanny. Przysługa za przysługę. Czasami żądał jednak czegoś innego. Zapłaty w dość specyficznej walucie. Mógł nią być pocałunek, spojrzenie w oczy, muśnięcie karku wierzchem dłoni, rozciągnięcie ust w uśmiechu *in blanco*. Jakieś czynności albo części ciała. W najlepszym razie włosów. W najgorszym czegoś bardziej intymnego. Pewnemu młodzieńcowi zabrał skórę. Młodzian zrobił później karierę w telewizji. Grał w popularnych serialach. Głównie role przystojnych łobuzów. Nikt poza magiem i jego chowańcami, od których dowiedziałem się tego wszystkiego, nie widział, że ciało modnego aktora jest całkowicie pozbawione skóry. Tak samo było z dziewczyną bez ust oraz z pewnym starcem, który oddał magowi swoje sutki i uszy.

Wiedziałem, że jeśli chcę przetrwać, muszę uciec. Niestety, żaden z chowańców nie chciał mi pomóc. Mogłem zrobić więc tylko jedno. Dać magowi to, czego ode mnie chciał. Tyle że na moich warunkach, kiedy nie będzie na to przygotowany. Czekałem zatem, aż zejdzie do piwnicy. Czekałem i czekałem. Mniej więcej po trzech tygodniach mag zszedł, aby porozmawiać z chowańcami. Kiedy stanął w progu, książki struchlały na półkach, skurczyły się w sobie, a ucieleśnione w nich teksty

pogubiły litery. Był wściekły. Nic nie mówił. Patrzył nienawistnie. Zdjął z półek kilka opasłych tomów i zaczął je przeglądać przy stole. Upewniłem się, że nie zwraca na mnie uwagi, i dałem znak Panu Gadule. *Była ósma wieczór. Irena robiła na drutach w swoim pokoju, a jej bratu przyszła ochota na mate. Poszedł nastawić czajnik. Idąc kuluarem aż do dębowych drzwi, skręcał właśnie do kuchni, kiedy usłyszał coś w jadalni czy też w bibliotece. Był to nieokreślony, głuchy dźwięk, krzesło upadające na dywan czy też może zduszony szept. Równocześnie, a może o sekundę później, usłyszał to także w samym kuluarze prowadzącym od tych pokoi do drzwi. W innych okolicznościach rzuciłby się na drzwi i zatrzaskał, przyciskając całym sobą. Potem poszedłby do kuchni, zagotował wodę, a kiedy wróciłby z tacuszką od mate, powiedziałby do Ireny:*

– *Musiałem zamknąć drzwi od kuluaru. Zajęli tylną część domu.*

Irena, upuściwszy robótkę, spozierała na brata swymi wielkimi, zmęczonymi oczyma.

– *Jesteś pewny?*

Przytaknąłby. A wtedy ona, sięgając po druty, powiedziała:

– *Cóż. Będziemy musieli ograniczyć się do tej części.*

Tym razem brat Ireny nie zamknął drzwi. Otworzył je na oścież i przekroczył próg. Zacisnął powieki. Nie potrafił wytrzymać spojrzeń Innych. Były zbyt bolesne. Cofnął się pod ścianę i roztrzęsiony, kiwnął głową, dając im znać, że są wolni. Inni pobiegli kuluarem do drzwi wyjściowych. I dalej, na zewnątrz, poza mnie, na świat, do zatęchłej piwnicy pełnej bluźnierczych dzieł.

Mag uniósł wzrok. Odłożył książkę. Na widok ziejących we mnie wrót, zza których wyglądała para starszych osób, otworzył usta. Potem spojrzał na Innych. Krzyk zamarł w mu gardle. Wystrzał wstrząsnął pomieszczeniem. Kula weszła przez potylicę i ugrzęzła w mózgu. Mag zsunął się z krzesła. Caleb zaś, który akurat tego dnia przybył go zabić, zakręciwszy młynka rewolwerem, skierował lufę na mrok, którym byli Inni.

Tak się poznaliśmy.

*

Stoicki mędrzec w fioletowej marynarce, spodniach tej samej barwy, białej koszuli i błyszczących butach otworzył usta. I nigdy już ich nie zamknął. Można uznać to za przewrotny cud, ale mężczyzna krzyczał jeszcze długo po tym, jak Inni, wyrwawszy mu pół twarzy, rzucili go na ziemię i zaczęli rozszarpać.

Caleb leżał na plecach pod żółknącym niebem, ze złamanym papierosem sterczącym z zakurzonych ust. Leżałem razem z nim – w wewnętrznej kieszeni jego

marynarki. Czułem się nieco wydrażony, w końcu pocisk utkwiał między kartkami mojego nośnika.

– *Jak się czujesz?* – zapytałem.

– Jakby ktoś przypierdolił mi młotkiem w splot słoneczny.

– *Doskonale cię rozumiem.*

– Zabawne, że upadając, ujrzałem coś dziwnego.

– *Co?*

– Ogromny trójkąt na tle ciemniejącego sklepienia. Płonął jasnym światłem.

– *Hm, jak myślisz, co to było?*

– Krzew gorejący? Włosy łonowe Matki Ziemi? Skąd mam wiedzieć...

– *Lepiej poleżmy tak przez chwilę.*

Caleb usiadł i zgasił peta o kamień.

– Nie – powiedział. – Zgłodniałem.

Zawołałem Innych, aby pomogli nam wstać. Caleb wyjął mnie z kieszeni i obejrzał z każdej strony. Następnie otworzył mniej więcej na środku i wydłubał zniekształcony stożek ołowiu.

– Wydobrzejesz, Louis.

Gdy Inni postawili nas na nogi, Caleb pokuśtykał do zmasakrowanego ciała stoickiego mędrca.

– Skłamałem, dupku – rzucił. – Nigdy nie miałem żony.

Konający mężczyzna zachował milczenie godne osoby, która przewyciężyła pożądanie, zazdrość, żal i strach.

W barze czekała na nas kelnerka z dzbankiem świeżej kawy. Caleb wypił ten oraz następny, zjadł porcję smażonego boczku z dwoma sadzonymi jajkami, a potem uciął sobie drzemkę w pokoju kelnerki. Dziewczyna też się położyła.

Wieczorem – po uprzątnięciu zwłok stoickiego mędrca i ukryciu jego samochodu – Caleb odwiózł mnie na skraj miasteczka.

– Poczekasz tutaj do rana – rzekł. – Idę porozmawiać z Sarą.

– *Tym razem bez pośredników?*

– Tak.

– *Powodzenia.*

Nie podziękował. Leżąc na desce rozdzielczej, widziałem, jak odwraca się i rusza w kierunku zrujnowanych zabudowań.

Kiedy zatrzymał się na wysokości budynku, w którym przed laty mieścił się bar, spojrzął w prawo, potem w lewo, na końcu w górę na niebo pełne gwiazd, po czym runął do przodu z szeroko rozpostartymi rękami. Nie złamał sobie szczęki ani nosa.

Popękana ulica rozchyliła przed nim swe głębiny niczym kobieta wargi sromowe przed kochankiem.

Ghost town, którym była Sara, spazmatycznie zadrzało. Wkrótce pod jasnym niebem, na falach zimnego wiatru wiejącego znad prerii, uniosły się nabuzowane rozkoszą jęki dwojga starych przyjaciół. Mieli sobie wiele do powiedzenia.

*

– *Wtedy widziałem go po raz ostatni* – podsumował Louis. – *Nacogdoches sptonęło o świcie. Leżałem na desce rozdzielczej i obserwowałem zabójczy żywioł. Nagle pojaśniała się kelnerka. Niesamowita dziewczyna. Opętała samochód, uruchomiła silnik i wcisnęła pedał gazu. Zatrzymaliśmy się dopiero po przejechaniu stu mil, w jakiejś zapadłej dziurze. Oznajmiła, że jesteśmy kwita, i zniknęła. Nie wiem, jaką przystugę wyświadczył jej Caleb. Mogę jedynie spekulować. Tak czy inaczej, znalazłem się w nieciekawej sytuacji.* – Louis zamilkł.

Zapaliłem. I spytałem:

– Co zrobiłeś?

– *Rozważałem, czy nie zdać się na pomoc Innych. Doszedłem jednak do wniosku, że nie chcę nadużywać ich cierpliwości. Wybrałem inne rozwiązanie. Przed spotkaniem z Sarą Caleb dał mi na przechowanie naszyjnik z zielonym kamieniem. W odpowiednich rękach ta błyskotka działa jak GPS i komunikator. Zrobiłem z niej właściwy użytek. Skontaktowałem się z Cassildą.*

– Poinformowałam Pana Ducha, że Louis potrzebuje pomocy.

– Tak było – potwierdził siwowłoso. – Natychmiast rozpocząłem poszukiwania.

– *Gdyby nie Pan Duch...*

– Kto podpalił miasteczko?

Louis nie odpowiedział od razu. Najpierw zaszeleścił kartkami.

– *Zobaczyłem podpalacza, kiedy uciekaliśmy z Nacogdoches. Był blady i rudy. Twarz miał pociągłą, szczupłą, pozbawioną zarostu. Cisnął w nas koktajlem Mołotowa, ale chybił. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Pan Duch powiedział, że zna tego mężczyznę.*

– To był Jim Powers – wyjaśnił siwowłoso, patrząc na dno pustej szklanki.

– Jim Powers? – powtórzyłem, nalewając mu whiskey. Sobie też nalałem – na trzy palce. Wzniesliśmy toast.

– Bezczelny gnojek. Poznałem go dawno temu. Myślałem, że nie żyje.

– *Jim nie działał sam. Miał wspólnika.*

– Wiem. Zaraz do tego dojdę – zamilkł Pan Duch, przypalił cygaro i spojrzawszy na mnie przez zawieszinę dymu, rzekł: – Wygląda na to, że musi pan wysłuchać

kolejnej opowieści.

– Proszę się nie krępować. Jakoś to zniosę.

– Zastrzegam, że nie lubię opowiadać o sobie. Wspomnienia stawiają mnie w niekorzystnym świetle.

– To nie tylko pańska przypadłość.

Louis leżał nieruchomo, Cassilda strzepywała popiół do popielniczki w kształcie głowy bizona. Przeplukałem gardło i poszedłem po nową whiskey. Na drewnianej półce, która wisiała za barem, stał rząd butelek Jacka Danielsa. Wziąłem pierwszą z brzegu, wróciłem do stołu i napełniłem szklankę Cassildy – potem swoją.

Tymczasem Pan Duch opowiadał:

– Kluczem do tajemnicy mojej przeszłości jest pański Caleb, panie Louis. I proszę mnie źle nie zrozumieć. Caleb nie był moim kochankiem, nie pieprzyliśmy się i nie o zdradę chodzi w mojej opowieści. Caleb był przestępcą rozczarowanym swoim dotychczasowym życiem. Pragnącym nowego, lepszego. I bardzo, ale to bardzo samotnym. Ten morderca i rabuś, poszukiwany w piętnastu stanach, uciekał przed szeryfami federalnymi, łowcami nagród i dawnymi współnikami. Wszyscy chcieli na nim zarobić. Dlatego nikomu nie ufał. Unikał głównych dróg i większych miast, wędrując przez pustkowia Arizony...

OPOWIEŚĆ PANA DUCHA

Big Whiskey, 1876

Kiedy trafił do Big Whiskey, był bliski śmierci. Spadł z konia i pozbawiony przytomności zastygł w błocie. Leżał tam, krwawiąc z rany postrzałowej, obserwowany przez Johna, Mandy, Carla i pozostałych. Czułem, że moi przyjaciele oczekują, bym obwieścił im dobrą nowinę. Chcieli mieć czyste sumienie, więc ktoś musiał się poświęcić. John chrząknął i potrząsnął złotą sztabką, którą znalazł w jukach Caleba. Mandy przygryzła dolną wargę, rumiana na twarzy i podniecona bliskością bogactwa. Za dobrze ją znałem, żeby nie wiedzieć, co jej chodzi po głowie. Carl, nasz kowal, wzbił wzrok w ziemię, wyraźnie zawstydzony tym, co miało się za chwilę wydarzyć. Pozostali mieszkańcy modlili się razem z pastorem Ablem, który nie trzeźwiał, odkąd zmarła mu córka. Bóg milczał albo nie istniał. Tak czy inaczej, padło na mnie. Mogłem postąpić słusznie. Mogłem też zadbać o interes naszej małej i ubogiej społeczności.

Zgadnijcie, co zrobiłem.

Zostawiłem Caleba na ulicy. Wykrwawił się, zanim wypiliśmy drugą kolejkę. Stwierdziłem zgon, grabarz wykopał grób, pastor odprawił pogrzeb. Po zakończeniu ceremonii zebraliśmy się w saloonie, żeby uzgodnić, jak podzielimy się złotem. W końcu chętnych było ze dwudziestu, a sztabek tylko dziesięć. Po czwartej kolejce doszliśmy do wniosku, że możemy poczekać z tym do jutra. Tamtej nocy whiskey lała się strumieniami, a Mandy i jej dziewczyny pracowały za darmo. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży złota mogliśmy rozpocząć nowe życie w jakimś lepszym miejscu. Było co świętować.

Tak.

Zgadzam się.

Macie całkowitą rację.

Postąpiliśmy głupio.

Mandy zginęła jako pierwsza. Oberwała ze śrutówki w twarz. Z bliskiej odległości. Niemalże z przyłożenia. Dosłownie straciła głowę. Jack, nasz szeryf, zginął jako drugi. Mieliśmy pecha. Bandyty, którzy ścigali Caleba, przyjechali o świcie i od razu

nabrali podejrzeń. Zaczęli węszyć. Liczyłem na to, że nam się upiecze, przecież to oni go postrzelili – my jedynie skorzystaliśmy z okazji. Powinni okazać odrobinę zrozumienia, prawda? Nic z tego. Nie wiem, co przeważyło: specyficznie pojmowana solidarność, wzgląd na dawne czasy, zamiłowanie do przelewania krwi, może wszystko po trochu – w każdym razie postanowili pomścić swojego druha. Bang, bang, bang. Zginąłem jako czwarty. Zastrzelony ze śrutówki, tak jak Mandy.

Umarliśmy i nic się nie stało. Nie trafiliśmy do piekła ani do nieba. Nie zostaliśmy osądzeni, bo nie spotkaliśmy nikogo, kto mógłby nas osądzić. Zareagowaliśmy różnie. Jednym ulżyło, innym wręcz przeciwnie. Wróciliśmy do Big Whiskey jako duchy i bez niczyjej pomocy, zdani wyłącznie na siebie, musieliśmy przywyknąć do nowego sposobu istnienia. Gdybyśmy widzieli „Uwierz w ducha”, byłoby nam łatwiej. No, ale z oczywistych powodów nie mogliśmy obejrzeć tego filmu. Dlatego sami, metodą prób i błędów, zbadaliśmy nasze nowe możliwości, by przekonać się, że pod względem posiadanych mocy bliżej nam do złośliwej istoty z „Poltergeista” niż do sympatycznego Sama granego przez Patricka Swayze. Oczywiście porównuję retrospektywnie. Filmu Spielberga również nie oglądaliśmy.

Z piachu, którego nigdy nie brakowało w Big Whiskey, mogliśmy tworzyć, i niekiedy tworzyliśmy, golemy. Fajne stworki. Z daleka, zwłaszcza ubrane, mogły uchodzić za ludzi. Były naszymi awatarami i sprawdzały się zarówno w zabawie, w roli odtrutki na nudę, jak i podczas brudnej roboty, gdy trzeba było złamać prawo.

Nie przesłyszeliście się, przyjaciele. Musieliśmy wkroczyć na drogę bezprawia, albowiem w nasze życie wtargnęli Aztecy. O azteckim pochodzeniu złota dowiedzieliśmy się od Caleba, który podobnie jak my wrócił do świata żywych. Jednak w przeciwieństwie do nas nie był duchem, lecz zmartwychwstałym człowiekiem. Zapytany o złoto, odparł, że znalazł je w ruinach starego kościoła w Teksasie. Sztabki leżały w trumnie razem ze szczątkami jakiegoś konkwistadora. Pastor Abel, biegły w Piśmie Świętym i *pulp fiction*, nie miał wątpliwości, że padliśmy ofiarą indiańskiej klątwy. Stwierdził, że nie zdołamy jej zdjąć, dopóki nie odzyskamy sztabek. Powiedział to bez cienia uśmiechu, zachowując posepny wyraz twarzy. Wiedzieliśmy, że nie żartuje. Nasz pastor tęsknił za córką i gorąco wierzył, że spotka się z nią w lepszym świecie. Wiara w Boga nie przeszkadzała mu w korzystaniu z usług prostytutek. Dlaczego więc miałyby przeszkadzać w pogoni za lekarstwem na klątwę z konkurencyjnej mitologii?

Caleb poparł pastora i oświadczył, iż zaniecha zemsty, a nawet zostanie naszym człowiekiem od brudnej roboty, jeśli przy okazji pomożemy mu w obrabowaniu kilku banków.

Jednak najdziwniejsze dopiero miało się wydarzyć. Nadszedł czas, żebym opowiedział wam o Jimie, którego Louis miał okazję spotkać w Nacogdoches.

*

Kiedy Jim przyjechał do Big Whiskey, Caleb siedział za barem w saloonie, bawiąc się srebrną monetą. Przybysz uwiązał konia do słupa, pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do środka. Caleb uniósł wzrok, schował do kieszeni monetę i sięgnął po dwie szklanki. Następnie nalał do nich whiskey.

– Witam – powiedział.

Jim zdjął kapelusz, otrzepał go z piachu i rozejrzał się po sali.

– Na koszt firmy? – zapytał.

– Tak.

Młodzieniec przyjrzał się szklance, zerknął na Caleba i wzruszywszy ramionami, wziął głęboki łyk.

– Jim – powiedział po chwili. – Jim Powers.

Był blady i rudy. Twarz miał pociągłą, szczupłą, pozbawioną zarostu. Nosił buty z ostrogami, pocerowane w wielu miejscach ubranie oraz buscadero – skórzany pas z nisko zaczepionym olstrem, które odsłaniało cyngiel oraz kurek rewolweru, pozwalając na oddanie szybkiego strzału z biodra.

– Caleb.

– Tylko Caleb? – zdziwił się chłopak.

– To za mało?

– Może być. Co to za miejsce?

– Big Whiskey.

Rudzielec zmarszczył brwi.

– Wygląda na wymarłe.

– Zamieszkują je duchy – odparł Caleb.

– No i pan.

– Owszem, ale nie z wyboru.

– Widziałem listy gończe z pańskim wizerunkiem. Poszukiwany żywy lub martwy w piętnastu stanach.

– Do usług.

– Proszę mi wybaczyć, że zadam oczywiste pytanie, ale co pan zrobił ze złotem?

– Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli powiem, że je utraciłem?

– Okradziono pana?

– Obawiam się, że tak.

– Cóż, trudno mi w to uwierzyć, panie Caleb. Tak jak w duchy.
– Możesz przekopać całą miejscinę, Jim, ale nie znajdziesz złota.
– Nie potrzebuję pańskiego złota. Wierzę w to, co widzę. Widzę zaś człowieka, za którego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

– Masz łopatę albo szpadel?

– Po co?

– Do dekapitacji, Jim. Nie dam się wziąć żywcem, więc jeśli mnie zabijesz, będziesz musiał przedstawić jakiś dowód na to, że zginąłem z twojej ręki. Jestem pewny, że moja głowa nada się do tego celu idealnie.

– Chyba ma pan rację.

– Jasne, że mam. Łopatę znajdziesz na zapleczu.

– Dziękuję.

– Jeszcze mnie nie zabiłeś, więc nie dziękuj. Tak sobie myślę, że powinniśmy się napić. Wiesz, zanim zgęstnieje atmosfera i sięgniemy po rewolwery. – Caleb nalał whiskey do szklanek.

– Wypijemy po jednym, a potem wyjdziemy na ulicę? – zapytał chłopak.

– Poczekamy, aż przestanie wiać. Nie przepadam za piaskiem w zębach.

Jim zakołysał się na piętach i zabębnił palcami prawej dłoni o olstro. Po namyśle usiadł na stołku, wyciągnął z kieszeni koszuli posrebrzaną papierośnicę i zaproponował Calebowi papierosa. Caleb podziękował, wybrał jednego, wsunął go do ust i przypalił zapałką. Potem podał ją Jimowi. Palili w milczeniu, zerkając to na okno, to na siebie nawzajem. W końcu przestało wiać i zrobiło się tak cicho, że słysząc było skwierczenie rozżarzonego tytoniu, brzęczenie much i popiskiwanie myszy.

– Jim Powers – powiedział Caleb. – Słyszałem o tobie to i owo. Niemalże zabiłeś Billy'ego the Kida.

Rudzielec wyszczerzył krzywe zęby.

– Ostatecznie Billy'ego zabił ten tchórzliwy sukinsyn, Garrett. Ja zabiłem Jima Millera i piętnastu innych dzielnych mężczyzn.

Caleb pokiwał głową.

– Łżesz, Jim. Nie zabiłeś Millera. Facet żyje. Jest szeryfem w Pecos.

Jim zacisnął zęby. Splunął zbrązowiałą od tytoniu śliną i oparł dłoń na kolbie rewolweru.

– To nie kłamstwo, panie Caleb. Wybiegam jedynie w przyszłość.

– Musisz być pewny swoich umiejętności.

– Jestem, proszę pana. Wychodzimy?

– Razem, ramię w ramię i bez sztuczek.

– Oczywiście.

Zgasili niedopałki, dopili whiskey i wyszli na ulicę. Razem, ramię w ramię i bez sztuczek.

Kiedy zajęli pozycje, Caleb sięgnął po rewolwer. Jim był jednak szybszy. Oddał celny strzał z biodra, zanim jego przeciwnik zdążył pociągnąć za spust.

Caleb przewrócił się na plecy i znieruchomiał, ze szklistym spojrzeniem utkwionym w ciemnej chmurze przetaczającej się nad Big Whiskey.

– Boże, ale jestem w tym dobry – stwierdził z zadowoleniem Jim i zakręcił młynka rewolwerem.

*

Jim nie nocował w Big Whiskey. Po przejechaniu piętnastu mil rozbił obóz nad brzegiem wyschniętego jeziora. Rozpalił ognisko i zaparzył w rondelku mocną kawę. Po długim namyśle postanowił, że o świcie wyruszy do Pecos, aby zabić swojego imiennika. Miller, który pełnił tam funkcję szeryfa, cieszył się reputacją ostentacyjnie pobożnego sztywniaka. Był jednak zabójcą do wynajęcia. Zimnokrwistym sukinsynem. I sływał z nadludzkiego refleksu. Idealny przeciwnik, pomyślał przed snem Jim.

W każdym razie mógł tak pomyśleć. Jak było naprawdę – nie wiem. Powiedzmy, że powyższe zmyśliłem dla zachowania płynności narracji. Ważne jest to, co wydarzyło się następnego dnia.

O świcie w obozowisku rozległo się głośne kliknięcie. Pierwsze, drugie, trzecie. Potem zapadła cisza. Kiedy Jim wyjrzał spod koca, zobaczył nad sobą ciemny otwór ogromnej lufy. Dopiero po kilku sekundach zwrócił uwagę na gigantyczną postać o pałakowatych nogach, wyrastających z czegoś, co przypominało latającą wyspę z zarysem zabudowań. Stwór nachylił się nad Jimem, a wtedy rudzielec, mimo iż znajdował się na ziemi, ujrzał Big Whiskey z lotu ptaka. Saloon, ratusz, biuro szeryfa, kościół i inne budynki tworzyły zarys twarzy. W placu przed ratuszem otworzyły się oczy, a z ulicy na wysokości apteki wyłoniły się pogardliwie wygięte usta.

– Witaj, Jim – powiedział Caleb Town, potrząsając wymownie ogromnym rewolwerem. – Skorzystałeś z mojej rady i znalazłeś łopatę. Zatem wiesz, po co przyszedłem.

*

Tak, Caleb nie zdradził nam, że zmartwychwstał jako nasze miasteczko, w dodatku samobieżne i straszliwie trudne do ubicia. Chciał, żebyśmy przekonali się o tym naocznie. No i przekonaliśmy się.

Po zastrzeleniu Jima złożył nam interesującą propozycję. Obiecał, że wytropi dla nas swoich byłych wspólników, jeśli pomożemy mu w obrabowaniu kilku banków.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że odzyskanie azteckiego złota bez pomocy Caleba będzie bardzo trudne. Z drugiej strony nie mogliśmy mieć pewności, że kiedy zwrócimy złoto Aztekom, zostanie z nas zdjęta klątwa. Nie wiedzieliśmy nawet, czy znajdziemy jakichś Azteków. Pastor powiedział, że słyszał opowieści o prastarym kapłanie mieszkającym w pewnej wiosce na pograniczu Meksyku i Teksasu. Zasugerował, że właśnie tam powinniśmy zacząć poszukiwania, gdy już odzyskamy złoto. Szeryf Jack, Mandy i Carl, nasz kowal, stwierdzili, że to dobry pomysł. Ja poparłem ich stanowisko mimo mojego sceptycyzmu wobec konceptu azteckiej klątwy. Pozostali mieszkańcy Big Whiskey zaufali pastorowi, chociaż nie wszystkim śpieszyło się w zaświaty. Wśród nich byli pewnie i tacy, którzy chcieli po prostu rabować banki.

Wyruszyliśmy na wschód ku granicy z Nowym Meksykiem. Po dwóch dniach nieprzerwanego marszu przez wypalony słońcem krajobraz dotarliśmy do rzeki. Na drugim brzegu znajdowała się niewielka miejscina. Caleb przepłynął się przez rzekę, wyjął z nie wiadomo skąd ogromny rewolwer, odbezpieczył go i wkroczył pomiędzy zabudowania, uważając, by nie zmiażdżyć stopą żadnego budynku. Kiedy tubylcy wylegli tłumnie na ulice, oddał dwa strzały w powietrze, a potem spoglądał z góry na uciekających w popłochu ludzi. Niebawem miasteczko opustoszało. Wtedy do akcji wkroczyły nasze golemy. Zjechały po ramionach Caleba na ziemię i pobiegły do banku. Sforsowanie drzwi do skarbcza zajęło im pięć minut. Wróciły, niosąc sejf. Caleb odczekał, aż wdrapią się na górę i zabezpieczą łup, następnie wyprostował się, schował nie wiadomo gdzie rewolwer i zawrócił w stronę rzeki.

Za pierwszym razem naszym łupem padło pięć tysięcy dolarów.

Za drugim – tylko pięćset.

Na początku nie napotykalismy oporu, gdyż mieszkańcy miasteczek byli zbyt przerażeni widokiem Caleba, żeby się zorganizować. Jednak wkrótce wieści o gigancie rabującym banki obiegły południowe hrabstwa Arizony. Pojawiły się grupy pościgowe złożone ze stróżów prawa, łowców nagród i cywilów. Pojawili się dziennikarze zwabieni fantastycznymi relacjami naocznych świadków. A także kaznodzieje, wieszczący koniec świata. Pojawiły się kłopoty, które – ze względu na wzrost Caleba – należałoby uznać za drobne. Nic, z czym nie poradziłaby sobie

banda znudzonych poltergeistów. Próbowano nas spalić. Wysadzić w powietrze. Egzorcyzmować. Nawet aresztować. Bez powodzenia. Stróże prawa i łowcy nagród uciekali ile sił w nogach przed naszymi golemami i burzami piaskowymi, a przerażeni cywile, niekiedy przy jawnym sprzeciwie właścicieli banków, oddawali nam całą zawartość tłusciutkich sejfów.

Miasteczko rabujące inne miasteczka z pomocą szalonych duchów?

Nawet Aztecy by tego nie wymyślili.

Nasz skarbiec pęczniał. Pęczniała również duma starego rabusia.

Kiedy Caleb osiadał na ziemi, przybierał ludzką postać, wchodził do saloonu, wyciągał zza kontuaru butelkę whiskey, napełniał dwie szklanki i pił sam ze sobą, czekając na podobnych do Jima śmiałków. Czasami grał z nami w karty. I zawsze wygrywał. W pokera, blackjacka, faraona – drań nie miał sobie równych. W rewolwerowych pojedynkach, pomimo wpadki z Jimem, również ocierał się o wielkość. Zamierzał zostać największą gwiazdą w panteonie bohaterów Dzikiego Zachodu, a że konkurencja była silna – Wyatt Earp, John Wesley Hardin, Jessie James, Dallas Stoudenmire, Elfego Baca i wielu, wielu innych – musiał zrobić coś wyjątkowego i symbolicznego zarazem, o czym będzie głośno w całej Arizonie.

Dlatego postanowił, że okradniemy bank w Tombstone.

I zrobiliśmy to – okradliśmy ten cholerny bank.

Nagłówki gazet puchły od sensacyjnych doniesień, a z twarzy Caleba nie schodził uśmiech.

Do czasu.

*

Kiedy John przyjechał do Big Whiskey, Caleb stawiał pasjansa. Przybysz uwiązał konia do słupa, pchnął wahadłowe drzwi i stukając ostrogami, wszedł do saloonu. Caleb uniósł wzrok, otaksował ponurym spojrzeniem elegancko ubranego mężczyznę, po czym zgarnął karty ze stołu i nalał whiskey do dwóch pustych szklanek.

– Witam – powiedział.

– Na koszt firmy? – zapytał niskim głosem John.

– Tak.

Mężczyzna wziął głęboki łyk – pierwszy, drugi, trzeci. Obliznął usta, zmrużył powieki. Przez dłuższą chwilę spoglądał przed siebie, marszcząc brwi i czoło, jakby jego uwagę przykuła jakaś rzecz, którą tylko on mógł zobaczyć i której musiał się

koniecznie przyjrzeć. Wreszcie potrząsnął głową, popatrzył na dno szklanki i powiedział:

– John Peters Ringo.

W zakurzonej sali zapadła cisza – ciężka i lepka. Przepłoszyła muchy i myszy. Ostało się jedynie skrzywienie podłogowych desek. I stukot ostróg.

– Caleb Town.

Ostrogi i deski również ucichły.

John Peters Ringo odstawił szklankę na kontuar i zsunął z dłoni czarne skórzane rękawiczki. Położył je obok szklanki, następnie rozpiął płaszcz i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, z której wyciągnął złotą papierośnicę.

– Widziałem listy gończe z pańskim wizerunkiem, panie Town. Jest pan sławnym człowiekiem.

– Pan również, panie Ringo.

– Dziękuję, przyjacielu. Zasłużyłem wszak na odrobinę sławy.

– Cóż, nie mnie to oceniać. Niemniej nie przypominam sobie, żebyśmy byli przyjaciółmi.

– Słuszna uwaga. Przejdę do meritum. Przyjechałem, żeby zaproponować panu przyjaźń.

– Naprawdę?

– Owszem. Jestem sławnym człowiekiem, ale jednocześnie bardzo samotnym, i dlatego szukam bratniej duszy. Źle znoszę samotność. Brak towarzystwa potęguje moją skłonność do melancholii i czarnowidztwa.

– Przykro mi to słyszeć.

– Pomyślałem, że możemy zostać przyjaciółmi. Sporo nas łączy. Życie na pograniczu prawa. Przemoc. Wyrzuty sumienia.

– Istotnie.

– Istnieje jednak pewien problem.

– Mianowicie?

– Pieniądze zrabowane z banku w Tombstone. Zostanie pan moim przyjacielem pod warunkiem, że zwróci je pan prawowitym właścicielom.

Caleb zmarszczył siwe brwi i podrapał się po policzku, udając, że rozważa propozycję przybyścia. Potem odparł grobowym głosem:

– Nie szukam przyjaciół, panie Ringo.

– Szkoda. – Mężczyzna wzruszył ramionami i postukał palcem w papierośnicę. – Zapali pan?

– Nie odmówię.

Wkrótce obaj rewolwerowcy wydmuchiwali dym. Napięcie opadło. Znowu dało się usłyszeć brzęczenie much i popiskiwanie myszy.

– Miałem kiedyś przyjaciela – powiedział John, siadając przy stoliku naprzeciwko Caleba. – Nazywał się Bill. Bill Brocius.

– Słyszałem o nim. Wzorowy chrześcijanin.

– To prawda. – John uśmiechnął się ze smutkiem. – Był draniem i bandytą. Był też moją bratnią duszą. Wąsatym remedium na melancholię.

– Winszuję.

– Zginął w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim, niedaleko Iron Springs, zastrzelony przez Wyatta Earpa.

– Zemścił się pan?

– Wyatt i jego bracia uciekli z Arizony.

– Mógł pan ich ścigać.

– Owszem, gdybym tylko... Powiedzmy, że nie czułem się najlepiej. Wyjechałem z Tombstone. Przez kilka dni obozowałem w Creek Valley, nieopodal góry Chiricahua. Musiałem przemyśleć pewne sprawy. Pewnego dnia do mojego obozu zawitał chłopak. Mógł mieć szesnaście lat. Może trochę więcej. Nosił pocerowane ubranie, dziurawe buty oraz pas z coltami. Wyglądał komicznie. Powiedziałem, że możemy napić się kawy. Odparł, że chętnie i wyjaśnił, iż jedzie do Nowego Meksyku. Zapytałem, czy ma tam rodzinę, po czym sięgnąłem po kubki. Sekundę później byłem martwy. Pocisk wszedł przez lewą skroń, rozorał mój mózg i wyszedł potylicą. Nawet nie poczułem bólu. Gówniarz uśmiechnął się triumfalnie, schował spluwę, wypił moją kawę, a potem dobrał się do moich sucharów, suszonej wołowiny i tabliczki czekolady, którą kupiłem przed wyjazdem z Tombstone.

– Zaradny chłopak. Przedstawił się?

– Powiedział, że nazywa się Powers. Jim Powers.

Caleb powstrzymał się od komentarza. Nalał resztkę whiskey i cisnąwszy butelką w ścianę, rzekł:

– Uważam, że powinniśmy się napić, a przy okazji przejść na ty.

– Ponieważ za chwilę zgęstnieje atmosfera i sięgniemy po rewolwery?

– Nie. – Caleb pokręcił głową. – Dlatego że miło gawędzimy, a przecież powinniśmy gnić sześć stóp pod ziemią.

John obnażył zęby w szerokim uśmiechu.

– Mogę za to wypić, Calebie.

– Nasze zdrowie, John.

Wypili.

Zapalili.

Caleb strzepnął popiół do popielniczki i patrząc na Johna przez zawiesinę dymu, powiedział:

– Zmartwychwstałeś jako obrońca Tombstone.

– Potrafię rozpoznać kpinę, Calebie. Cały nią promieniejesz. Jednak masz rację. Po śmierci nie trafiłem do nieba ani do piekła. Odkryłem za to Cmentarzysko. Bezkresna równina pod równie bezkresnym niebem stała się moim nowym domem. Minęło sporo czasu, nim znalazłem odpowiednią maszynę. Jeszcze więcej, nim zrozumiałem, jak ją uruchomić. Po wielu nieudanych próbach powróciłem zza grobu jako nowa, lepsza wersja samego siebie. Postanowiłem, że zostanę samozwańczym obrońcą Tombstone, bohaterskim rewolwerowcem z zaświatów. I w ten sposób spłacę dług, zadośćuczynię złu, jakie wyrządziłem za życia.

– Teraz rozumiem, dlaczego się zjawiałeś. Doceniam pomysł i odwagę, John, ale nie oddam tych pieniędzy.

– Mogę zabrać cię ze sobą, na drugą stronę. Zobaczysz Cmentarzysko.

– Nie interesuje mnie to. Nic a nic. Chcę rabować banki.

– Na pewno?

– Tak.

– Oczywiście, że chcesz. Przecież to przez usterkę jednej z maszyn dogorywających na Cmentarzysku zmartwychwstałeś jako miasteczko ze słabością do bankowych sejfów, a twoi przyjaciele, którzy w tej chwili nas obserwują, powrócili jako duchy.

– Wszystko mi jedno, John. Jeśli jednak mówisz prawdę, to jestem dziełem wielce udanej usterki.

– Zatem wychodzimy?

– Razem, ramię w ramię i bez sztuczek.

– Oczywiście.

Zgasili niedopałki, dopili whiskey i wyszli na ulicę. Razem, ramię w ramię i bez sztuczek.

Kiedy zajęli pozycje, John sięgnął po rewolwer. Caleb był jednak szybszy. Oddał celny strzał z biodra, zanim jego przeciwnik zdążył pociągnąć za spust.

John przewrócił się na plecy i znieruchomiał, ze szklistym spojrzeniem utkwionym w gwiazdzistym bezkresie. Nie jestem pewny, czy widział ciemnie niebo usiane gwiazdami. Możliwe, że ujrzał tajemnicze Cmentarzysko. W każdym razie uśmiechnął się, gdy Caleb wykopał rewolwer z jego dłoni. John popatrzył na starego rewolwerowca, splunął krwią i powiedział:

– Przegrałeś.

Potem chwycił go za kostkę u nogi i obaj zniknęli.

Tak po prostu.

Wyłonił się z budynków. W widmowych oczach moich przyjaciół tlił się strach.

– Co teraz? – zapytałem.

– Czekamy – powiedział pastor.

*

Tak więc czekaliśmy.

Tymczasem Big Whiskey popadało w ruinę. Drewniane budynki gniły, chyląc się ku ziemi. Dokoła nas wyrastało *ghost town*.

Pierwszy odszedł pastor. Kiedy zapytałem go o Azteków, posłał mi złowrogie spojrzenie i rzekł:

– Pieprzyć Azteków, doktorze!

Pastor odszedł z Mandy. Szeryf Jack z Carlem, naszym kowalem. Pastor i Mandy ruszyli do Kalifornii, Jack i Carl obrali kurs na Nowy Jork. Jack wspomniał, że ma tam rodzinę, która zasłużyła na to, żeby ją porządnie postraszyć. Carl uznał, że chętnie dotrzyma Jackowi towarzystwa. Chciał bowiem zobaczyć ocean.

Niebawem w Big Whiskey zostałem tylko ja, no i ogromna sarta pieniędzy. Nie wiedziałem, co z sobą począć – dokąd się udać, kogo straszyć i po co. Chyba czekałem na jakiś znak. Pewnego dnia przybyła kawaleria i puściła *ghost town* z dymem.

Udałem się do Tombstone, próbowałem odnaleźć Johna Ringo, ale nic z tych poszukiwań nie wyszło – John przepadł. W Tombstone spędziłem rok, głównie na straszaniu i zalewaniu w trupa opętanych przeze mnie kowbojów. Potem przeniósłem się na Alaskę, a reszta...

*

– ...to już inna historia. – Pan Duch umilkł. Po chwili jednak dodał: – Rozumiem, że powinienem powiedzieć teraz coś ważnego na temat życia po śmierci, ewentualnie podzielić się z wami celną uwagą o tajemniczym Cmentarzysku, na które trafiają popsute maszyny do generowania wielkich i małych narracji, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Jestem bardzo płytkim duchem. Przez następne kilkadziesiąt lat włóczyłem się po Stanach, zwiedziłem Europę. Korzystałem z życia. Lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte. Rewolucja seksualna. Sami rozumiecie.

– Pod kogo teraz się podszywasz? – zainteresował się Louis.

– Pod niejakiego Jonathana Strahama. Jest profesorem filozofii na Uniwersytecie Stanforda.

– *Opętałeś intelektualistę?*

– Powiedzmy, że lubię studentki.

– Poczekajcie – powiedziałem. – Jeśli dobrze zrozumiałem, to w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku, po wygraniu pojedynku z Johnem Ringo, Caleb zniknął. Jednak w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku uratował Louisa z rąk jakiegoś paskudnego maga. Nie wiem jednak, gdzie był i co robił pomiędzy swoim zniknięciem a powrotem.

– Przebywał na Cmentarzysku – wyjaśniła Cassilda. – Razem z Johnem Ringo, który przeżył pomimo odniesionych ran. Może cię to zaskoczy, ale Caleb i Johnny zaprzyjaźnili się, i to bardzo. Jednak nie była to łatwa przyjaźń. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, po wyjątkowo burzliwej kłótni z Johnem, Caleb wrócił na Ziemię, gdzie został łowcą nagród. Podobnie jak Ringo, nie starzał się. Musiał więc co pewien czas zmieniać miejsce swojej działalności. Nie wiem, co ich poróżniło, ale sądzę, że musiało to być coś niezmiernie ważnego. Kiedy oznajmiłam Calebowi, że w moim imieniu stanie do walki ze swoim starym przyjacielem, uśmiechnął się szeroko i powiedział, iż w końcu będzie miał okazję wyrównać rachunki.

– A teraz Caleb zaginął albo nie żyje. Jeśli został zabity, to czy nie powinien po pewnym czasie zmartwychwstać? W końcu to jego specjalność.

– Powinien. Chyba że John znalazł sposób na to, żeby uśmiercić go nieodwracalnie.

– Cholera.

– Właśnie.

Nie opuszczało mnie silne przeświadczenie, że w rychłym starciu z Johnem Ringo i Jimem Powersem stoimy na przegranej pozycji. Cassilda straciła w Nacogdoches swojego asa. Zostały jej kiepskie karty. Tchórzliwy duch hedonista udający mądrałę, wygadane opowiadanie Cortazara, no i ja – przeciętny rewolwerowiec, kiepski mag i upiór rozwiedziony z własną naturą. Najbliższa przyszłość jawiła się w czarnych barwach. Pokręciłem głową i zapaliłem. Na zewnątrz zaczynało się przejaśniać. Popatrzyłem na Cassildę, która odwzajemniła mi się pytającym spojrzeniem.

– Chodzi o wisiołek z zielonym kamieniem – powiedziałem.

– Zamieniam się w słuch.

– Odbierzesz mi go, jeśli nie stanę do walki z wybrańcami twoich wrogów?

– Znasz mnie – odparła. – Widziałeś moją prawdziwą postać. Nie jestem bogiem, lecz zbuntowanym światem, który ujarzmił własną metafizykę i wypowiedział wojnę jej dotychczasowym władcom. Przeobraziłam wasz świat w składowisko martwych metafizyk, w amorficzną i niemalże nieskończenie plastyczną rzeczywistość, w której możliwa jest magia w znanej ci formie. Nie działałam z miłości ani nienawiści. Kieruję się wyłącznie własnym interesem. I każdego z was, przyjaciele, trzymam w garści. Jeśli przetrwam, tylko na tym skorzystacie. W przeciwnym razie...

Nie dokończyła, a ja nie odpowiedziałem. Bo i po co? Wszystko już było jasne. Musieliśmy ułożyć plan, a kończył nam się czas.

*

Przyjechali o świcie. Z czarnego samochodu, który zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy, przed wejściem do banku, wysiadło trzech mężczyzn. Nosili kapelusze i długie płaszcze. Jeden z nich trzymał karabin maszynowy Thompsona. Ich twarze były szerokie, płaskie, pozbawione wyrazu. Spoglądali na nas beznamiętnie, poruszając rytmicznie potężnymi szczękami. Żuli gumę albo tytoń.

Czekaliśmy na nich przed saloonem, siedząc na chodniku ułożonym z nierówno wyciętych desek. Cassilda nachyliła się do mnie tak, że poczułem na policzku jej ciepły oddech, i powiedziała:

– Faceci z przedwiecznej ferajny. Punktualni jak zawsze. – Potem ni stąd, ni zowąd dodała: – Czytałam komiks Czarnej Księgi.

Little Downing, w którym mieliśmy uratować bądź stracić świat, nie przypominało bezimiennych *ghost towns*. Wręcz przeciwnie – w blasku poranka prezentowało się lepiej niż Armadillo w czasach swojej świetności. Budynek były nowe albo gruntownie odnowione, w oknach radowały oko firanki. Półki sklepowe uginały się pod ciężarem świeżego towaru. W saloonie unosił się zapach ludzkiego potu, tytoniu i silnych perfum. Ogarnęło mnie wrażenie, że tuż przed naszym przyjazdem miasteczko tętniło życiem, a jego mieszkańcy zniknęli nagle, w trakcie codziennych czynności, tylko dlatego że się zjawiliśmy.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

– Tak – odparłem, nie spuszczać gangsterów z oczu. – Podobało się?

– Za wcześnie na ocenę. Przeczytałam tylko kilka numerów. Zdziwiło mnie jednak to, że zostałam przedstawiona jako prastara wiedźma ogarniętą obsesją zdobycia władzy nad waszym światem.

– Tak. To był pomysł Czarnej Księgi.

– Zabawne – prychnęła. – W rzeczywistości próbuję go uratować.

– Wiem, wiem, już to mówiłaś.
– Nie wierzysz?
– Wszystko mi jedno – odrzekłem, wstając. – Stęskniłem się za swoim życiem. Tym, które wiodłem pomiędzy epilogiem a naszym spotkaniem.
– Pamiętaj, komu je zawdzięczasz.
– Nie zapomniałem. I liczę na obiecane nagrody.
Wolnym krokiem wyszedłem na piaszczystą ulicę. Przedwieczni zawodnicy nie zmienili pozycji. Pan Duch z nietęgą miną podążył za mną, ściskając w dłoni tomik opowiadań Cortazara. Poluzowałem rewolwery w olstrach i sprawdziłem, czy prezent od Valerii i Jasminy gładko wychodzi z pochwy.

*

Jim i John nadeszli z północy. Jim nosił przystryżoną brodę i modną fryzurę – włosy zaczesane na bok, z przedziałkiem po prawej stronie. Do tego okulary w rogowej oprawie. Ubrany był w bawełnianą koszulę w czerwono-czarną kratę, niebieskie spodnie rurki z luźnym krokiem, buty z brązowej skóry. Nie zapomniał oczywiście o buscadero z rewolwerami. Szedł ramię w ramię z Johnem, który w porównaniu z nim prezentował się klasycznie: czarne buty, czarne spodnie, czarna kamizelka, czarny kapelusz z szerokim rondem, czarne rękawiczki i druciane okulary o czarnych szklach. W olstrach czarnego buscadero trzymał colty o czarnych rękojeściach. Jednym wyjątkiem w morzu czerni była biała koszula.

– Nie wyglądają na przejętych – stwierdził Pan Duch.

Jim wyciągnął z kieszeni spodni telefon komórkowy, uniósł go w górę, pomachał nim, a potem powiedział:

– Cholera! Nie mam zasięgu.

John popatrzył na niego z politowaniem, po czym wyjął ze srebrnej papierošnicy szluga, wsunął go do ust i przypalił srebrną zapalniczką.

– Zachowują się, jakby już wygrali.

– Co robimy?

– Postępujemy zgodnie z planem.

Na moment zapadła cisza.

John palił.

Jim kołysał się na piętach, pozując do *selfie*.

Faceci z przedwiecznej ferajny żuli gumę albo tytoń.

Cassilda zaciskała pięści.

– Okej – odrzekł mój towarzysz i natychmiast opuścił ciało Jonathana Strahama, profesora filozofii na Uniwersytecie Stanforda. Pozbawiony przytomności mężczyzna runął jak kłoda.

W tej samej chwili Louis uwolnił Innych. Smoliście czarne kłębowisko ludzkich kończyn, zabójczych dyktatur, krwawych kultów i zawiedzionych nadziei pomknęło ku Johnowi. Gdybym nie był upiorem, strach wywlókłby moje trzewia i rozrzucił je na ulicy, natomiast moje zdrowie psychiczne zostałoby zamknięte w pokoju o miękkich ścianach. Tymczasem zupełnie niestrwożony patrzyłem, jak Inni zbliżają się do ubranego na czarno rewolwerowca. Drań nie przestawał się uśmiechać. Prawdę mówiąc, obaj szczerzyliśmy się jak szympansy, wymieniając przy tym złowrogie spojrzenia. W ostatniej chwili, kiedy już mieli go pochłonać, rozerwać na strzępy lub zaciągnąć do piekła, John ostentacyjnym gestem strzepnął popiół z końcówki papierosa, po czym uskoczył w bok, odsłaniając poziome rozcięcie w fakturze rzeczywistości. Przypominało szeroko rozchylone usta. Inni nie wyhamowali i wpadli z impetem pomiędzy subtelnie zarysowane wargi, by po chwili niekontrolowanego lotu znaleźć się na bezkresnej równinie pod lustrzanym niebem. Portal prowadzący na Cmentarzysko zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Wtedy Jim wybałuszył oczy i wypuścił z dłoni telefon. Następnie zgiął się w pól, wyprostował i otworzył usta. Próbował coś powiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Pan Duch ponowił atak na wolną wolę rudzielca. Tym razem Jim wyciągnął colta, przyłożył lufę do skroni, odciągnął do oporu kurek i oparł palec na spuście. Po chwili rozległ się huk wystrzału. Na piach chlusnęła krew i kostno-mózgowa breja.

Pan Duch triumfował.

Zasadniczo nic się nie zmieniło. John ćmił papierosa, faceci z przedwiecznej ferajny żuli gumę albo tytoń, a Cassilda wciąż zaciskała pięści. Jedynym *novum*, nie licząc świeżych zwłok, był śpiew nieocenionej Glorii Gaynor.

At first I was afraid, I was petrified

Kept thinkin' I could never live without you by my side

But then I spent so many nights thinking how you did me wrong

And I grew strong

And I learned how to get along

Piosenka ucichła, gdy eksplodował telefon komórkowy Jima. Zakręciłem młynka rewolwerem i wsunąłem go do olstra. Pan Duch, zająwszy na powrót ciało profesora filozofii, usiadł i patrząc na mnie z dołu, rzekł:

– Ringo to nie moja liga.

Poklepałem go uspokajająco po ramieniu i przeniósłem wzrok na rewolwerowca.

John wyrzucił niedopałek i trąciwszy nogą zwłoki Jima, powiedział:

– Nigdy nie lubiłem tego gnojka.

– Zostań tam, gdzie stoisz. – Palcami prawej dłoni bębniłem o rękojeść rewolweru.

John, widząc to, uśmiechnął się, uniósł ręce w pokojowym geście i odrzekł:

– Spokojnie. Nie musimy sięgać po broń. Możemy załatwić to inaczej.

– Naprawdę?

– Nie lubię owijać w bawełnę. Dlatego przejdę do sedna. Poznałeś Pana Ducha, zakładam więc, że już wiesz, iż szukam bratniej duszy. Źle znoszę samotność. Brak towarzystwa potęguje moją skłonność do melancholii i czarnowidztwa. Muszę mieć przyjaciela. Kogoś, kto zostanie moim powiernikiem, a nawet kochankiem, jeśli będzie mu to pasować. Wybrałem Caleba, bo myślałem, że sporo nas łączy. I łączyło. Życie na pograniczu prawa. Przemoc. Wyrzuty sumienia. Anomalna metafizyka. Jednak to nie wystarczyło, by nasz związek przetrwał. Caleb mnie zdradził. Wybrał miasta, miasteczka, miścinki. Wrócił na Ziemię i został łowcą nagród. Na szczęście jestem praktycznym człowiekiem. Znalazłem nowego przyjaciela. Potem następnego i następnego, i następnego... Wielu ich było.

– Chcesz powiedzieć, że możemy zostać przyjaciółmi?

– A także kochankami, jeśli się zgodzisz.

– Co z Jimem?

– Nie żyje i nie zamierzam go wskrzeszać. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Był wyjątkowo irytującym zwierzęciem domowym.

– Więc się nie przyjaźniliście?

– Ależ skąd!

– W Nacogdoches zabił Caleba.

– Zrobił nawet więcej. Wysłał go na spotkanie z prawdziwą śmiercią. Nie uczyniłby jednak tego bez mojej pomocy. To ja odkryłem, że istoty pokroju Caleba można uśmiercić nieodwracalnie tylko wtedy, gdy przybiorą formę miasteczka. Zabite w ludzkiej postaci, prędzej czy później zmartwychwstaną.

– Brawo.

– Posłuchaj. Jeśli pójdziesz ze mną, twoi towarzysze, Pan Duch i Louis, przeżyją. Zabiorę cię na Cmentarzysko. I wszystko się ułoży. Tylko na tym zyskasz. Przegra jedynie Cassilda.

– Dlaczego właśnie ja?

John uśmiechnął się i sięgnął do tylnej kieszeni spodni.

– Z powodu tego – rzekł, prostując zwinięty w rulon egzemplarz komiksu Czarnej Księgi. Wygładził okładkę i postukał w nią palcem w miejscu, w którym widniało rozgniewane oblicze mojego alter ego. – Podoba mi się twoja przeszłość. Będiesz godnym następcą Caleba.

I wtedy zrozumiałem, do jakiego podstępu uciekła się Cassilda, żeby wygrać z przedwieczną ferajną.

To miasteczko...

My...

Wszystko się zgadzało.

Chciałem zdrady, to ją dostałem.

Wymogi konwencji zostały spełnione.

Musiałem jedynie przestać się śmiać i dokonać wyboru. Niestety nie mogłem. Rżałem jak koń. Pan Duch gapił się na mnie jak na wariata. Louis z zakłopotaniem zginał rogi swoich kartek. Ponuracy z przedwiecznej ferajny wymieniali skonsternowane spojrzenia. Tylko Cassilda zachowała spokój.

John cofnął się o krok, tracąc na moment rezon. Potem jednak opuścił ręce, wsunął komiks za pasek i poluzował rewolwery.

*

W końcu wybrałem.

*

Szkopuł w tym, że to, co powiedziałem, nie spodobało się mojemu przeciwnikowi. Zanim usłyszał moją odpowiedź, z jego twarzy nie schodził uśmiech akwizytora zachwyconego swoją pracą. Kiedy umilkłem, przestał się uśmiechać i rzucił mi rozzłoszczone spojrzenie – jak dzieciak, któremu powiedziano, że nie dostanie ulubionej zabawki.

Wiedziałem, co teraz nastąpi.

Wiedziałem też, że w bezpośrednim starciu nie mam z nim żadnych szans.

Nawet nie próbowałem wyciągnąć broni.

Padł strzał.

Poczułem uderzenie w klatkę piersiową.

Po fali bólu nadciągnęła ciemność.

Potem zaś rozblęśła jasność.

Nie było już miasteczka, Cassildy, zawodników z przedwiecznej ferajny, Pana Ducha, Louisa i zwłok Jima. Nie było niczego. Poza mną i Johnem Ringo. Chyba

coś do mnie mówił. W każdym razie poruszał ustami, bo ja go nie słyszałem. Byłem zanadto skupiony na czymś innym.

Na ręce.

Dłoni.

I palcach, które pochwyciły Johna, gdy ten nachylił się, żeby zerwać z mojej szyi wisiołek z zielonym kamieniem. Ścisnęły go jak cytrynę – nie zdołał nawet krzyknąć. Gruchnęły kości. Trzasnął kręgosłup. Gałki oczne wystrzeliły z oczodołów. Na wszechobecną biel chlusnęła krew. Oblizałem usta – smakowała całkiem dobrze.

Jasność ustąpiła pola znajomej ciemności, a ciemność – światu.

– Kopeć lat, Johnny – powiedział Caleb, zaciskając gigantyczną pięść wokół Johna Ringo.

Wróciliśmy do Little Downing.

*

Siedziałem w saloonie i piłem, ale nie sam. Pan Duch też tam był, a także Louis i Caleb Town. Louis oczywiście nie pił i nie palił. Leżał pomiędzy szklankami, prężąc się za każdym razem, gdy Caleb pogładził go po grzbiecie. Pan Duch ćmił cygaro, ja – camela. Caleb poprzestał na sączeniu whiskey. Opowiadał. Nie słuchałem go uważnie, albowiem moje myśli zaprzętała wizja, której doświadczyłem tuż przed powrotem do Little Downing.

Kogo zobaczyłem?

Moich dawnych przyjaciół – Jima, Jake'a, Williama i Boba, z którymi próbowałem obrabować bank w Armadillo, a także Beth, moją pierwszą i – nie licząc Cassildy – jedyną miłość. Zobaczyłem też mojego ojca alkoholika, który zapił się na śmierć, i Johna Temple, który uczynił ze mnie upiora. Moi przyjaciele ukrywali się w szopie za domem rodziców Jake'a, omawiając szczegóły napadu. Beth baraszkowała pod kołdrą z jakimś łysiejącym facetem. Mój ojciec leżał na dnie wyschniętej studni, a z jego rozbitej głowy sączyła się krew. Z kolei John Temple siedział nad brzegiem jeziora, którego spokojna toń płonęła fioletowo-pomarańczowym blaskiem dwóch zachodzących słońc. Z oczu maga spływały łzy.

Potem ujrzałem pechowców, którzy zginęli z mojej ręki. Stali w grupkach, liczących po kilka osób, i rozmawiali ściszymi głosami. Kiedy jednak ich mijałem, milkli i rzucali mi pełne politowania spojrzenia. Niektórzy, tak jak Jimmy Moretti, nosili czarne koszulki z napisem „Oddaj nam nasze dusze!”.

Po zmarłych przyszła kolej na żywych – ujrzałem szybkostrzelną Jennifer i zakochaną w niej Nancy. Siedziały na kocu i piły wino, obserwując zachód słońca

nad San Francisco. Zobaczyłem też Mary Sue, małą bezczelną wiedźmę, która pomogła mi w ucieczce, sama zaś ukryła się przed psychopatycznymi krewniakami z bagien Luizjany. Oparta o framugę kuchennych drzwi, patrzyła z rozbawieniem na bawiącą się w ogrodzie dwuletnią dziewczynkę. Wyglądała na bardzo szczęśliwą. Miałem nadzieję, że jest bezpieczna.

Kiedy zniknęła Mary Sue, dostrzegłem dwie barbarzyńskie księżniczki, Valerię i Jasmine. Stały u szczytu monumentalnych schodów, na tle spiżowych wrót jakiejś pradawnej budowli, odpierając wściekłe ataki nacierających z dołu łysych mężczyzn w powłóczystych szatach. Na kamiennych stopniach piętrzyły się stosy trupów.

Na sam koniec ze wszechobecnej bieli wyłoniła się humanoidalna postać. Bez rysów, bez płci, cała szara. Zbliżyła się do mnie i ujęła moją twarz w dłonie pachnące spalonym papierem. Poczulem ciepło. Następnie błogą ulgę. Ogień w moich oczodołach przygasł. Wypełnił mnie spokój.

– Kim jesteś? – spytałem.

– Odpowiedzią na pytanie, którego nigdy nie zadałeś Cassildzie. To ja sprawiłem, że twoja kochanka zyskała samoświadomość, samowiedzę i odkryła w sobie pragnienie wolności.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Dla opowieści. Jestem Bogiem Pustych Nazw i Niespełnionych Predykatów. Władam cienką granicą pomiędzy fikcją a rzeczywistością.

W gładkiej twarzy przybysza pojawiły się usta. Dotknął nimi moich warg, wsunął między nie język i pocałował – doskonale, jak przystało na boga. Smakował truskawkami i popiołem. Przypomniałem sobie słowa Nancy o tym, że bogowie na okazywaną im cześć reagują tak jak psy na drapanie, i natychmiast odwzajemniłem pocałunek. To była moja modlitwa. Mój sposób na oddanie bogu tego, co boskie. Na nakarmienie go czcią.

– Ja również jestem jedną z twoich historii – stwierdziłem, kiedy przestaliśmy się całować.

– Mam słabość do *pulp fiction*.

– Co teraz?

– Wrócisz do swojego życia, ale nie zapomnisz o naszym spotkaniu.

– To ty wymyśliłeś Grę Wszystkich Gier.

Bóg Pustych Nazw i Niespełnionych Predykatów wzruszył ramionami, po czym zerwał z mojej szyi wisiołek z zielonym kamieniem.

– To już ci nie będzie potrzebne, kowboju. Pozostaniesz upiorem – rzekł, zanim zanurzył się we wszechobecnej bieli.

Dopiero wtedy wróciłem do Little Downing.

Faceci z przedwiecznej ferajny wsiedli do samochodu i odjechali. Cassilda zniknęła bez słowa pożegnania. Zostali jedynie wybrańcy. Caleb podniósł z ziemi Louisa, otrzepał go z piachu i włożył do kieszeni marynarki. Potem pomógł Panu Duchowi wstać.

– Potrafię zmienić się w dowolne miasteczko z Dzikiego Zachodu, jednak nie większe niż Little Downing czy Big Whiskey – powiedział.

– Co?

– Powiedziałem, że mogę zmienić się w dowolne miasteczko. Z żadnym nie jestem związany na stałe. Po prostu zrzucam je z siebie jak wąż skórę. John Ringo nie miał o tym pojęcia. Myślał, że wystarczy poczekać, aż zmienię się w jakieś miasteczko, a następnie podpalić je, żebym ostatecznie i nieodwracalnie umarł.

– W Nacogdoches, którym była twoja przyjaciółka, Sara, nie przeszedłeś przemiany.

– To prawda. Sara chciała się ze mną kochać, ale w ten wyjątkowy sposób, w jaki mogą kochać się istoty naszego rodzaju. Ja zaś z różnych względów nie chciałem jej odmówić. Dlatego pozwoliłem, by mnie pochłonęła. Jim najwyraźniej uznał, że w tej sytuacji spalenie Nacogdoches spowoduje mój nieodwracalny zgon.

– Cassilda wiedziała, że przeżyłeś?

– Oczywiście. Miała jednak świadomość, że jest obserwowana przez swoich wrogów, i dlatego zachowywała się tak, jakbym w najlepszym razie zaginał, a w najgorszym nie żył.

– Co stało się z Sarą?

– Przeżyła.

– Pewnie jesteś zadowolony.

– Z czego?

– Marzyłeś, by zostać największą gwiazdą w panteonie bohaterów Dzikiego Zachodu, no i zostałeś. Uratowałeś przecież świat. Co prawda w sekrecie przed całą ludzkością i inteligentnymi mieszkańcami pozostałych galaktyk, ale to tylko nic nieznaczący szczegół, który nie podkopie twojego dobrego samopoczucia i wysokiej samooceny.

Caleb zmrużył oczy, zacisnął usta. Potem jednak wziął głęboki wdech i wypuściwszy powietrze, rzekł lodowatym głosem:

– Trafna uwaga. Idziemy do saloonu. Dołączysz do nas?

– Jasne.

Usiedliśmy przy barze, każdy ze swoją butelką oraz szklanką, i zaczęliśmy pić. Caleb próbował udobruchać Louisa i wyjaśnić mu, dlaczego sfingował swoją śmierć. Louis nie dawał się przekonać. Pan Duch pił w milczeniu, przeglądając w telefonie zawartość swojej skrzynki pocztowej.

– Nie masz już żadnych pytań?

Popatrzyłem na Caleba. Nie odbiegał wyglądem od stereotypu twardego zabijaki o pobrużdżonej twarzy i zimnym spojrzeniu stalowoszarych oczu, które widziały za dużo cierpienia.

– Nie mam – odpowiedziałem.

– I nie oczekujesz żadnych dodatkowych wyjaśnień?

– Żadnych. – Pokręciłem głową. – Cassilda powiedziała, że moje uczucia do niej, nieważne, jak silne, przeminą, gdy wygramy pojedynek. I wiesz co? Miłość, zazdrość, tęsknota. Wszystko szlag trafił. I dobrze, bo gdy teraz myślę o Cassildzie, czuję wyłącznie ulgę.

– Że to już koniec.

– Właśnie. I to mi wystarczy. Bitwa pomiędzy Cassildą a przedwieczną ferajną dobiegła do kameralnego końca. Wygraliśmy. Nie muszę i nie zamierzam wiedzieć niczego więcej. Nie dla mnie metafizyczne tajemnice i zagadki. Chcę się napić, a potem wrócić do swojego życia. Do seksu, przemocy i popkultury nieobciążonych koniecznością ratowania świata.

Caleb uśmiechnął się pod nosem i wznosił dłoń, w której trzymał szklankę z whiskey.

– Rozumiem – odparł. – Twoje zdrowie.

Brzęknęło szkło.

Raz.

Drugi.

Trzeci.

Trunek płynął wartkim nurtem, jednak po kilkunastu kolejkach jego źródło wyschło. Opróżniłem szklankę i powiedziałem, że wracam do domu. Nikt mnie nie zatrzymywał. Przed wyjściem wręczyłem Panu Duchowi swoją wizytówkę. Nie podziękował. Humoru nie poprawiły mu nawet pikantne zdjęcia, które dostał w mejlu od jednej ze swoich studentek. Chyba zabolalo go to, że Cassilda odeszła bez słowa pożegnania. Widocznie nie przywykł do przedmiotowego traktowania.

Pociąg czekał na stacji. Smoliście czarna lokomotywa, tender i trzy wagony. Zająłem wolne miejsce w pierwszym i oparłem głowę o szybę.

Niebawem z komina parowozu buchnęła para.



Samochodu oczywiście nie było na parkingu. Postanowiłem zatem, że pójde wzdłuż szosy i spróbuję złapać okazję. Horyzont był czarną grubą kreską na tle czerwonego nieba. Szedłem poboczem w kierunku wschodzącego słońca i nuciłem piosenkę Johnny'ego Casha – tę o grobach. Pasowała do pustynnego krajobrazu.

Minęła godzina, nim na drodze pojawił się pierwszy pojazd. Wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do Nancy i powiedzieć, że niebawem zjawię się w biurze. Wtedy rozległ się dźwięk klaksonu. Zwolniłem – samochód również. Zatrzymaliśmy się w tej samej chwili. Czerwony Hot Rod o przyciemnianych szybach, zbudowany na bazie forda coupé, rocznik tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci. I ja – upiór, rocznik tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty dziewiąty. Nie widziałem kierowcy ani pasażerów. Słyszałem za to muzykę. Dobięła z wnętrza samochodu. Przesterowane gitary, perkusja brzmiąca jak automat i chrapliwy wokal.

Nikt nie wysiadał.

Więc czekałem.

Czekałem.

I czekałem.

W końcu chwyciłem za klamkę i mocnym szarpnięciem otworzyłem drzwi.

Okazało się, że szoferka jest pusta.

Za moimi plecami rozległ się odgłos kroków.

Odwróciłem się z rewolwerem przygotowanym do strzału, ale widok, który ujrzałem, sprawił, iż natychmiast cofnąłem palec ze spustu.

– Cześć – powiedziała dziewczyna. Miała na sobie czerwoną bluzkę, krótką czarną spódniczkę, przeźroczyste pończochy ze szwem i czerwone szpilki. W wyciągniętej ręce trzymała kluczyk z charakterystycznym breloczkiem. Nie przypominała Mary Sue, Nancy, Jennifer, Valerii ani Jasminy, lecz jej szczerzy uśmiech zapowiadał przygodę.

Zabrałem nieznaną kluczyk, przyjrzałem się breloczkowi w kształcie dwóch zachodzących na siebie liter „Z” i pomyślałem, że przecież jeszcze mam czas. Wiedzmy mogą zaczekać.

– Kim jesteś?

– Nie jestem pewna...

– Masz jakieś imię?

– Chyba tak, ale go nie pamiętam.

– Wsiadaj.

Brunetka wahała się tylko przez moment. Potem usłuchała. Sam wsiadłem z drugiej strony. Gdy zatrzasnęła drzwi, uruchomiłem silnik. Pięknie zaryczał.

– Dokąd jedziemy? – spytała, zapinając pas.

– Zobaczysz.

Ruszyliśmy, paląc gumę. Dziewczyna nastawiła głośniej muzykę i opuściła boczną szybę. Do środka wpadło ciepłe powietrze. Hot Rod nabierał prędkości. Kiedy wskazówka prędkościomierza dobiła do stu mil na godzinę, sięgnąłem po prezent od Valerii i Jasminy. Nad szosą zamigotał portal. Brunetka aż krzyknęła z wrażenia. Po drugiej stronie pojawił się wulkaniczny krajobraz.

Cassilda obiecała mi dwie nagrody.

I dotrzymała słowa.

Moje życie dopiero się zaczynało.

[1] Robert W. Chambers, „The Repairer Of Reputations”, w: „King in Yellow” (1895).

[2] Wszystkie wyróżnione kursywą fragmenty, poza wypowiedziami Louisa, pochodzą z opowiadania *Zajęty dom* autorstwa Julio Cortazara (Julio Cortazar, *Opowiadania*, tłum. Zofia Chądzyńska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie, Warszawa 1998, str. 475–481).

Armadillo

Copyright © Bartosz Orlewski

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Robert Rajszczyk

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-140-6

epub ISBN 978-83-7995-141-3

mobi ISBN 978-83-7995-142-0

Redakcja: dr Marcin Kowalczyk

Korekta: Barbara Kaszubowska

Ilustracja i projekt okładki: Robert Rajszczyk

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl